

Mary i Carol Higgins

CLARK



GWIAZDKOWY ZŁODZIEJ

Prószyński i S-ka

CAROL HIGGINS CLARK
Gwiazdkowy złodziej

Ostatnio w serii ukazały się m.in.:



Brylantowy legat MARY HIGGINS CLARK

Udawaj, że jej nie widzisz

Pusta kołyska

Jesteś tylko moja

Zatańcz z mordercą

Sen o nożu

Przyjdź i mnie zabij

Najdłuższa noc

Zanim się pożegnasz

Gdy moja śliczna śpi

Syndrom Anastazji

Na ulicy, gdzie mieszkasz

Milczący świadek

Córeczka tatusia

Dom nad urwiskiem

Krzyk pośród nocy

Nie trać nadziei

W pajęczynie mroku MARY I CAROL HIGGINS CLARK

Przybierz dom swój ostrokrzewem PATRICIA CORNWELL

Kuba Rozpruwacz. Portret zabójcy

Śmiertelny koktajl BARBARA ERSKINE

Mroki dnia HILARY NORMAN

Gra pozorów

Ślepa trwoga ANITA SHREVE

Ostatni raz

Mary i Carol Higgins

**CLARK
GWIAZDKOWY ZŁODZIEJ**

Przełożyła Teresa Komłosz
Prószyński i s-ka
Tytut oryginału:

THE CHRISTMAS THIEF

Copyright © 2004 by Mary Higgins Clark and Carol Higgins Clark All Rights Reserved

Ilustracja na okładce: Piotr Łukaszewski

Redakcja: Ewa Witan

Redakcja techniczna: Elżbieta Urbańska

Korekta: Grażyna Nawrocka

Łamanie: Ewa Wójcik

ISBN 83-7469-175-1

Diament

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Pamięci naszego drogiego przyjaciela Buddy'ego Lyncha. Był najlepszym z najlepszych, naprawdę wspaniałym facetem

Podziękowania

–A może by napisać o tym, jak ukradziono choinkę sprzed Rockefeller Center? – zaproponował Michael Korda.

Pomysł wydał nam się tyleż oryginalny, ile zabawny, więc ochoczo podjęliśmy wyzwanie.

Teraz nadszedł czas, by odwdzińczyć się wszystkim, którzy nas wspierali w tym przedsięwzięciu.

Migoczące gwiazdki dla naszych wydawców, Michaela Kordy i Roz Lippel.
Jesteście wspaniali!

Błyszczące girlandy dla naszych agentów Gene'a Winicka i Sama Pinkusa oraz specjalistki od reklamy Lisi Cade.

Złote świecidełka otrzymują: zastępca dyrektora wydawniczego Gypsy da Silva, adiustatorka Rosę Ann Ferrick oraz korektorzy Jim Stoller i Barbara Raynor.

Kieliszek ponczu o każdej porze dla emerytowanego sierżanta Stevena Marrona i emerytowanego detektywa Richarda Mur-phy'ego za wyjaśnienia.

Wyśpiewujemy radosne kolędy pod oknem Ingi Paine, współzałożycielki plantacji drzewek bożonarodzeniowych, jej córki Maxine Paine-Fowler, wnuczki Gretchen Arnold oraz siostry Carlene Allen, za to, że pozwoliły zakłócić sobie spokojne niedzielne popołudnie na werandzie w Stowe w stanie Yermont pytaniami o choinkę, którą tworzyliśmy dla potrzeb tej opowieści.

Bombka z tradycyjnym motywem dla Timothy'ego Shinna, który objaśnił nam zagadnienia logistyczne związane z transportem dziewięciotonowego świerka. Wybacz, jeśli coś pokręciłyśmy. Dziękujemy Jackowi Larkinowi za skontaktowanie nas z Timem.

Świąteczne całusy dla naszej rodziny i przyjaciół, zwłaszcza Johna Conheeneya, Agnes Newton i Nadine Petry.

Cukrowe laseczki na wstążkach dla Carli Torsilieri D'Agostino i Byrona Keitha Byrda za „Świąteczną choinkę przed Rockefeller Center” – napisaną przez nich historię słynnego drzewa.

Specjalną melodię wdzięczności ofiarowujemy pracownikom Rockefeller Center za radość, jaką dają milionom ludzi od siedemdziesięciu lat, podtrzymując tradycję fundowania i ustawiania na placu najpiękniejszej bożonarodzeniowej choinki na świecie.

Wreszcie Wam, naszym czytelnikom, ślemy najserdeczniejsze życzenia szczęśliwych, zdrowych i wesołych świąt.

1

Packy starannie postawił krzyżyk w kalendarzu, który przypiął do ściany swojej celi w więzieniu federalnym koło Filadelfii, miasta braterskiej miłości. Packy'ego przepełniała miłość do bliźnich. Był gościem rządu Stanów Zjednoczonych przez ostatnich dwanaście lat, cztery miesiące i dwa dni. A ponieważ odsiedział ponad osiemdziesiąt pięć procent wyroku i sprawował się wzorowo, komisja do spraw zwolnień warunkowych, choć niechętnie, zgodziła się wypuścić go na wolność z dniem 12 grudnia, przypadającym już za dwa tygodnie.

Packy, który naprawdę nazywał się Patrick Coogan Noonan, był światowej klasy artystą szwindlu. Wyłudził od ufnych inwestorów prawie sto milionów dolarów poprzez założoną przez siebie pozornie legalną firmę. Kiedy oszustwo się wydało, po odliczeniu sum które wydał na domy, samochody, biżuterię, łapówki i panienki lekkich obyczajów, reszty, prawie osiemdziesięciu milionów, nie można się było doszukać.

Przez wszystkie lata spędzone w więzieniu Packy niezmiennie obstawał przy własnej wersji wydarzeń. Uparcie twierdził, że jego dwaj wspólnicy uciekli z resztą pieniędzy, a on sam, podobnie jak oszukani inwestorzy, padł ofiarą swej ufnej natury.

Miał pięćdziesiąt lat, pociągłą twarz o orlim nosie, blisko osadzone oczy, przeredzone ciemne włosy i uśmiech budzący zaufanie. Ze stoickim spokojem zniósł lata przymusowego odosobnienia-9

nia. Wiedział, że kiedy nadejdzie dzień wolności, zaoszczędzone osiemdziesiąt milionów całkowicie wynagrodzi mu doznane niewygody.

Gotów był przyjąć nową tożsamość natychmiast po odzyskaniu łupu; prywatny samolot miał go przetrząsnąć do Brazylii, gdzie czekał już zręczny chirurg plastyczny, by zmienić mu rysy twarzy, które mogły go zdradzić.

Wszystko zostało zorganizowane przez wspólników Packy'ego, którzy obecnie mieszkali w Brazylii, utrzymując się z dziesięciu milionów z brakującej sumy. Pozostałą fortunę Packy zdołał ukryć przed aresztowaniem, co dawało mu pewność, że może liczyć na dalszą lojalność swoich kompanów.

Dalekosiężny plan przewidywał, że po wyjściu z więzienia Packy uda się do

ośrodka przejściowego w Nowym Jorku, czego wymagały warunki zwolnienia, przez jeden dzień będzie się pilnie stosował do przepisów, a potem zgubi ewentualną obstawę, spotka się ze współnikami i razem pojedą do Stowe w stanie Vermont. Tam mieli wynająć farmę, ciężarówkę z platformą, stodołę, w której da się ukryć, oraz wszelki sprzęt potrzebny do ścięcia wielkiego drzewa.

–Dlaczego do Vermontu? – dociekał Giuseppe Como, lepiej znany jako Jo-Jo. – Mówiłeś nam, że ukryłeś łup w Nowym Jorku. Okłamałeś nas, Packy?

–Ja miałbym was okłamać? – obruszył się Packy. – Może nie chciałem, żebyście się wygadali przez sen.

Jo-Jo i Benny, czterdziestodwuletni bliźniacy, uczestniczyli w tym przekręcie od początku, ale obaj zgodnie przyznawali, że żaden z nich nie dysponuje odpowiednio rzutkim umysłem koniecznym do organizowania wielkich przekrętów. Przyjęli rolę żołnierzy Pa-cky'ego i skwapliwie zgarniali okruchy z jego stołu, bo ostatecznie były to całkiem tłuste okruchy.

–O choinko, moja choinko – zanucił Packy, wyobrażając sobie, jak odnajduje tę szczególną gałąź pewnego drzewa w Vermontcie i wyciąga metalową piersiówkę z bezcennymi diamentami, ukrytą tam od ponad trzynastu lat.

Choć popołudnie w środku listopada było chłodne, Elwira i Willy Meehanowie postanowili pieszo wrócić ze spotkania grupy wsparcia dla szczęśliwych graczy na loterii do swego mieszkania na Południowej Central Park. Elwira zorganizowała tę grupę, kiedy wygrawszy wraz z Willym na loterii czterdzieści milionów dolarów, otrzymała pocztą elektroniczną ostrzeżenia od wielu ludzi, którzy także wygrali znaczne sumy, ale szybko je utracili. W tym miesiącu spotkanie odbyło się parę dni wcześniej, ponieważ Meehanowie wyjeżdżali do Stowe w stanie Vermont, by spędzić długi weekend w rodzinnym pensjonacie Trappów ze swoją bliską przyjaciółką, prywatnym detektywem Regan Reilly, jej narzeczonym Jackiem Reillym, szefem oddziału do zadań specjalnych nowojorskiej policji, oraz rodzicami Regan, Lukiem i Norą. Nora była znaną autorką powieści kryminalnych, a Lukę przedsiębiorcą pogrzebowym. Choć w interesie panował niezły ruch, Lukę uznał, że żaden nieboszczyk nie przeszkodzi mu w wakacjach.

Elwira i Willy, oboje tuż po sześćdziesiątce, od czterdziestu lat małżonkowie, mieszkali na Flushing w dzielnicy Queens, kiedy tamtego pamiętnego wieczoru piłeczki zaczęły spadać jedna po drugiej, a na każdej widniał magiczny numer. Ułożyły się dokładnie w takim porządku, na jaki Meehanowie stawiali od lat, tworząc kombinację dat ich urodzin i rocznic. Elwira siedziała w salonie, mocząc nogi po ciężkim dniu sprzątania u swej piątkowej pracodawczyni, pani O'Keefe, która była urodzonym flejtuchem. Willy, hydraulik pracujący na własny rachunek, właśnie wrócił ze starego mieszkania w sąsiednim budynku, gdzie naprawiał zepsutą toaletę. Po pierwszej chwili osłupienia Elwira podskoczyła, rozlewając całą zawartość miednicy, i bosą, z ociekającymi wodą stopami, porwała męża do tańca. Oboje na przemian śmiali się i płakali.

Od samego początku ona i Willy zachowywali umiar w wydatkach. Jediną ekstrawagancją, na jaką sobie pozwolili, był zakup trzypokojowego apartamentu z tarasem wychodzącym na Central Park. Lecz nawet w tej sprawie byli ostrożni. Zatrzymali swoje sta-11

re mieszkanie na Flushing, na wypadek gdyby stan Nowy Jork zbankrutował i nie mógł im wypłacać dalszych rat wygranej. Oszczędzali połowę pieniędzy otrzymywanych każdego roku i mądrze je inwestowali.

Płomiennie rude włosy Elwiry, obecnie układane przez Antonia, stylistę gwiazd, zmieniły odcień na rudozłoty. Przyjaciółka, baronowa Min von Schreiber, wybrała elegancki kostium, który pani Meehan miała teraz na sobie. Min błagała ją, by nigdy nie chodziła sama na zakupy, ostrzegając, że stanowi idealną ofiarę dla namolnych sprzedawców.

Choć porzuciła mop i wiadro, w swoim nowym życiu Elwira była bardziej zajęta niż kiedykolwiek dotąd. Zamiłowanie do wyciągania ludzi z kłopotów i rozwiązywania problemów zrobiło z niej detektywa amatora. W ujawnianiu złoczyńców pomagał jej mikrofon zamontowany w wielkiej broszce w kształcie słoneczka wpiętej w klapę, który włączała za każdym razem, gdy uznała, że jej rozmówca ma coś do ukrycia. Przez trzy lata bycia multimilionerką wykryła około dziesięciu przestępstw i napisała o nich do tygodnika „The New York Globe”. Jej opowieści tak się podobały czytelnikom, że co dwa tygodnie otrzymywała do dyspozycji całą kolumnę, nawet jeśli nie miała do opisanja żadnej nowej przygody.

Willy zlikwidował swą jednoosobową firmę, jednak także ciężko pracował, wykorzystując zawodowe umiejętności, aby pomagać biednym staruszkom z West Side, pod kierunkiem swej najstarszej siostry, groźnej zakonnicy dominikanki o imieniu Kordelia.

Tego dnia grupa wsparcia dla wygrywających na loterii spotkała się w wytwornym apartamencie w Trump Tower, nowym nabytku Hermana Hicksa, niedawnego zdobywcy głównej wygranej, który, jak powiedziała do Willy'ego zmartwiona Elwira: „tak szybko trwonił swoje pieniądze”.

Mieli właśnie przejść przez Piątą Aleję przed hotelem Plaża.

–Światła zmieniają się na żółte – zauważył Willy. – Jest taki ruch, że nie chciałbym, abyśmy utknęli na środku ulicy, bo ktoś nas rozjedzie.

Elwira była gotowa przyspieszyć kroku. Nie znosiła czekać na światłach, ale Willy był ostrożny. Pomyślała, że pod tym względem bardzo się różnią – ona lubiła podejmować ryzyko.

–Według mnie Herman sobie poradzi – pocieszył ją Willy. – Mówił, że mieszkanie w Trump Tower zawsze było jego marzeniem, a nieruchomości są dobrą lokatą. Odkupił meble od ludzi, którzy się wyprowadzali; cena wydawała się rozsądna, a poza kupowaniem ubrań u Paula Stuarta dotąd nie pozwalał sobie na żadne zbytki.

–Cóż, siedemdziesięcioletni bezdzietny wdowiec z dwudziestoma milionami dolarów po zapłaceniu podatków znajdzie wiele kandydatek gotowych przyrzadzać mu zapiekanki z tuńczykiem – odrzekła Elwira. – Mogę tylko mieć nadzieję, że zrozumie, jaką wspaniałą kobietą jest Opal.

Opal Fogarty od samego początku należała do grupy wsparcia dla wygrywających na loterii. Zgłosiła się, przeczytawszy o niej w kolumnie Elwiry w „The New York Globe”, ponieważ, według własnych słów, była zwycięzcą, który nagle stał się wielkim przegrany, i chciała ostrzec innych, aby nie dali się nabrać jakiemuś złotoustemu oszustowi.

Tego dnia do zebranych dołączyło dwoje nowych członków i Opal opowiedziała swoją historię o zainwestowaniu wygranej w firmę spedycyjną, której właściciel przerzucał jedynie pieniądze z jej konta do swojej kieszeni.

–Wygrałam na loterii sześć milionów dolarów – mówiła. – Po zapłaceniu podatków zostało około trzech. Łobuz o nazwisku Patrick Noonan namówił mnie, żebym zainwestowała w jego lewą firmę. Zawsze byłam przywiązana do świętego Patryka i sądziłam, że każdy o tym imieniu musi być uczciwy. Nie miałam wówczas pojęcia, że wszyscy nazywali tego łajdaka Packym. W przyszłym tygodniu wychodzi z więzienia – dodała. – Chciałabym być niewidzialna i móc go śledzić, bo wiem, że ukrył gdzieś całą fortunę.

Na myśl, że Packy Noonan położy łapę na pieniądzach, które jej ukradł, niebieskie oczy Opal wypełniły się łzami.

–Straciłaś wszystko? – spytał ze współczuciem Herman.

Łagodny ton jego głosu obudził w Elwirze swatkę.

–W sumie odzyskano około ośmiuset tysięcy, ale spółka adwokacka zatrudniona przez sąd do odnalezienia pieniędzy wystawiła rachunek na prawie milion, więc po tym, jak sobie zapłacili, dla nas już nic nie zostało.

Elwira często myślała o czymś, oczekując od Willy'ego komentarza do swoich refleksji.

–Historia Opal zrobiła naprawdę duże wrażenie na tej młodej parze, która wygrała sześćset tysięcy w zdrapkę.

–Ale to w niczym Opal nie pomoże. Chodzi mi o to, że ma sześćdziesiąt siedem lat i nadal pracuje jako kelnerka. Musi dźwigać te ciężkie tace.

–Niedługo ma urlop – powiedziała – ale założę się, że nie może sobie pozwolić na żaden wyjazd. Och, Willy, mieliśmy tyle szczęścia. – Uśmiechnęła się do męża, po raz dziesiąty tego dnia myśląc o tym, jaki jest przystojny, z burzą siwych włosów, czerstwą cerą, bystrymi niebieskimi oczami i postawną sylwetką. Wielu ludzi mówiło, że do złudzenia przypomina zmarłego Tipa O'Neilla, legendarnego przewodniczącego Izby Reprezentantów.

Światła zmieniły się na zielone. Przeciąwszy Piątą Aleję, poszli południową stroną Central Parku w stronę swojego domu, znajdującego się tuż za skrzyżowaniem z Siódmą Aleją. Elwira wskazała na parę, wsiadającą do konnej dorożki, która miała ich przewieźć po parku.

–Ciekawa jestem, czyjej się oświadczy – powiedziała. – Pamiętasz, ty właśnie tu mi się oświadczyłeś?

–Jasne, że pamiętam – zapewnił ją Willy. – Przez cały czas myślałem o tym, czy mi wystarczy pieniędzy, żeby zapłacić za kurs. W restauracji chciałem zostawić pięć dolarów napiwku, a jak ostatni tuman dałem kelnerowi pięćdziesiątkę. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie sięgnąłem do kieszeni po pierścionek, który miałem ci włożyć na palec. Tak czy inaczej, cieszę się, że postanowiliśmy jechać do Vermontu z Reillymi. Może tam wybierzemy się na przejażdżkę saniami zaprzężonymi w konie.

–No cóż, ja z pewnością nie będę jeździć na nartach – oświadczyła Elwira. – Dlatego trochę się wahałam, kiedy Regan zaproponowała nam wyjazd. Ona, Jack, Nora i Lukę są świetnymi narciarzami. Ale my możemy sobie pochodzić na biegówkach, zabiorę też książki, które chcę przeczytać, no i są tam ścieżki spacerowe. W każdym razie będziemy mieli co robić.

Piętnaście minut później, w wygodnym salonie ich apartamentu z widokiem na ścieżki w parku Elwira próbowała otworzyć paczkę otrzymaną od portiera.

–Willy, nie chce mi się wierzyć – zwróciła się do męża – jeszcze daleko do świąt, a Malloy, McDermott, McFadden i Markey przy syłają nam prezent gwiazdkowy.

Cztery „M” oznaczały firmę maklerską z Wall Street, wybraną przez Meehanów do zarządzania ich pieniędzmi, które zostały zainwestowane w obligacje rządowe oraz akcje solidnych firm.

–Co nam przysłali? – zawołał Willy z kuchni, gdzie przyrządzał ich ulubione popołudniowe drinki o nazwie manhattan.

–Jeszcze nie wiem – odpowiedziała mu żona. – Paczkę okleili mnóstwem plastiku. Wydaje mi się, że to butelka albo słoik. Na bileciku jest napisane „Wesołych świąt”. Ależ się pośpieszyli! Przecież nie mieliśmy jeszcze nawet Święta Dziękczynienia.

–Cokolwiek to jest, nie niszcz sobie paznokci – ostrzegł Willy.

–Zrobię to za ciebie.

„Nie niszcz sobie paznokci”. Elwira uśmiechnęła się lekko na wspomnienie czasów, kiedy nie opłacało jej się używać lakieru, bo ostre detergenty używane przy sprzątanu szybko niweczyły wszelki efekt.

Willy wszedł do salonu, niosąc tacę z dwoma szklaneczkami koktajlu oraz talerzem sera i krakersów. Herman podjął ich paskudnymi herbatnikami i kawą rozpuszczalną; jednego i drugiego oboje zgodnie odmówili.

Odstawiwszy tacę na stolik, Willy wziął paczkę, starannie owiniętą w folię z bąbelkami. Mocnym szarpnięciem rozerwał taśmę klejącą i zdjął opakowanie. Zaciekawienie malujące się na jego twarzy ustąpiło miejsca zaskoczeniu, a potem zdumieniu.

–Ile pieniędzy zainwestowaliśmy przez tę firmę? – spytał.

Żona podała mu sumę.

–Spójrz, kochanie. Przysłali nam słoik syropu klonowego. Taki mają pomysł na prezent gwiazdkowy?

–To chyba jakiś żart! – wykrzyknęła Elwira. Kręcąc głową, wzięła od męża słoik. Przeczytała nalepkę. – Willy, popatrz! – zawołała.

–Oni nam nie dali tylko słoika syropu. Podarowali nam drzewo!

Tak tu jest napisane. „Ten syrop pochodzi z drzewa przeznaczonego dla Willy'ego i Elwiry Meehanów. Kiedy słoik się opróżni, proszę przyjechać i napełnić go syropem ze swojego drzewa". Ciekawe, gdzie rośnie to drzewo.

Willy zaczął przeszukiwać ozdobnie zapakowane pudełko, z którego wyjęli prezent.

–Jest tu jakaś kartka. Nie, to mapa. – Przystudiowawszy ją, wybuchnął śmiechem. – Kochanie, będziemy mieli jeszcze jedno zajęcie podczas pobytu w Stowe. Możemy poszukać naszego drzewa. Sądząc po mapie, rośnie gdzieś w pobliżu pensjonatu Trappów. Zadzwoił telefon. To była Regan Reilly, dzwoniła z Los Angeles.

–Przygotowani na wyjazd do Vermontu? – spytała. – Obiecujecie, że się nie wycofacie?

–Nie ma mowy, Regan – zapewniła ją Elwira. – Mam pewną rzecz do załatwienia w Stowe. Będę szukała drzewa.

3

–Regan, musisz być wykończona – powiedziała Nora Reilly z troską, spoglądając ponad stołem na swoją jedynaczkę. Dla innych piękna, kruczowłosa Regan mogła być znakomitym prywatnym detektywem, ale dla Nory jej trzydziestoletnia córka pozostawała małą dziewczynką, którą gotowa była chronić z narażeniem własnego życia.

–Według mnie wygląda całkiem dobrze – uznał Lukę Reilly, odstawiając kubek zdecydowanym ruchem, co niezmiennie zapowiadało, że zbiera się do wyjścia. Miał prawie dwa metry wzrostu, nosił ciemnogrnatowy garnitur, białą koszulę i czarny krawat, czyli jeden z sześciu posiadanych przez siebie takich zestawów. Lukę był właścicielem czterech domów pogrzebowych w północnym New Jersey, a jego zajęcie wymagało noszenia odpowiednio stonowanego ubioru. Pociągła twarz okolona siwymi włosami miała by dość posępny wyraz, gdyby nie uśmiech, który pojawiał się na niej natychmiast, gdy tylko Lukę opuszczał swych klientów-żalobników. Teraz skierował ten uśmiech do żony i córki.

Siedzieli przy kuchennym stole w domu Reillych w Summit w stanie New Jersey, w domu, gdzie Regan się wychowała i gdzie wciąż mieszkali Lukę z Norą. To tu Nora Regan Reilly napisała swoje powieści kryminalne, które przyniosły jej sławę. Teraz podniosła się z miejsca, żeby ucałować męża na pożegnanie.

Podobnie jak Regan, Nora miała regularne rysy, niebieskie oczy i jasną cerę. W przeciwieństwie do niej jednak, była naturalną blondynką. Przy wzroście metr sześćdziesiąt była o dziesięć centymetrów niższa od córki, a mąż górował nad nią o dwie głowy.

–Tylko nie daj się porwać – powiedziała nie do końca żartem.

–Chcemy wyruszyć do Vermontu nie później niż o drugiej.

–Przeciętnie jest się porywanym raz w życiu – wtrąciła Regan.

–W zeszłym tygodniu sprawdziłam statystyki.

–1 nie zapominaj – dodał Lukę po raz chyba setny – że gdyby nie moje bolesne przejścia, Regan nie poznałaby Jacka i teraz nie planowałybyście ślubu.

Jack Reilly, szef oddziału do zadań specjalnych nowojorskiej policji, obecnie narzeczony Regan, zajmował się sprawą zniknięcia Luke'a i jego kierowcy. Nie tylko złapał porywaczy i odzyskał okup, ale przy okazji podbił serce Regan.

–Nie chce mi się wierzyć, że nie widziałam Jacka od dwóch tygodni – westchnęła Regan, smarując masłem bułkę. – Chciał mnie odebrać dziś rano z lotniska Newark, ale powiedziałam mu, że wezmę taksówkę. Musiał pojechać do biura załatwić kilka spraw, będzie tu przed drugą. – Regan ziewnęła. – To nocne latanie trochę mnie przymula.

–Po namyśle jestem skłonny przyznać rację twojej matce – powiedział Lukę. – Rzeczywiście wyglądasz, jakbyś potrzebowała paru godzin snu. – Odwzajemnił pocałunek Nory, potargał córce włosy i już go nie było.

Regan parsknęła śmiechem.

–Słowo daję, tata nadal myśli, że mam sześć lat.

–To dlatego, że wkrótce wychodzisz za mąż. Coraz częściej mór wi, że nie może się doczekać wnuków.

–O Boże. Na samą myśl o tym czuję się; jeszcze bardziej zmęczona. Chyba pójdę na górę się położyć.

Zostawszy sama przy stole, Nora dołała sobie kawy i rozłożyła „The New York Timesa”. Samochód był zapakowany, gotowy do podróży. Zamierzała spędzić rano przy biurku, robiąc notatki do nowej książki, którą właśnie zaczynała. Nie podjęła jeszcze decyzji, czy Celia, jej główna bohaterka, ma być projektantką wnętrz czy też prawniczką. Zdawała sobie sprawę, że to dwa różne typy osobowości, ale jako projektantka Celia mogła poznać swojego pierwszego męża, urządzając mu apartament na Manhattanie. Z drugiej strony, gdyby była prawniczką, wątek powieści zyskałby na dynamiczności.

Postanowiła przeczytać gazetę. Pierwsza zasada pisarza: trzymaj wyobraźnię w ryzach, dopóki nie włączysz komputera. Wyrzała na zewnątrz. Okna przykuchennej jadalni wychodziły na trawnik, teraz pokryty śniegiem, dalej był ogród prowadzący do

basenu i kort tenisowy. Uwielbiała to miejsce. Złościła ją ludzie krytykujący New Jersey. Cóż, jak mawiał jej tata: „kiedy poznają lepiej, to przestaną”.

Było jej ciepło i przyjemnie w pikowanym satynowym szlafroku. Regan, zamiast uganiać się za jakimiś łobuzami po Los Angeles, przyjechała do domu i miała z nimi spędzić weekend. Parę tygodni temu zaręczyła się w gondoli balonu nad Las Vegas. Nory nie obchodziło, gdzie i w jaki sposób nastąpiły zaręczyny, po prostu cieszyła się, że może wreszcie zacząć planować ślub córki. Ważne, że Regan nie mogła trafić na lepszego kandydata niż wspaniała Jack Reilly.

Za parę godzin mieli wyjechać do pięknego rodzinnego pensjonatu Trappów i spotkać się tam z przyjaciółmi, Elwirą i Willym Meehanami. Czyż mogła narzekać? Przerzuciła strony gazety, szukając ulubionego działu.

Jej uwagę przykuło zdjęcie ładnej kobiety w długiej spódnicy, bluzce i kamizelce, stojącej pośród drzew, najwyraźniej w lesie. Podpis pod zdjęciem głosił: „Rockefeller Center wybiera choinkę”.

Zabierając się do czytania, pomyślała, że kobieta na fotografii wygląda znajomo.

Dwudziestoczworometrowy świerk ze Stowe w stanie Vermont wkrótce zostanie tegoroczną najstynniejszą bożonarodzeniową cho-

inką. Został wybrany ze względu na swe majestatyczne piękno. Jak się okazało, posadzono go prawie pięćdziesiąt lat temu w lesie przylegającym do posiadłości słynnej rodziny von Trappów. Maria von Trapp akurat przechodziła tamtędy, kiedy sadzono drzewko, i została przy nim sfotografowana. Ponieważ zbliża się czterdziesta rocznica powstania wspaniałego musicalu „Dźwięki muzyki”, który sławił wartości rodzinne i odwagę w obliczu przeciwności losu, zaplanowano specjalną uroczystość na przybycie choinki do Nowego Jorku.

Świerk zostanie ścięty w poniedziałek rano, przewieziony platformą na barcę zacumowaną w pobliżu New Haven i stamtąd zatoką Long Island popłynie na Manhattan. Gdy dotrze przed Rockefeller Center, powita go chór setek dzieci z całego miasta, które odśpiewają wiązankę melodii z „Dźwięków muzyki”.

–A to dopiero – odezwała się na głos Nora. – Zetną to drzewo, kiedy tam będziemy. Ciekawie będzie popatrzeć. – Zaczęła nucić pod nosem jeden z musicalowych szlagierów.

Tego samego ranka, zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów od nich, Packy Noonan obudził się z radosnym uśmiechem na twarzy.

–To twój wielki dzień, co, Packy? – odezwał się kwaśno C.R., gangster z sąsiedniej celi.

Packy rozumiał jego kiepski nastrój. CR. odsiadywał dopiero drugi rok z czternastoletniego wyroku i jeszcze się nie przystosował do życia za kratkami.

–To mój wielki dzień – przyznał Packy uprzejmie, pakując nie liczne osobiste drobiazgi: przybory toaletowe, bieliznę, skarpetki i zdjęcie dawno zmarłej matki. Wspominał o niej czule, ze łzami w oczach, ilekroć w kaplicy udzielał dobrych rad współwięźniom. Mówił im, że zawsze dostrzegła w nim dobro, nawet kiedy zszedł na złą drogę, a na łożu śmierci wyraziła przekonanie, że jej syn zmieni się w porządnego obywatela.

19

Tak naprawdę nie widział matki przez ostatnich dwadzieścia lat jej życia. Nie widział też powodu, by ogłaszać wszem wobec, że zostawiła cały swój mizerny dobytek siostrom miłosierdzia, a w testamencie napisała: „Mojemu synowi Patrickowi, niestety znanemu jako Packy, zostawiam jednego dolara i dziecinne krzeselko, ponieważ tylko w czasach, gdy był na tyle mały, że się w nim mieścił, dał mi nieco radości”.

Mama umiała posługiwać się słowami, pomyślał Packy z uznaniem. Chyba odziedziczyłem po niej ten dar. Urzędniczka z komisji zwolnień warunkowych omal się nie popłakała, kiedy na przesłuchaniu wyznał, że co wieczór modli się do matki. Nie na wiele mu się to przydało; odsiedział co do dnia najniższy wymiar plus dwa lata. Wzruszający apel został oddalony przez resztę komisji, sześcioma głosami przeciw jednemu.

Marynarka i spodnie, w których przybył do więzienia, zdążyły oczywiście wyjść z mody, ale i tak czuł się wspaniale, mogąc znów je włożyć. Dzięki wyłudzonej od naiwniaków pieniądзом zostały uszyte na miarę u Armaniego. Uważał, że wciąż wygląda całkiem nieźle... co nie znaczyło, że to ubranie choć na chwilę pozostanie w szafie Packy'ego, kiedy ten pryśnie już do Brazylii.

Jego adwokat, Thoris Twinning, miał przyjechać o dziesiątej i zawieźć go do ośrodka przejściowego w Upper West Side na Manhattanie, zwanego Zamkiem. Packy'emu bardzo się podobało, że w ciągu swej długiej historii ów Zamek dwukrotnie mieścił katolicką szkołę dla dziewcząt. Pomyślał, że mama powinna o tym wiedzieć. Uznałaby, że jej syn splugawi to miejsce.

Zgodnie z przepisami zwolnienia miał tam pozostać przez dwa tygodnie, żeby się przygotować na powrót do świata, w którym ludzie uczciwą pracą zarabiają na życie. Domyślał się, że podczas grupowych sesji objaśniane są przepisy dotyczące okresowego meldowania się na policji oraz kontaktów z kuratorem. Zapewniono go, że pracownicy Zamku znajdą mu jakieś mieszkanie do wynajęcia; mógł łatwo przewidzieć, że byłaby to obskurna nora na Staten Is-land lub w Bronksie. Specjalny

doradca pomógłby mu także w szybkim znalezieniu pracy.

Packy z trudem znosił oczekiwanie. Wiedział, że syndyk wyznaczony przez władze do odzyskania pieniędzy utraconych przez in-

westorów prawdopodobnie wyśle za nim ogon. Nic nie mogło sprawić większej uciechy Packy'emu niż zgubienie obstawy. Nie będzie tak, jak przed trzynastu laty, kiedy na całym Manhattanie roіło się od szukających go detektywów. Aresztowano go tuż przed tym, gdy miał zabrać łup ukryty w Vermoncie i opuścić kraj. To się nie może powtórzyć.

Został poinformowany, że w niedzielę wolno mu opuścić Zamek rano, ale musi się zameldować z powrotem przed kolacją. Packy obmyślił już dokładnie, jak się pozbyć głupka, który miał go śledzić.

O dziesiątej czterdzieści w niedzielę rano Benny i Jo-Jo mieli czekać na skrzyżowaniu Madison i Pięćdziesiątej Pierwszej w wanie z bagażnikiem na narty, żeby razem wyruszyć do Vermontu. Zgodnie z jego wskazówkami, Benny i Jo-Jo pół roku wcześniej wynajęli farmę nieopodal Stowe. Jedyłą jej zaletą była olbrzymia, waląca się stodoła, odpowiednia do ukrycia wielkiej ciężarówki z platformą.

Bliźniacy ulokowali na farmie swojego znajomego, nienotowane-go przez policję faceta, niewiarygodnie naiwnego i szczęśliwego, że ktoś chce mu płacić za pilnowanie domu.

Gdyby przypadkiem coś poszło nie tak, policja nie szukałaby platformy z drzewem w zamieszanych miejscach. W Stowe było pod dostatkiem farm ze stodołami, należących do zamiejscowych narciarzy, którzy zazwyczaj pojawiali się dopiero po Święcie Dziękczynienia.

Przywiązałem butelkę z diamentami do gałęzi trzynaście lat temu, rozmyślał Packy. Świerk rośnie około pół metra rocznie. Oznaczona gałąź znajdowała się wówczas na wysokości mniej więcej sześciu metrów. Stałem na szczycie sześciometrowej drabiny. Teraz ta gałąź powinna być jakieś dwanaście metrów nad ziemią. Problem w tym, że żadna zwykła drabina nie sięga tak wysoko.

Dlatego trzeba ściąć to drzewo, a gdyby ktoś, kto nie ma nic lepszego do roboty niż wtrącać się w cudze sprawy, zadawał pytania, możemy powiedzieć, że zostanie zawieszony na bożonarodzeniowy festyn w Hackensack w stanie New Jersey. Jo-Jo ma fałszywe zezwolenie na ścięcie świerka i podrobiony list od burmistrza Hackensack z podziękowaniem za świąteczną choinkę, więc to powinno załatwić sprawę.

Packy wytężał umysł, szukając słabych punktów w dotychczasowej części planu, ale żadnego nie znalazł. Zadowolony pomyślał o zakończeniu akcji: wprowadzimy platformę do stodoły, znajdziemy gałąź z ukrytym łupem, a potem pryśniemy do Brazylii, cha, cha, cha.

Myślał o tym wszystkim, jedząc ostatnie śniadanie w więzieniu federalnym. Skończywszy posiłek, pożegnał się serdecznie ze współtowarzyszami.

–Powodzenia, Packy – życzył mu kieszonkowiec Tom.

–Nie przestawaj nauczać – napomniał go z powagą siwy więzień z długim wyrokiem. – Pamiętaj o obietnicy złożonej matce, że będziesz dawał dobry przykład młodym.

Ed, adwokat, który wyprowadził miliony z funduszu powierniczego swojego klienta, uśmiechnął się, machając przy tym ręką.

–Daję ci trzy miesiące, zanim tu wrócisz – rzekł przewidująco.

Packy nie okazał, jak bardzo go to ubodło.

–Przyślę ci pocztówkę, Ed – obiecał. – Z Brazylii – dodał w duchu, ruszając za strażnikiem do biura, gdzie czekał już Thoris Twinning, jego obrońca z urzędu.

Thoris promieniał.

–Jaki szczęśliwy dzień! – wykrzyknął na powitanie. – Szczęśliwy, naprawdę szczęśliwy dzień. Mam wspaniałe nowiny. Kontaktowałem się z twoim kuratorem, znalazł ci zajęcie. Od następnego po niedzialku będziesz pracował w barze sałatkowym w restauracji Palace-Plus, na rogu Broadway i Dziewięćdziesiątej Siódmej.

W następnym poniedziałek stado służby będzie mi podawać winogrona prosto do ust, pomyślał Packy, ale przywołał na usta uroczy uśmiech, którym oczarował Opal Fogarty i dwustu innych inwestorów oszukanych przez fikcyjną firmę spedycyjną Patricka Noonana.

–Modlitwy mojej mamy zostały wysłuchane – odparł radośnie.

Wzniósł oczy ku niebu, a jego ostre rysy przybrały wyraz wdzięczności. Westchnął. – Uczciwa praca za uczciwą dniówkę. Właśnie tego mama zawsze mi życzyła.

–No, no, ależ piękne to auto – pochwaliła Opal Fogarty z tylnego siedzenia mercedesa Elwiry i Willy'ego. – Kiedy byłam mała, mieliśmy terenową furgonetkę. Ojciec mówił, że czuje się w niej jak kowboj. Matka odpowiadała na to, że prowadzi się ją jak wierzgającego byka, więc rozumie, dlaczego ojciec czuje się jak kowboj. Kupił ją w tajemnicy przed matką. Mama była wściekła! Swoją drogą, po czciwy gruchot służył przez czternaście lat, zanim wreszcie zdechł na środku mostu Triborough w godzinie szczytu. Nawet ojciec przyznał wtedy, że czas się pożegnać z furgonetką, i tym razem matka towarzyszyła mu przy zakupie następnego auta. – Parsknęła śmiechem. – Uparta się, że sama dokona wyboru. To był dodge. Tata ją rozzłościł, pytając sprzedawcę, czy wyposażenie obejmuje taksometr. Elwira odwróciła się, żeby spojrzeć na przyjaciółkę.

–Czemu o to spytał?

–Kochanie, prawie wszystkie taksówki były tej marki – wyjaśnił Willy. – To zabawne, Opal.

–Tata był zabawny – odpowiedziała. – Zwykle nie miał grosza przy duszy, ale bardzo się starał. Kiedy miałam osiem lat, odziedziczył dwa tysiące dolarów i ktoś mu poradził, żeby zainwestował w akcje firmy produkującej spadochrony. Dał sobie wmówić, że tak zrobią wszyscy, którzy pracują w lotnictwie cywilnym, bo pasażerowie samolotów będą musieli mieć spadochrony. Chyba jestem dziedzicznie obciążona łatwowiernością.

Elwira ucieszyła się, słysząc śmiech przyjaciółki. Była druga po południu; jechali drogą 91 w stronę Vermontu. O dziesiątej pakowali z Willym rzeczy na wyjazd, popatrując w telewizor w sypialni, kiedy pewien fragment wiadomości przykuł ich uwagę. Pokazywano Packy'ego Noonana opuszczającego więzienie federalne w samochodzie jego adwokata. Przy bramie wysiadł, żeby porozmawiać z reporterami.

–Żałuję, że inwestorzy ponieśli straty przez moją firmę – mówił. Oczy miał pełne łez, wargi mu drżały. – Będę pracował w barze sałatkowym w restauracji Palace-Plus i poproszę, żeby dziesięć pro-

cent moich poborów zabierano na poczet spłaty ludzi, którzy stracili swoje oszczędności w mojej firmie.

–Dziesięć procent z minimalnej płacy! – prychnął Willy. – On chyba kpi.

Elwira rzuciła się do telefonu, żeby zadzwonić do Opal.

–Włącz kanał dwudziesty czwarty! – poleciła. I prawie natychmiast pożałowała, że zadzwoniła, ponieważ na widok Packy'ego przyjaciółka zaczęła płakać.

–Och, Elwiro, niedobrze mi się robi na myśl, że ten wstrętny oszust jest wolny jak ptak, podczas gdy ja tu siedzę i marzę o tygodniowych wakacjach, bo jestem strasznie zmęczona. Zapamiętaj moje słowa, ten łobuz pryśnie do swoich koleśków na Riwierę, czy gdzie tam są, z moimi pieniędzmi w kieszeni.

Wtedy Elwira uparła się, by Opal spędziła z nimi długi weekend w Vermoncie.

–Mamy dwie duże sypialnie i łazienki – zachęcała – a wyjazd dobrze ci zrobi. Możesz nam pomóc odczytać mapę i znaleźć moje drzewo. Wprawdzie o tej porze nie wycieka z niego syrop, ale spa kowałam słoik przysłany przez maklerów. Jest tam mała kuchnia, więc może zrobię naleśniki i spróbujemy, jak ten syrop smakuje. Poza tym wyczytałam w gazecie, że niedaleko miejsca, gdzie się za trzymamy, będą ścinać choinkę do Rockefeller Center. Możemy po patrzeć, nie sądzisz?

Nie musiała długo namawiać przyjaciółki. Opal nabrała wigoru, a w drodze do Vermontu wygłosiła tylko jedną uwagę na temat Pa-cky'ego Noonana.

–Wyobrażam go sobie pracującego w barze sałatkowym w restauracji. Pewnie podkradałby grzanki i upychał po kieszeniach.

Czasami Milo Brosky żałował, że w ogóle poznał bliźniaków Como. Wpadł na nich przypadkiem w Greenwich Village przed dwudziestu laty, wyszedłszy ze spotkania poetyckiego w lokalu Eddie-go. Benny i Jo-Jo zaśmiewali się głośno, siedząc w barze.

Było mi tam całkiem dobrze, wspominał Milo, sącząc piwo w głównym pokoju zapuszczonej farmy w Stowe w stanie Vermont. Akurat przeczytałem swój wiersz o brzoskwini, która zakochuje się w muszce owocowej, i uczestnicy spotkania uznali go za cudowny. Dostrzegli w moim utworze głęboki sens i wrażliwość, bynajmniej nieskażone sentymentalizmem. Czułem się tak wspaniale, że postanowiłem w drodze do domu wstąpić do baru, i właśnie wtedy spotkałem bliźniaków.

Milo pociągnął kolejny łyk piwa. Powinienem był się wycofać z tej znajomości, rozmyślał ponuro. Nie można powiedzieć, że mnie źle traktowali. Wiedzieli, że nie zaistniałem jeszcze na dobre jako poeta i przyjmę każdą pracę, by zapewnić sobie dach nad głową. Tylko że akurat ten dach wygląda tak, jakby miał mi się zawalić na głowę. Oni na pewno coś knują.

Milo zmarszczył czoło. Miał czterdzieści dwa lata, włosy do ramion i rzadką brodę; mógłby być statystą w filmie o Woodstock' 69. Chude ręce zwisały mu z kościstych ramion, szare oczy miały niezmiennie wyraz szczerzej życzliwości, a melodyjny głos przywodził słuchaczom na myśl słowa takie jak „łagodność” i „czułość”.

Milo wiedział, że kilkanaście lat wcześniej bracia Como musieli pośpiesznie wynieść się z miasta, ponieważ byli zamieszani w aferę Packy'ego Noonana. Przez te lata nie miał od nich żadnych wiadomości. A pół roku temu znieścacka zadzwonił do niego Jo-Jo. Nie powiedział, skąd dzwoni, spytał tylko, czy Milo byłby zainteresowany zarobieniem mnóstwa pieniędzy bez żadnego ryzyka. Miałyby tylko znaleźć farmę do wynajęcia w Stowe w stanie Vermont. Musiała tam być wielka stodoła długości przynajmniej trzydziestu metrów. Do Nowego Roku miał tam spędzać weekendy. Niech pozna okolicznych mieszkańców, wyjaśni im, że jest poetą i podobnie jak J.D. Salinger czy Aleksander Sołżenicyn potrzebuje odosobnionego miejsca w Nowej Anglii, gdzie mógłby pisać w samotności.

Dla Mila było jasne, że Jo-Jo odczytuje z kartki oba nazwiska i nie ma pojęcia, kim jest Salinger, a tym bardziej Sołżenicyn, ale propozycja padła w doskonałym momencie. Dorywcze zajęcia się skończyły. Umowa wynajmu mieszkania na poddaszu wygasła, a gospodyni stanowczo odmówiła jej przedłużenia. Nie mogła

zro-25
 zrozumieć, dlaczego Milo musi pisać późną nocą, choć tłumaczył jej, że właśnie wtedy jego myśli uwalniają się od przyziemności, a głośny rap dodaje skrzydeł jego poezji.

Szybko znalazł odpowiednią farmę w Stowe i zamieszkał na wsi. Choć regularne wpłaty na konto ratowały mu życie, nie wystarczały na utrzymanie drugiego lokum w Nowym Jorku. Ceny były tam astronomiczne; Milo przeklinał dzień, w którym oznajmił swojej gospodyni, że musi nocą głośno puszczać melodie z odtwarzacza, by zagłuszyć jej chrapanie. Mówiąc krótko, Milo nie był szczęśliwy. Miał dość wiejskiej nudy i tęsknił za gwarnym życiem Greenwich Village. Lubił towarzystwo i choć często zapraszał mieszkańców Stowe, by poczytać im swoje wiersze, po dwóch pierwszych wieczorach poetyckich nikt już się nie pojawił. Jo-Jo obiecał, że pod koniec roku da mu premię w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Jednakże

Milo zaczął podejrzewać, że sama farma i jego obecność na niej mają coś wspólnego z wypuszczeniem Packy'ego z więzienia.

–Nie chcę się pakować w kłopoty – uprzedził podczas jednej z rozmów telefonicznych z Jo-Jo.

–Kłopoty? O czym ty mówisz? – obruszył się tamten. – Ja miałbym wpakować kumpla w kłopoty? Czego od ciebie oczekuję? Wynajęcia farmy. Czy to zbrodnia?

Głośne pukanie do drzwi przerwało rozważania Mila. Podbiegł, żeby otworzyć, i osłupiał na widok gości – dwóch krępych mężczyzn w narciarskich strojach, stojących przed ciężarówką z platformą, na której leżały powykrzywiane choinki. Dopiero po chwili, rozpoznawszy w końcu przybyszów, wykrzyknął:

–Jo-Jo, Benny! – Rozpostarł ramiona do uścisków, dziwiąc się w duchu, jak bardzo się zmienili.

Jo-Jo zawsze był korpulentny, ale teraz przybyło mu dobre dziesięć kilogramów; ogorzały na twarzy, z przeredzonymi włosami, wyglądał jak zapasiony kocur. Benny, tego samego wzrostu – obaj mieli po niecałe metr siedemdziesiąt – kiedyś był tak chudy, że mógłby się przecisnąć szparą pod drzwiami. On także przytył i choć nadal o połowę szczuplejszy od brata, zaczął bardziej go przypominać posturą.

Jo-Jo nie tracił czasu.

–Założyłeś kłódkę na drzwiach stodoły, Milo. Mądrze zrobiłeś. Otwórz ją.

–Już, już. – Rzucił się do kuchni, gdzie na gwoździu wisiał klucz od kłódki.

Jo-Jo tak dokładnie opisał mu przez telefon wymagania co do wielkości stodoły, że Milo od razu nabrał podejrzeń, iż była głównym powodem, dla którego bliźniacy szukali farmy do wynajęcia. Miał nadzieję, że nie będą im przeszkadzać drewniane przegrody, dzielące pomieszczenie na boksy. Poprzedni właściciel zbankrutował, próbując hodować konie wyścigowe. Spodziewał się, że zrobi złoty interes, tymczasem według miejscowej plotki niezmiennie wybierał beznadziejne chabety, żrące bez opamiętania i odpadające już na starcie.

–Pośpiesz się, Milo! – Benny niecierpliwił się, choć przyniesienie klucza trwało nie więcej niż pół minuty. – Nie chcemy, żeby jakiś tu tejszy chłopak przyszedł słuchać twojej poezji i zobaczył platformę.

Jego ostrożność wydała się Milowi dziwna, lecz nie tracąc czasu na włożenie kurtki ani roztrząsanie własnych wątpliwości, pognął przez podwórze, żeby otworzyć szerokie wrota stodoły.

Wieczór był mroźny; Milo trząsał się z zimna. W zapadającym zmierzchu dostrzegł za platformą jeszcze jeden pojazd – van z bagażnikiem na narty na dachu. Pomyślał, że widocznie bracia zaczęli uprawiać narciarstwo. Odkrycie go rozbawiło, bo nigdy by ich nie podejrzewał o sportowe zacięcie.

Benny pomógł mu otwierać wrota. Milo zapalił światło i natychmiast ujrzał przerażenie na twarzy drugiego z braci.

–Co to za boksy? – wystękał Jo-Jo.

–Hodowali tu kiedyś konie. – Nie wiedzieć czemu, Milo nagle ogarnęło zdenerwowanie. Zrobiłem wszystko tak, jak chcieli, więc nie ma powodu do strachu, pocieszał się w myślach. – Stodoła ma odpowiednie rozmiary – bronił się, jak zwykle łagodnym głosem. – Rzadko się spotyka takie duże.

–Tak, jasne. Odsuń się. – Jo-Jo władczym gestem dał znak bliźniakowi, żeby wjechał platformą do środka.

Tamten wprowadził pojazd przez wrota i natychmiast głośny trzask oznajmił, że przy okazji został roztrzaskany pierwszy boks.

Odgłos powtarzał się nieustannie, dopóki cała platforma nie zmieściła się w stodole. Miejsca po bokach było tak niewiele, że Benny musiał przejść z siedzenia kierowcy na miejsce pasażera, by uchylić drzwi i z trudem wysiąść, a potem, rozplaszczając się na deskach boksów, krok po kroku dotarł do wyjścia.

–Chce mi się piwa. Może dwóch lub trzech piw – odezwał się, stanąwszy wreszcie obok Mila i Jo-Jo. – Masz coś do jedzenia, Milo?

Podczas półrocznego doglądania farmy, z braku lepszego zajęcia w chwilach, gdy nie pisał poezji, Milo nauczył się gotować. Teraz cieszył się, że w lodówce ma świeży sos do spaghetti. Pamiętał, że bracia Como uwielbiają makarony.

Kwadrans później siedzieli przy kuchennym stole, popijając piwo, podczas gdy Milo podgrzewał sos i gotował wodę na makaron. Krzątając się po kuchni, przysłuchiwał się rozmowie bliźniaków. Usłyszawszy wymówione szeptem imię „Packy”, upewnił się, ku swemu przerażeniu, że wynajęcie farmy ma coś wspólnego z wypuszczeniem Noonana z więzienia.

Tylko co? I jaka jest w tym rola jego, Mila? Odczekał, aż przed braćmi stanęły dymiące talerze makaronu, i oznajmił, starając się panować nad głosem:

–Jeśli to ma coś wspólnego z Packym Noonanem, to ja się stąd zmywam.

Jo-Jo się uśmiechnął.

–Bądźże rozsądny, Milo. Wynajęłeś dla nas metę, wiedząc, że się ukrywamy. Od pół roku dostajesz forszę na rachunek w banku. Masz tu tylko siedzieć i pisać te swoje wiersze, a za parę dni dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce i możesz się wynosić, dokąd chcesz.

–Za parę dni? – spytał Milo z niedowierzaniem, wyobrażając sobie, ile szczęścia można kupić za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Można wynająć przyzwoite mieszkanie w Village. Nie przejmować się dorywczymi pracami przez co najmniej dwa lata. Nikt nie potrafił oszczędzać tak jak on.

Jo-Jo przyglądał mu się z uwagą. W końcu zadowolony pokiwał głową.

–Jak mówiłem, masz tu tylko siedzieć i pisać poezje. Napisz jakiś ładny wiersz o drzewie.

–O jakim drzewie?

–Wiemy tyle co ty, czyli nic, ale już wkrótce się dowiemy.

7

Nie mogę uwierzyć, że siedzę tu przy obiedzie nie tylko z Elwirą i Willym, ale także z Norą Regan Reilly, tą sławną pisarką, i jej rodziną, myślała Opal. Dziś rano, obejrzawszy w telewizji tę nędzną kreaturę Packy'ego Noonana, miała ochotę schować się pod kołdrę i nigdy więcej nie wstać z łóżka. I proszę, jak wszystko może się zmienić.

Nowi znajomi byli bardzo mili. Przy obiedzie opowiedzieli jej o tym, jak Lukę został porwany i przetrzymywano go na przeciekającej łodzi na rzece Hudson wraz z kobietą, która pracowała u niego jako kierowca, a była samotną matką dwóch małych chłopców. Niechybnie by utonęli, gdyby Elwira i Regan ich nie uratowały.

–Tworzymy z Elwirą zgraną drużynę – powiedziała Regan Reilly. – Byłoby dobrze, gdybyśmy wspólnymi siłami odzyskały twoje pieniądze, Opal. Jesteś przekonana, że Packy Noonan gdzieś je ukrył, prawda?

–Bez wątpienia – wtrącił się Jack Reilly. – Sprawa toczyła się przed sądem federalnym, więc nie mieliśmy z nią do czynienia, ale domyślam się, że ten człowiek ma jakiś schowek. Odliczając to, co według federalnych Packy wydał, nadal brakuje od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu milionów dolarów. Prawdopodobnie trzyma te pieniądze na tajnym koncie w Szwajcarii albo w jakimś banku na Kajmanach.

Jack popijał kawę, trzymając lewą rękę na oparciu krzesła Re-gan. Patrzył na swoją narzeczoną w taki sposób, że Opal pożałowała, że nie spotkała na swej drodze kogoś podobnego. Był bardzo przystojny, a Regan taka śliczna. Jack miał pszeniczne, lekko kręcone włosy, oczy ni to zielone, ni to piwne oraz regularne rysy, podkreślone mocną linią szczęki. Weszli z Regan do jadalni, trzymając się

za ręce. Regan była wysoka, lecz Jack i tak znacznie przewyższał ją wzrostem, a do tego miał szerokie ramiona.

Choć był dopiero drugi tydzień listopada, po pierwszych obfitych opadach na drózkach i pagórkach leżała spora warstwa śniegu. Następnego dnia cała rodzina Reillych wybierała się na narty. Opal uśmiechnęła się, słysząc, że Jack przypadkiem także nosił to samo nazwisko. Wraz z Elwirą i Willym zamierzali pospacerować po lesie w poszukiwaniu ich drzewa. A po południu wybierali się na lekcję narciarstwa biegowego. Elwira powiedziała jej, że razem z Willym wielokrotnie biegali na nartach, że utrzymanie równowagi wcale nie jest trudne i świetnie się przy tym bawili.

Opal nie była pewna, czy będzie się bawić równie dobrze, ale zamierzała spróbować. Przed laty, w szkole, nieźle dawała sobie radę na zajęciach sportowych, a i ostatnio starała się nie opuszczać codziennych długich spacerów, by utrzymać formę.

–Masz tę swoją nieprzeniknioną minę, świadcząca o głębokim zamyśleniu – zwrócił się Lukę do żony.

Nora popijała cappuccino.

–Pamiętam, jak bardzo spodobała mi się historia rodziny von Trappów. Czytałam książkę Marii na długo przed obejrzeniem filmu. To naprawdę niezwykle, znaleźć się tu teraz, wiedząc, że była świadkiem sadzenia drzewa, które zostało wybrane na tegoroczną choinkę przed Rockefeller Center. Przy tych wszystkich zawirowaniach na świecie miło mieć świadomość, że nowojorskie dzieciaki bardzo się cieszą. Dlatego ten świerk wydaje się taki wyjątkowy.

–Cóż, nasz świerk spędza swój ostatni weekend w Vermoncie

–oznajmił trochę cierpko Lukę. – W poniedziałek rano przed wyjazdem możemy wszyscy tam pójść, popatrzeć, jak go ścinają, i ucałować drzewo na pożegnanie.

–Słyszałam przez radio w samochodzie, że w środę rano wyła dują go z barki na Manhattanie – włączyła się do rozmowy Elwira.

–Myślę, że warto tam być, kiedy choinka stanie na Rockefeller Center. Chciałabym zobaczyć te dzieci i posłuchać, jak śpiewają.

Jednak już mówiąc te słowa, miała dziwne przeczucie, że wydarzy się coś złego.

Rozejrzała się po przytulnej jadalni. Siedzieli przy obiedzie, uśmiechając się i gwarząc. Dlaczego więc nagle

przyszło jej do głowy, że szykują się kłopoty i to Opal znajdzie się w tarapatach? Elwira pomyślała z troską, że nie powinna była zapraszać przyjaciółki, ponieważ z jakiegoś powodu Opal nie jest tu bezpieczna.

Pierwsza noc Packy'ego w ośrodku przejściowym okazała się, jego zdaniem, niewiele lepsza od pobytu w więzieniu. Zameldował się, dostał łóżko i po raz kolejny pozwolił, by objaśniono mu przepisy. Natychmiast upewnił się, czy będzie mógł wyjść z Zamku w niedzielę rano, tłumacząc, że jako gorliwy katolik nigdy nie opuszcza mszy. Dodał przy tym, że właśnie przypada rocznica śmierci jego matki. Packy dawno zapomniał, kiedy zmarła, ale łza pojawiająca się w oku na zawołanie oraz łobuzerski uśmiech towarzyszący wyznaniu: „Niech ją Bóg ma w opiece. Nigdy we mnie nie zwątpiła” – sprawiły, że dyżurny kurator zapewnił go skwapliwie, że z pewnością będzie mógł sam pójść na niedzielną mszę.

Następne półtora dnia minęło bez godnych uwagi wydarzeń. Cierpliwie słuchał ostrzeżeń, że jeśli nie będzie dokładnie spełniał warunków zwolnienia, może zostać odesłany z powrotem do więzienia. Podczas posiłków wyobrażał sobie uczyty, jakie czekają go wkrótce w najlepszych restauracjach Brazylii, w których pojawi się już z nową twarzą. W nocy z piątku na sobotę zamknął oczy w pokoju dzielnym z dwoma innymi niedawno wypuszczonymi przestępcami i zasnął, śniąc o pościeli z egipskiej bawełny, jedwabnych piżamach, a na koniec o tym, jak weźmie do ręki swoją piersiówkę z diamentami.

Niedzielny ranek wstał pogodny i rześki. Przed dwoma tygodniami, znacznie wcześniej niż zwykle, spadł pierwszy śnieg, a prognoza zapowiadała kolejne opady. Wyglądało na to, że nadchodzi porządna zima, lecz Packy'emu wcale to nie przeszkadzało. Nie miał zamiaru znosić jej wraz ze swymi rodakami.

Przez lata odosobnienia zdołał utrzymać kontakt z braćmi Como, opłacając sporą liczbę starannie wybranych gości odwiedzają-

31

cych innych więźniów, by wysyłali jego listy i dostarczali mu odpowiedzi od bliźniaków. Nie dalej niż w ubiegłym tygodniu Jo-Jo potwierdził plan spotkania za katedrą Świętego Patryka, przypominając, by Packy wziął udział we mszy o dziesiątej piętnaście, a potem czekał w alei Madison.

Zatem Benny i Jo-Jo będą czekać w umówionym miejscu. Dlaczegoż miałoby ich nie być, zadał sobie w duchu pytanie. O ósmej zamknął za sobą drzwi Zamku i wyszedł na ulicę. Postanowił pokonać pieszo całą tę długą drogę, nie po to, by zaznać ruchu, lecz ponieważ wiedział, że będzie śledzony, i chciał, by jego ogon trochę się zmęczył.

Niemal słyszał wskazówki, jakie otrzymał agent wyznaczony do tego zadania.

–Nie spuszczaaj z niego oka. Prędzej czy później zaprowadzi nas tam, gdzie ukrył pieniądze.

Otóż nie, nie zaprowadzę, myślał Packy, idąc szybko Broadwa-yem. Kilka razy, stając na czerwonym świetle, rozglądał się, udając zachwyt widokiem świata, którego tak długo mu brakowało. Już za drugim razem zdołał wypatrzeć swój ogon – osiłka w stroju do biegania.

Też mi sportowiec, pomyślał Packy kpiąco. Będzie miał szczęście, jeśli nie zgubi mnie jeszcze przed katedrą.

W niedzielę o dziesiątej piętnaście zawsze gromadziły się największe tłumy. Śpiewał wtedy chór w pełnym składzie, a mszę celebrował często sam kardynał. Packy wiedział, gdzie usiąść – po prawej stronie, blisko ołtarza. Powinien odczekać, aż będzie rozdawana komunia, i stanąć w szeregu z innymi wiernymi. Następnie, gdy przyjdzie jego kolej, miał przejść na lewo od ołtarza, do korytarza prowadzącego do budynku przy Madison, gdzie mieściły się biura archidiecezji. Pamiętał, że w jego czasach szkolnych dzieciaki z klasy zbierały się tam i razem maszerowały do katedry.

Jo-Jo i Benny mieli czekać w vanie zaparkowanym przy wejściu do budynku od strony alei i zabrać go, nim agent zdąży się połapać w sytuacji.

Packy zjawił się w katedrze przed czasem i zapalił świeczkę przed figurą świętego Antoniego. Wiem, że jeśli się pomodłę do ciebie,

kiedy coś zgubię, pomożesz mi to znaleźć, przypomniał świętemu, ale rzecz, której szukam, jest ukryta, nie zgubiona. Dlatego nie muszę się modlić o to, co chcę odzyskać. Oczekuję od ciebie jedynie małej pomocy w zgubieniu tego przebranego biegacza.

W złożonych do modlitwy dłoniach trzymał ukryte lusterko; mógł dzięki niemu obserwować agenta, klęczącego w pobliskiej ławce.

O dziesiątej piętnaście Packy czekał, aż przy dźwiękach organów ksiądz pojawi się przy ołtarzu. Następnie przeszedł szybko nawą do ostatniego miejsca w szóstym rzędzie od przodu. Lusterko pozwoliło mu dostrzec, że cztery rzędy dalej biegacz nie zdołał zająć miejsca z brzegu ławki i musiał się przeciskać obok dwóch starszych kobiet, żeby usiąść.

Packy z czułością pomyślał o staruszkach. Zawsze chciały siedzieć na skraju. Jakby się bały, że coś im umknie, jeśli się przesuną, robiąc komuś miejsce.

Pojawił się jednak pewien problem – w katedrze było pełno ochroniarzy. Packy się tego nie spodziewał. Nawet dwulatek by się domyślił, że niektórzy z mężczyzn w bordowych marynarkach nie są zwykłymi kościelnymi. Poza nimi było też kilku umundurowanych policjantów. Gdyby postawił stopę przy ołtarzu, natychmiast by go dopadli.

Po raz pierwszy zaniepokojony, Packy rozejrzał się uważniej. Krople potu zrosiły mu czoło, gdy sobie uświadomił, że ma niewiele możliwości. Najodpowiedniejsze wydały mu się boczne drzwi po prawej stronie. Musi wyjść wcześniej, podczas czytania ewangelii. Wszyscy będą wówczas stali, więc łatwo się wymknie, nie zwracając uwagi agenta. Potem skręci w lewo i przebiegnie pół przecznicy do Madison, a następnie już samą aleją do vana. Modlił się w duchu, by Jo-Jo i Benny już tam byli. Jednak nawet gdyby ich nie znalazł i gdyby był śledzony, wcześniejsze wyjście z kościoła nie naruszało warunków zwolnienia.

Packy poczuł się lepiej. W lusterku zobaczył, że do ławki biegacza wcisnęła się jeszcze jedna osoba. Zgodnie z obyczajem staruszki na moment wyszły, żeby ją wpuścić, i teraz „ogon” Packy'ego sąsiadował z jakimś muskularnym nastolatkiem, którego niełatwo będzie odepchnąć.

–Niech każdy z nas zastanowi się nad swoim życiem, nad tym, czego dokonał, i nad tym, co mu się nie udało – mówił ksiądz odprawiający mszę.

To ostatnia rzecz, nad jaką Packy chciałby się zastanawiać. Odczytano fragment listu świętego Pawła. Packy nie słuchał, skupiony wyłącznie na ucieczce.

–Alleluja – zaśpiewał chór.

Wierni powstali. Packy w okamgnieniu znalazł się przy bocznych drzwiach katedry, wychodzących na ulicę Pięćdziesiątą. Nim zabrzmiało drugie alleluja, był na Madison. Przy trzecim dostrzegł vana, otworzył drzwi, wskoczył do środka i odjechał.

W katedrze muskularny młodzieniec przybrał otwarcie wojowniczą postawę.

–Niech pan posłucha – zwrócił się do biegacza. – Mógłbym przewrócić te dwie starsze panie, gdybym pozwolił panu się rozpychać. Niechże się pan uspokoi, człowieku.

W niedzielę po południu Elwira powiedziała z zachwytem:

–Masz wrodzony talent do narciarstwa, Opal.

Łagodna twarz przyjaciółki rozpromieniła się pod wpływem pochwały.

–W szkole byłam naprawdę niezła w sporcie – przyznała. – Najlepiej lubiłam softball. Chyba rzeczywiście mam dobrą koordynację ruchową. Kiedy włożyłam te biegówki, od razu poczułam się w swoim żywiole.

–Wyprzedziłaś Elwirę i mnie już na starcie – zauważył Willy. – Ruszyłaś do przodu, jakbyś się urodziła na nartach.

Była piąta po południu. Siedzieli, każde z lampką wina w dłoni, przy ogniu płonącym na kominku w domku wynajętym od Trap-pów. Odnalezienie drzewa Elwiry na razie odłożyli na później. W sobotę, przekonawszy się, że wszystkie popołudniowe lekcje biegania na nartach są już zarezerwowane, szybko zapisali się do porannego niedzielnego instruktora. Nagle jednak po lunchu okazało się, że

w grupie popołudniowej jest jedno wolne miejsce, i Opal postanowiła z niego skorzystać.

W niedzielę, po mszy w kościele Najświętszego Sakramentu i godzinie spędzonej na nartach, Elwira i Willy mieli dość i z radością udali się do domku na filiżankę herbaty i małą drzemkę. Opal wróciła o zmierzchu. Elwira zaczynała się już martwić o przyjaciółkę, kiedy ta zajechała pod drzwi, zarumieniona, z błyszczącymi oczyma.

–Och, Elwiro! – westchnęła, odpinając narty. – Nie bawiłam się tak dobrze od czasu... – Urwała, a uśmiech nagle zgasł jej na ustach. Elwira doskonale wiedziała, co Opal ma na myśli: „Nie bawiłam się tak dobrze od dnia, kiedy wygrałam na loterii”. Na szczęście jednak uśmiech przyjaciółki szybko powrócił.

–Miałam cudowny dzień. Nie wiem, jak wam dziękować, że mnie zaprosiliście.

Nora, Lukę, Regan i jej narzeczony Jack spędzili kolejny dzień, jeżdżąc na nartach. Ustalili z Elwirą, że spotkają się na kolacji o siódmej, w głównej jadalni pensjonatu. Regan uraczyła ich opowieścią o jednej ze swych ulubionych spraw: o dziewięćdziesięcio-trzyletniej kobiecie, która zaręczyła się ze swym doradcą finansowym i trzy dni później miała za niego wyjść za mąż. W tajemnicy zaplanowała, że da po dwa miliony każdemu z czterech pasierbów i pasierbic, jeśli wszyscy razem pojawią się na ślubie.

–Tak naprawdę, to był jej piąty ślub – mówiła Regan. – Rodzina jakoś dowiedziała się o jej postanowieniu i stawiała na głowie, by wszyscy się tam znaleźli. Kto by nie stawał? Tyle że jedna z pasierbic jest aktorką i wyjechała na weekend. Wyłączyła telefon komórkowy i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Moim zadaniem było znalezienie jej i sprowadzenie na ślub, żeby obdarowani mogli zgarnąć pieniądze.

–Czyż to nie wzruszające? – zakpił Lukę.

–Za dwa miliony dolarów mógłbym zostać nawet jej druhną – oświadczył Jack ze śmiechem.

–Moja matka lubiła słuchać w radiu programu „Mr. Keen, poszukiwacz osób zaginionych” – wtrąciła Opal. – Wygląda na to, że jesteś nowym panem Keenem, Regan.

–Udało mi się znaleźć kilkoro zaginionych – przyznała Regan.

–Niktóрым z nich byłoby lepiej, gdyby ich nie wysłedziła – dodał Jack z uśmiechem. – Skończyli w pudle.

To był dla Opal kolejny cudowny posiłek. Miłe towarzystwo, przyjemna rozmowa, piękne otoczenie... i do tego jej świeżo odkryta pasja sportowa. Zostawiła bardzo daleko za sobą jadłodajnię w Village, gdzie pracowała przez ostatnie dwadzieścia lat, poza paroma miesiącami, kiedy żyła z pieniędzy wygranych na loterii. Nie żeby jadłodajnia była taka zła jako miejsce pracy; cieszyła się popularnością, ponieważ miała licencję na serwowanie alkoholu i oddzielny bar. Ale tace były ciężkie, a klientelę stanowili głównie studenci college'ów, którzy obnosili się z niedostatkiem, co zdaniem Opal stanowiło jedynie pretekst do zostawiania marnych napiwków.

Widząc, jak żyją Elwira i Willy, i wiedząc, że Herman Hicks mógł za część wygranej kupić sobie piękny apartament, Opal tym boleśniej uświadamiała sobie, jaka była głupia, ufając złotoustemu kłamcy Packy'emu Noonanowi. Straciła szansę na trochę swobody i luksusu. Tym ciężej było jej słuchać, kiedy Nora z entuzjazmem opowiadała o weselu, jakie planowała urządzić Regan i Jackowi. Bratanica Opal, jej ulubiona krewna, ciułała każdy grosz na swój ślub.

–Musi być skromny, ciociu Opal – powiedziała jej Kristy. – Nauczyciele nie zarabiają dużo. Mama i tata nie mogą mi pomóc, a nie masz pojęcia, ile kosztuje nawet skromna uroczystość.

Kristy, córka młodszego brata Opal, mieszkała w Bostonie. Skończyła college dzięki stypendium i teraz musiała je odpracować, ucząc w państwowej szkole dla trudnej młodzieży przez trzy lata po studiach. Tim Cavanaugh, młody człowiek, za którego wychodziła, uczęszczał na studia wieczorowe, żeby zrobić magisterium z księgowości. Oboje byli wspaniali i mieli mnóstwo przyjaciół. Opal pomyślała z żalem, że chętnie by im urządziła piękne wesele i pomogła wyposażyć pierwsze mieszkanie. Gdyby tylko...

Chciałabym, mogłabym, powinnam... Weź się w garść, upomniała się w duchu. Myśl o czymś innym.

Tym „czymś innym”, co przyszło jej do głowy, było pewne zdarzenie: sześćosobowa grupa, z którą jeździła na nartach w sobotę

po południu, mijając samotną farmę, położoną około trzech kilometrów od pensjonatu Trappów. Na podjeździe jakiś mężczyzna układał narty na bagażniku vana. Widziała go tylko przelotnie, jednak wydał jej się dziwnie znajomy, jakby ostatnio gdzieś go przypadkiem spotkała. Był niski i przysadzisty, ale jak sobie zaraz uzmysłowiła, tak wyglądała większość ludzi przychodzących do jej jadłodajni. Powtarzała sobie, że to tylko typ sylwetki z kimś jej się skojarzył, nic więcej. Mimo to wspomnienie nie dawało jej spokoju.

–Zgadzasz się, Opal? – dotarło do niej pytanie Willy'ego.

Zaskoczona uświadomiła sobie, że Willy powtarza je już drugi raz. O czym była mowa? Ach, tak. Proponował, by następnego dnia wcześniej zjedli śniadanie, a potem wybrali się popatrzeć, jak ścinają choinkę do Rockefeller Center. Później mogliby poszukać drzewa Elwiry, wrócić do pensjonatu, zjeść lunch i spakować się, a następnie jechać do domu.

–Oczywiście, że tak – zapewniła pośpiesznie. – Chciałabym tylko kupić aparat i zrobić kilka zdjęć.

–Opal, ja mam aparat. Zamierzam sfotografować drzewo Elwiry i wysłać zdjęcie do naszego maklera – wtrąciła się ze śmiechem Nora. – Do tej pory dostaliśmy od niego na Gwiazdkę jedynie ciasto owocowe.

–Słoik syropu klonowego z drzewa, którego możesz sobie dotknąć, jadąc setki kilometrów ze swojego miejsca zamieszkania, też nie wydaje mi się szczególnie hojnym prezentem – odpowiedziała Elwira. – Ludzie, którym sprzątałam domy, dostawali od swoich doradców finansowych wielkie butelki szampana.

–Te czasy minęły, tak jak toalety ze spłuczkami na łańcuszek – powiedział Willy, machając dłonią. – Dzisiaj należy się cieszyć, jeśli ktoś wyśle w twoim imieniu dar do instytucji dobroczynnej, o której nigdy nie słyszałeś, a do tego nie masz pojęcia, ile wysłał. – Na szczęście w mojej branży klienci nic od nas nie chcą, zwłaszcza podczas wakacji – wtrącił Lukę. Regan parsknęła śmiechem.

–Zaczynamy mówić od rzeczy. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć ścinanie choinki do Rockefeller Center. Pomyślcie tylko, ile ludzi będzie oglądać ten świerk w Boże Narodzenie. A potem za-

bawnie będzie się przekonać, jak szybko potrafimy dotrzeć z mapą do drzewa Elwiry.

Regan w żaden sposób nie mogła przewidzieć, że już następnego dnia ich radosna wyprawa zmieni się w koszmar, gdy Opal pojedzie samotnie na nartach przyjrzeć się niskiemu mężczyźnie, widzianemu przed farmą. Farmą, na której właśnie zjawiał się Packy Noonan.

10

Czuję się, jakbym występował w serialu o Waltonach, pomyślał Milo, unosząc pokrywkę wielkiego garnka i delektując się aromatem gulaszu wołowego, duszącego się na kuchni. Był wczesny niedzielny poranek i zapach gotowanych potraw sprawił, że farma wydawała się całkiem przytulna. Przez okno widział, że zaczyna padać śnieg. Choć wyglądało to całkiem malowniczo, nie mógł się doczekać końca swoich obowiązków i powrotu do Greenwich Village. Potrzebował bodźców w rodzaju spotkań literackich oraz opinii innych poetów. Słuchali z szacunkiem jego wierszy, bili brawo, a czasami nawet mówili, jak bardzo ich wzrusza jego poezja. Nawet jeśli udawali, to całkiem przekonująco. Dostarczali mu niezbędnej zachęty do tworzenia.

Bliźniacy Como oznajmili Milowi, że zamierzają wrócić na farmę w niedzielę po szóstej wieczorem i oczekują, że będzie na nich czekała gotowa kolacja. Wyjechali w sobotę po południu; niepokój, jaki okazywali, zjawiwszy się z platformą, był niczym w porównaniu z tym, jak się denerwowali, odjeżdżając vanem. Kiedy Milo zadał im niewinne pytanie, dokąd się wybierają, Jo-Jo wybuchnął:

–Nie twój interes!

Pamiętał, że gdy doradził mu wzięcie pigułki na uspokojenie, tamten omal się nie wściekł. Potem krzykiem nakazał Benny'emu, żeby zdjął narty z dachu samochodu i przymocował je od nowa porządnie. Twierdził, że jedna z nart jest obluzowana i że to typowe dla Benny'ego – położyć je tak, by któraś spadła na autostradzie prosto na wóz policyjny.

–Akurat tego brakowało, żeby stanowa drogówka oglądała nasze podrabiane prawa jazdy!

Piętnaście minut później wydzierał się na Benny'ego, żeby wszedł do domu, bo wataha narciarzy przejeżdża przez pole.

–Któryś z nich może być gliniarzem o sokolim wzroku – warknął. – Twoje zdjęcie pokazywali w telewizji, kiedy mówili o Packym, nie? Może chcesz zająć jego pryczę w celi?

Milo wywnioskował z tego, że obaj są ciężko przerażeni. Z drugiej strony sam także się bał. Było jasne, że wyprawa bliźniaków wiąże się z jakimś ryzykiem. Obawiał się, że jeśli zostaną aresztowani, to powiedzą o nim policji i zostanie oskarżony co najmniej o ukrywanie zbiegów. Nie powinien się zadawać z takimi typami, a był już pewien, że ich poczynania mają coś wspólnego z wyjściem Packy'ego z puszek. Czy ktoś uwierzy, że trzynaście lat temu Milo nie wiedział, że bliźniacy zniknęli dokładnie w chwili aresztowania Packy'ego i że od tamtej pory nie kontaktował się z nimi? Aż do teraz, oczywiście, poprawił się w myślach.

Nie. Nikt w to nie uwierzy.

Bliźniacy przez lata unikali wpadki, a sądząc po tym, jak dobrze byli odżywieni i po ich nowych lśniących zębach, które nawet nie wyglądały na sztuczne, nieźle im się powodziło. Musieli zatem mieć dostęp przynajmniej do części pieniędzy, które stracili oszukani inwestorzy. Milo się zastanawiał, po co ryzykowali.

Packy spłacił swój dług wobec społeczeństwa, ale został zwolniony warunkowo. A z rozmów bliźniaków, które prowadzili, kiedy im się wydawało, że Milo nie może ich podsłuchać, wynikało niezbiecie, że planują wyjechać ze Stanów w ciągu kilku najbliższych dni. Dokąd? I z czym?

Milo nabił na widelec kawałek wołowiny z gulaszu i włożył do ust. Spędził z Jo-Jo i Bennym niespełna dobę, jednak to wystarczyło, by długie lata, kiedy się nie widzieli, jakby odeszły w niepamięć. Nim Jo-Jo się zdenerwował, parę razy ze śmiechem wspominali stare dzieje. A po kilku piwach Benny zaprosił go nawet w odwiedziny do Bra...

Milo uśmiechnął się na to wspomnienie. Benny zaczął mówić „Bra...”, ale Jo-Jo gwałtownie go uciszył, więc zamiast dokończyć:

„Brazylii”, co bez wątpienia miał na myśli, powiedział: „Bra-Bra, to znaczy na Bora-Bora”.

Milo pomyślał wówczas, że Benny jeszcze nigdy nie wykazał się takim refleksem. Zaczął nakrywać do stołu. Gdyby przypadkiem bliźniacy pojawili się wraz z Packym Noonanem, czy Packy'emu będzie smakował gulasz, czy też dość się go najadł w więzieniu? Nawet jeśli, to tamten gulasz nie mógł się równać z moim, pocieszył się w duchu. A poza tym, gdyby ktoś nie miał ochoty na gulasz, jest mnóstwo sosu do spaghetti. Z tego, co Milo słyszał, Packy potrafił być wyjątkowo wredny, kiedy sprawy układały się nie po jego myśli. Mimo to Milo doszedł do wniosku, że chętnie by go poznał. Nie sposób było zaprzeczyć, że Packy odznaczał się czymś, co nazywano charyzmą. Między innymi dlatego jego proces nabrał tak wielkiego rozgłosu – ludzie nie potrafią się oprzeć charyzmatycznym przestępcom.

Zielona sałata z wiórkami parmezanu, domowe ciasteczka i lody dopełniały posiłku, który zadowoliłby królową Anglii, gdyby przypadkiem nadjechała na nartach. Milo był z siebie dumny. To, że wyszczerbiona zastawa nie od kompletu nie bardzo nadawała się na królewski stół, nie miało znaczenia. W każdym razie nie powinno przeszkadzać bliźniakom. Niezależnie od posiadanych pieniędzy, wciąż pozostawali zwykłymi bandziorami. Jak mawiała mama, klasy nie można kupić. I miała całkowitą rację!

Nie pozostało mu nic więcej do roboty przed ich powrotem. Podeszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. Rozejrzawszy się po podwórzu, jeszcze raz zadał sobie pytanie: Na co im platforma? Jeśli wybierali się do Bra Bra Brazylii, z pewnością nie mogli tam jechać takim pojazdem. Kiedy przybyli na farmę, na platformie leżało kilka cherlawych świerków, ale poprzedniego dnia Benny wrzucił je do jednego z boksów.

Może powinienem napisać wiersz o drzewie, zastanawiał się Milo, zamykając za sobą drzwi i udając się do wysłużonego biurka, które agent nieruchomości miał czelność nazwać antykiem. Usiadł i zamknął oczy.

Cherlawy świerk, którego nikt nie chciał, pomyślał ze smutkiem. Zostaje wrzucony do końskiej zagrody, gdzie stoi nieszczęśliwa szka-

pa przeznaczona na rzeź. Oboje się boją. Drzewko wie, że skończy w palenisku kominka.

Z początku drzewo i koń nie mogą się porozumieć, lecz ponieważ nieszczęścia chodzą parami, a nie mogą się nawzajem unikać, zostają przyjaciółmi. Drzewko opowiada szkapie o tym, że nie urosło, i wszyscy przezywali je Pokurczem. Dlatego je wyrzucono. Koń opowiada, jak podczas jedyne go wyścigu, który mógł wygrać, padł na tor po pierwszym okrążeniu, bo był zmęczony. Pokurcz i szkapa pocieszają się wzajemnie i planują ucieczkę. Koń chwytając Pokurcza za gałąź, wrzuca go sobie na grzbiet, uwalnia się z boksu i pędzi do lasu, gdzie odtąd żyją długo i szczęśliwie.

Ze łzami w oczach Milo pokiwał głową.

–Czasami piękny wiersz objawia się w gotowej postaci – powiedział na głos. Pociągając nosem, wyjął arkusz papieru i zaczął pisać.

11

Już w momencie gdy ujrzał ich vana na Madison, Packy wiedział, że przez te trzynaście lat połączone moce umysłowe braci Como nie zwiększyły się ani na jotę. Wskoczył na tylne siedzenie i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, wybuchnął:

–Co z tymi nartami? Może by od razu doczepić tablicę z napisem, że tym autem ucieka Packy Noonan?

–Co? – mruknął Benny, wyraźnie nie rozumiejąc.

Jo-Jo siedział za kierownicą; wcisnął pedał gazu o ułamek sekundy za późno, by zdążyć na światłach, więc postanowił nie ryzykować, zwłaszcza że na rogu ulicy stał policjant. Mimo że na nich nie patrzył, przejeżdżanie na czerwonym świetle byłoby nierozsądne.

–Kazałem wam zabrać narty, żebyśmy mogli włożyć je na ba gażnik, kiedy mnie już zabierzecie – warknął Packy. – Gdyby ktoś mnie zauważył biegnącego ulicą, widziałby, że wsiałem do vana. Potem byśmy się gdzieś zatrzymali i przymocowali narty na dachu. Szukają starego vana, a nie vana z nartami. Jesteście tacy tępi. Rów nie dobrze mogliście okleić całe auto nalepkami „Zatrąb, jeśli ko chasz Jezusa”.

Jo-Jo odwrócił głowę.

–Ryzykowaliśmy własną skórę, żeby cię zgarnąć, Packy. Wiesz, że nie musieliśmy.

–Ruszaj!'- wrzasnął Packy. – Masz zielone światło. Potrzebujesz specjalnego zaproszenia, żeby dodać gazu?

Ruch na drodze był większy niż zazwyczaj w niedzielę rano. Van przemieszczał się wolno długim odcinkiem do Pięćdziesiątej Drugiej, a potem Jo-Jo skręcił w lewo. Dokładnie w chwili gdy zniknęli z pola widzenia, człowiek, którego Packy nazwał biegaczem, wbiegł w aleję Madison, krzycząc:

–Pomocy! Pomocy! Czy ktoś widział biegnącego mężczyznę?

Policjant, który nie widział ani jak Packy biegł, ani jak wsiadał do vana, zbliżył się do krzyczącego z wyraźnym przekonaniem, że ma do czynienia z szaleńcem. Nowojorczycy i turyści, zjednoczeni na chwilę ciekawością, przystawali, żeby zobaczyć, co się dzieje. Biegacz wołał podniesionym głosem:

–Czy ktoś widział, gdzie zniknął mężczyzna, który przed minutą tędy biegł?

–Spokojnie, kolego – rozkazał policjant. – Mógłbym cię aresztować za zakłócanie spokoju.

Czterolatek stojący po drugiej stronie ulicy z matką, która rozmawiała przez telefon komórkowy, pociągnął ją za spódnicę.

–Ten pan, co tędy biegł, wsiadł do vana z nartami na dachu – oznajmił rzeczowo.

–Nie wtrącaj się, Jason – skarciła go. – Nie musisz być świadkiem przestępstwa. Prawdopodobnie chcą złapać jakiegoś złodzieja. Niech go sami znajdą, za to im płacą. – Wzięła chłopca za rękę i ruszając z miejsca, podjęła przerwana rozmowę: – Jeannie, jesteś moją siostrą, więc twoje dobro leży mi na sercu. Rzuć tego drania.

Niecałe dwie przecznice dalej van wolno przesuwiał się w korku. Packy niecierpliwiał się na tylnym siedzeniu. Park, Lexington, Trzecia, Druga, Pierwsza...

Przy Piątej Alei Jo-Jo włączył kierunkowskaz. Packy z przerażeniem myślał, że do ulicy Franklina Delano Roosevelta pozostało jeszcze dziesięć przecznic. Zaczął obgryzać paznokcie; dawno za-

pomniął o tym nawyku, wyzbył się go w wieku dziewięciu lat. Nie robię nic zabronionego do czasu, gdy wieczorem nie dopełnię warunku zgłoszenia się w Zamku, powtarzał sobie. Ale jeśli mnie złapią z bliźniakami, to koniec. Kontakty z przestępcami oznaczają automatyczne złamanie warunków zwolnienia. Powinienem był kazać im zostawić dla mnie zaparkowany samochód. Ale nawet gdybym był sam i został zatrzymany, jak bym wytłumaczył to, że mam vana? Wygrałem go na loterii fantowej?

Westchnął ciężko.

Benny odwrócił głowę.

–Mam przeczucie, Packy – odezwał się uspokajająco – że nam się uda.

Jednakże Packy dostrzegł pot spływający tamtemu po twarzy. A Jo-Jo jechał tak wolno, że równie dobrze mogliby iść pieszo. Oczywiście, że nie chciał być zatrzymany na skrzyżowaniu, ale to wariactwo! Głuchy łomot nad ich głowami oznaczał, że jedna z nart się obluzowała.

–Zatrzymaj się! – wrzasnął Packy. Dwie minuty później, między Pierwszą i Drugą Aleją, zerwał narty z dachu vana i wrzucił je do środka przez tylne drzwi. Następnie gestem nakazał Jo-Jo, by przesiadł się na miejsce pasażera. – Tak cię nauczyli jeździć w Brazylii? Ty, Benny, siadaj z tyłu.

Przez następne dwadzieścia minut w całkowitym milczeniu zmierzali na północ. Skonfundowany Benny kulił się na tylnym siedzeniu. Zapomniał, że Packy wariuje, kiedy jest zdenerwowany. Zastanawiał się, o co chodzi. W listach Packy polecił im znaleźć kogoś zaufanego, żeby wynajął farmę z dużą stodołą w Stowe. Zrobili, co kazał. Potem zarządził, by załatwili piłę, siekierę, linę i do tego ciężarówkę z platformą. To też zrobili. Mieli go dziś zgarnąć. Zgarnęli. Więc o co chodzi? Packy przysięgał, że zostawił resztę łupu w New Jersey, więc dlaczego teraz kierują się do Vermontu? Benny jeszcze nie słyszał, żeby ktoś jechał do New Jersey przez Vermont.

Na przednim siedzeniu Jo-Jo myślał podobnie. On i Benny mieli przy sobie dziesięć milionów dolarów, kiedy wyruszyli do Brazylii. Żyli tam przyjemnie, bardzo, bardzo przyjemnie, ale nie ponad stan. Packy twierdził, że ma jeszcze siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt

milionów, które może odzyskać, kiedy wyjdzie z więzienia. Ale nigdy nie powiedział, ile z tego przypadnie jemu i Benny'emu. Jak pójdzie źle, obaj mogą skończyć razem z Packym w pudle. Powinni byli zostać w Brazylii i pozwolić mu przez parę tygodni popracować w tej knajpie, gdzie dostał pracę. Wówczas, kiedy by po niego przyjechali, bardziej by ich docenił. Wręcz całowałby ich po nogach.

Kiedy ujrzeli wreszcie napis „Witamy w Connecticut”, Packy puścił kierownicę i klasnął w dłonie.

–O jeden stan bliżej do Vermontu – zachichotał. Odwrócił się do Jo-Jo z szerokim uśmiechem. – Ale nie zabawimy tam długo. Załatwimy interes i ruszamy do słonecznej Brazylii.

Jak Bóg da, westchnął pobożnie Jo-Jo. Coś mu jednak mówiło, że on i Benny powinni byli się zadowolić dziesięćmioma milionami. Poczł skurcz w żołądku, próbując odwzajemnić uśmiech Pa-cky'ego.

12

Kwadrans po siódmej Milo usłyszał warkot samochodu wjeżdżającego na podwórze. Zdenerwowany oczekiwaniem rzucił się otwierać drzwi. Patrzył, jak Jo-Jo wysiada od strony pasażera, a Benny wyłania się z tylnych drzwi.

Był ciekaw, kto w takim razie prowadził. Odpowiedź na to pytanie przyszła szybko, kiedy przednie drzwi auta się otworzyły i ujrzł sylwetkę kierowcy. Słabe światło padające z okna wystarczyło, by przekonał się, że tajemniczym gościem jest Packy Noonan.

Benny i Jo-Jo zaczęli, aż Packy pierwszy wejdzie po schodach na ganek. Milo jednym skokiem dopadł do drzwi, by otworzyć je jak najszerzej. Miał ochotę zasałutować, lecz Packy uprzedził jego gest, wyciągając rękę.

–A więc ty jesteś poeta Milo – powiedział. – Dzięki, że trwałeś dla mnie na posterunku.

Gdybym wiedział, że trwam dla ciebie, dawno by mnie tu nie było, pomyślał Milo, ale odwzajemnił uśmiech.

–Cała przyjemność po mojej stronie, panie Noonan – odpowiedział.

–Packy – poprawił go gość łagodnie, rozglądając się przy tym po domu. Pociągnął nosem. – Coś tu ładnie pachnie.

–To mój gulasz wołowy – pochwalił się Milo. – Mam nadzieję, że lubi pan... to znaczy lubisz gulasz wołowy.

–Uwielbiam. Mama przyrządzała go co piątek... a może to była sobota. – Packy zaczynał nabierać dobrego humoru.

Poeta Milo był przewidywalny niczym nastolatek. Ja chyba naprawdę umiem zjednywać sobie ludzi, pomyślał z satysfakcją Pa-cky. Jak inaczej mógłbym nakłonić tych wszystkich naiwniaków do składania pieniędzy w mojej skarbonce?

Jo-Jo i Benny wchodzili do domu. Packy uznał, że nadszedł właściwy moment, by się upewnić, że Milo na dobre do nich przysłał.

–Jo-Jo, przywiozłeś pieniądze, tak jak ci kazałem?

–Jasne, Packy.

–Odlicz pięćdziesiątkę i daj naszemu przyjacielowi. – Packy objął Mila przyjaznym gestem. – Milo, to nie jest suma, jaka ci się od nas należy. To tylko premia za to, że jesteś równym facetem.

Pięćdziesiąt setek? Powiedział: „pięćdziesiątkę”. Chyba nie mógł mieć na myśli pięćdziesięciu tysięcy? Kolejnych pięćdziesięciu tysięcy? Milo nie potrafił sobie wyobrazić takiej sumy w gotówce.

Dwie minuty później gapił się z otwartymi ustami, jak Jo-Jo niechętnie odlicza pięćdziesiąt plików banknotów z olbrzymiej walizki wypełnionej pieniędzmi.

–W każdej z tych kupek jest dziesięć setek – oznajmił. – Przelicz je, jak skończysz pisać swój następny wiersz.

–Nie macie przypadkiem mniejszych nominałów? – zapytał niepewnie Milo. – Setki trudno rozmiąć.

–Spytaj obwoźnego lodziarza – poradził Jo-Jo zgryźliwie. – Z tego, co słyszałem, ma dużo drobnych.

–Milo – wtrącił się łagodnie Packy. – Obecnie wcale nie jest trudno rozmiąć setkę. Pozwól, że zapoznam cię z naszym planem. Najpóźniej we wtorek już nas tu nie będzie. To oznacza, że możesz się zajmować własnymi sprawami, nie zwracając uwagi na nasze poczynania, aż do naszego wyjazdu. A jak będziemy wyjeź-

dzać, dostaniesz drugie pięćdziesiąt tysięcy. Odpowiada ci takie rozwiązanie?

–Ależ tak, panie Noonan... to znaczy Packy. Oczywiście. – Milo poczuł się, jakby już był w Greenwich Village.

–Gdyby przypadkiem ktoś zadzwonił do drzwi i spytał, czy nie widziałeś w okolicy ciężarówki z platformą, masz zapomnieć, że taka w ogóle tu była, rozumiesz, Milo?

Milo pokiwał głową.

Packy zajrzał mu głęboko w oczy.

–Bardzo dobrze – powiedział z zadowoleniem. – Rozumiemy się nawzajem. Co z kolacją? Odbiliśmy długą drogę, a twój gulasz wybornie pachnie.

13

Oni nie są głodni, oni umierają z głodu, myślał Milo, po raz trzeci napełniając talerze Packy'ego i bliźniaków. Z satysfakcją patrzył, jak znikają makaron i sałata. Sam tyle się wcześniej naprobował, że właściwie nie miał apetytu, co nawet było korzystne, bo co chwila musiał wstawać od stołu, by otworzyć kolejną butelkę wina. Można było odnieść wrażenie, że Packy, Jo-Jo i Benny idą w zawody, który z nich potrafi pić najszybciej.

A im więcej pili, tym łagodniej oceniali rzeczywistość. Narty klekoczące na dachu vana nagle wydały im się zabawne. Kolidacja czterech aut, które najechały na siebie od tyłu na Dziewięćdziesiątej Pierwszej, powodując straszny korek i zmuszając ich do minięcia całej armii policjantów, wywołała salwy śmiechu.

Przed jedenastą bliźniacy już ledwie patrzyli na oczy, a Packy był na lekkim rauszu. Milo ograniczył się do paru kieliszków wina, bo nie chciał się obudzić następnego dnia, nie pamiętając słów, które padły poprzedniego. W ogóle zamierzał pozostać trzeźwy, dopóki jego pieniądze nie spoczną bezpiecznie pod materacem w Green-wich Village.

Jo-Jo, ziewając, odsunął się od stołu.

–Idę do łóżka. Hej, Milo, te dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy obejmuję zmywanie. – Zaczął się śmiać, ale Packy uderzył dłonią w stół, nakazując mu z powrotem usiąść.

–Wszyscy jesteśmy zmęczeni, idioto. Ale musimy pogadać o interesach.

Z beknięciem, którego nawet nie próbował tłumaczyć, Jo-Jo opadł na krzesło.

–Przepraszam – wymamrotał.

–Jeśli nam się nie uda, będziecie błagać gubernatora o łaskę – rzucił twardo Packy.

Milo poczuł ciarki na plecach. Nie wiedział, czego jeszcze może się spodziewać.

–Jutro wstajemy bardzo wcześnie. Napijemy się kawy, którą przygotuje Milo.

Ten przytaknął skinieniem głowy.

–Potem wyprowadzimy platformę ze stodoły i pojedziemy do drzewa rosnącego kilka kilometrów stąd, na plantacji faceta, u którego pracowałem jako chłopiec.

Zetniemy to drzewo.

–Zetniecie drzewo? – wtrącił się Milo. – Nie tylko wy będziecie ścinać jutro drzewo – dodał podniecony. Podbiegł do sterty gazet przy tylnych drzwiach. – O tutaj, na samej górze! Jutro o dziesiątej zostanie ścięty świerk wybrany na tegoroczną choinkę przed Rockefeller Center. Przygotowują się do tego od tygodnia! Będzie tam pół miasta, przyjadą wszystkie media – telewizja, radio...

–Gdzie jest ten świerk? – spytał Packy groźnie przyciszonym głosem.

–Hmmm... – Milo przebiegł wzrokiem artykuł. – Przydałyby mi się okulary do czytania – mruknął. – O, tutaj. Rośnie na działce Pickensów.

Packy poderwał się gwałtownie.

–Daj mi to! – wrzasnął, wyrywając Milowi gazetę z ręki. – Ujrawszy zdjęcie świerka, który miał być wysłany do Nowego Jorku, stojącego samotnie na polanie, wydał z siebie przeraźliwy krzyk.

–To moje drzewo! Moje drzewo!

–W okolicy jest mnóstwo innych ładnych drzew – próbował go pocieszyć Milo.

–Wyprowadzić platformę! – zarządził Packy. – Zetniemy moje drzewo jeszcze dzisiaj!

O jedenastej w nocy, tuż przed położeniem się spać, Elwira wyjrzała przez okno. W większości domków światła już pogasły. W oddali widziała majaczące sylwetki gór. Z westchnieniem pomyślała, że są takie spokojne i nieruchome.

Willy leżał już w łóżku.

–Coś nie tak, kochanie?

–Nie, nie. Po prostu jestem tak przyzwyczajona do Nowego Jorku, że ciężko mi przywyknąć do tutejszej ciszy. W domu odgłosy ruchu ulicznego, policyjne syreny i hałas ciężarówek działały jak kołysanka.

–Aha. Chodź do łóżka, Elwiro.

–A tu jest tak spokojnie – ciągnęła. – Założę się, że gdybyś teraz szedł którąś z tych ścieżek, słyszałbyś jedynie kroki małych zwierząt na śniegu, szum drzew i może pohukiwanie sowy. Zupełnie inaczej niż w mieście, prawda? W Nowym Jorku na Columbus Circle pewnie stoi w tej chwili rząd samochodów, które trąbią, bo światła się zmieniły, a ktoś się zagapił i nie dość szybko nacisnął na gaz. W Stowe nie słyhać ruchu drogowego. Przed północą zgasną wszystkie światła. Wszyscy pogrążą się we śnie. To cudowne.

Cichutkie chrapanie od strony łóżka mówiło samo za siebie.

–Zobaczmy, co się dzieje na świecie – powiedziała Nora do Lu-kę^, otwierając drzwi wynajętego domku. – Lubię posłuchać wiadomości przed pójściem spać.

–Nie zawsze jest to dobry pomysł – odparł Lukę cierpko. – Wieczorne wiadomości nie zawsze nastrajają do słodkich snów.

–A ja, kiedy nie mogę spać, zawsze włączam wiadomości – powiedziała Regan. – Pomagają mi zasnąć... chyba że dzieje się coś naprawdę ważnego.

Jack wziął do ręki pilota i wcisnął guzik. Na ekranie pojawiło się studio kanału informacyjnego. Siedzący w nim redaktorzy tym razem się nie uśmiechali. W materiale filmowym pokazano Pa-cky'ego Noonana opuszczającego celę.

–Popatrzcie! – zawołał Jack.

–Packy Noonan, ostatnio wypuszczony z więzienia po odbyciu dwunastu i pół roku kary za oszukiwanie inwestorów w fikcyjnej firmie spedycyjnej, dziś rano opuścił ośrodek przejściowy, by wziąć udział we mszy w katedrze Świętego Patryka. Śledził go prywatny detektyw wynajęty przez firmę prawniczą, której zadaniem jest odzyskanie pieniędzy ukradzionych przez Packy'ego. Noonan wymknął się jednak z katedry podczas mszy i był widziany, jak biegł aleją Madison. Nie stawivszy się wieczorem w ośrodku, oficjalnie złamał warunki zwolnienia. Otrzymujemy telefony i mejle od rozgniewanych inwestorów, którzy usłyszeli tę historię we wcześniejszych wydaniach wiadomości. Zawsze uważali, że Noonan ukrył gdzieś ich pieniądze i obecnie jest w drodze, aby zabrać łup. Ustanowiono dziesięć tysięcy dolarów nagrody za informację, która doprowadziłaby do pojmania przestępcy. Jeśli ktoś cokolwiek wie na jego temat, prosimy o kontakt pod numerem podanym na ekranie.

–Facet wiele ryzykuje – zauważył Jack. – Odsiedział swoje, a jeśli go złapią, wróci do więzienia za złamanie warunków. Musiał rzeczywiście schować gdzieś te pieniądze i nie chce czekać dwóch lub trzech lat, żeby się dorwać do tamtych milionów. Według mnie pryśnie z kraju najszybciej jak się da.

–Biedna Opal! – westchnęła Nora. – Tylko tego trzeba, żeby to usłyszała. Zawsze twierdziła, że te pieniądze leżą gdzieś ukryte i że gdyby dostała Packy'ego w swoje ręce, skrzyłaby mu kark.

Regan potrząsnęła głową.

–Niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę, od ilu ludzi takich jak Opal wyłudził pieniądze, które naprawdę mogły tym nieszczęśnikom odmienić życie. Kiedy Packy siedział w więzieniu, przynajmniej wiedzieli, że dostaje za swoje. Dziś pewnie myślą, że zagra im na nosie, żyjąc jak król na ich koszt.

–A nie mówiłem? – westchnął Lukę. – Teraz, kiedy należy iść spać, wszyscy są zdenerwowani.

Mimo powagi sytuacji wybuchnęli śmiechem.

–Jesteś nieznośny – skarciła go Nora. – Mam nadzieję, że Opal nie oglądała wiadomości. Nie zmrużyłaby oka.

Niedaleko nich, w domku, w którym mieszkała z Elwirą i Wil-lym, Opal zasnęła kamiennym snem, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Choć nie słyszała o zniknięciu Packy'ego, przyśnił jej się tej nocy. Brama ponurego kamiennego więzienia otworzyła się na oścież i Packy wybiegł na zewnątrz, trzymając w rękach wypchane poszewki. Wiedziała, że są pełne pieniędzy, jej pieniędzy. Wygranych przez nią na loterii. Zaczęła go gonić, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. We śnie była coraz bardziej zdenerwowana. Dlaczego nie mogę poruszać nogami, myślała gorączkowo. Muszę go dogonić. Packy zniknął jej z oczu. Chwyając ustami powietrze i rozpaczliwie próbując się poruszyć, Opal obudziła się gwałtownie.

–O mój Boże! – westchnęła z walącym sercem. Następny koszt marny sen o Packym Noonanie. Ochłonawszy nieco, pomyślała, że to musi być coś więcej niż igraszki podświadomości. To do mnie wróci, pomyślała, zamykając oczy. Wiem, że wróci.

15

–Wszystkie moje plany! – jęknął Packy. – Ponad dwanaście cholernych lat odsiadki, podczas których nie było minuty, żebym nie marzył o chwili, gdy dotknę ręką mojego drzewa. I teraz to!

Benny wychylił się z tylnego siedzenia, wtykając głowę pomiędzy Packy'ego i Jo-Jo.

–Czemu tak ci zależy na znalezieniu tego drzewa? – spytał.

–Masz wypowiedzieć jakieś życzenie czy co?

Zrobiło się ciemno jak w grobie. Ich van był jedynym pojazdem na spokojnej wiejskiej drodze. Packy, Jo-Jo i Benny jechali na działkę Pickensów, żeby się rozeznać w sytuacji.

–Można się spodziewać, że ludzie z Rockefeller Center wystawili na noc kogoś do pilnowania tego świerka – oświadczył Packy z goryczą.

–Zanim wtoczymy tam platformę, musimy sprawdzić, co się dzieje.

–Benny, pomyśl trochę – mruknął Jo-Jo. – Packy musiał ukryć coś na tym drzewie i martwi się, że tego nie odzyska. To muszą być nasze pieniądze. Zgadza się, Packy?

–Bingo – warknął Packy. – Powinieneś złożyć podanie, żeby cię przyjęli do Mensy. Byłbyś pewniakiem.

. – Co to jest Mensa? – zainteresował się Benny.

–Rodzaj klubu. Przystępujesz do testu. Jeśli zdasz, chodzisz na spotkania z ludźmi, którzy też zdali, i gratulujecie sobie nawzajem tego, jacy jesteście mądrzy. Siedział ze mną jeden taki. Był tak mądry, że podsunął kasjerowi żądanie wydania pieniędzy napisane na własnym wyciągu z konta.

Packy miał świadomość, że gada jak nakręcony. Czasami mu się to zdarzało, kiedy był wkurzony. Spokojnie, przywołał się do porządku. Oddychaj głęboko. Myśl o czymś przyjemnym. Pomyślał o pieniądzach.

Temperatura na zewnątrz spadała. Poczuł, jak opony się ślizgają, kiedy van wjechał na lód.

–Odpowiedz mi, Packy – nalegał Jo-Jo. – Nasze pieniądze są na tym drzewie? Siedziałeś w puszcze ponad dwanaście lat. Dlaczego nie złożyłeś ich na cyfrowym koncie w Szwajcarii albo w bezpiecznej skrytce depozytowej? Musiałeś się bawić w wiewiórkę?

Packy nie był w stanie zapanować nad głosem.

–Pozwól, że ci wyjaśnię – zaczął piskliwie. – Słuchaj uważnie, żebyś nie musiał powtarzać, bo jesteśmy prawie na miejscu. – Wcisnął pedał hamulca do deski, zauważywszy jelenia wyłaniającego się z krzaków na poboczu drogi. – Wynoś się, Bambi – warknął. Jeleń odwrócił się i zniknął, zupełnie jakby go usłyszał.

Droga skręcała ostro w prawo. Packy znów przyspieszył, ale zachowywał ostrożność. Przypuśćmy, że ktoś pilnuje drzewa? Co wtedy?

–No, Packy, chcę wiedzieć, co jest grane – zniecierpliwił się Jo-Jo. Packy uznał, że Benny i jego brat mają prawo wiedzieć, w co się pakują.

–Obaj byliście po uszy zaangażowani w szwindel z firmą spe dycyjną. Różnica polega na tym, że wy się zwinęliście z forszą i spędziliście dwanaście lat w Brazylii, a ja siedziałem w celi z jakimś świrem.

–Wzięliśmy tylko dziesięć milionów – przypomniał mu Benny urażonym tonem. – Ty miałeś w rękach przynajmniej siedemdziesiąt.

–Nie na wiele mi się przydały w pudle. Przez cały czas, kiedy ci durnie dawali nam pieniądze do zainwestowania, kupowałem diamenty, nieoprawione kamienie, niektóre warte po dwa miliony za sztukę.

–Czemu nie kazałeś nam ich pilnować, kiedy byłeś w więzieniu? – spytał Benny.

–Bo nadal bym czekał na Madison, żebyście mnie zabrali.

–To nie było miłe. – Benny pokręcił głową. – Domyślam się, że diamenty są na tym drzewie, tak? Na szczęście Milo wspomniał, że ten świerk ma zostać ścięty jutro rano. Pomyśleć, że mogliśmy się spóźnić o jeden dzień i stracić taką forszę.

–Tylko pogarszasz sprawę, Benny – upomniał brata Jo-Jo. – Pa-cky, czemu wybrałeś akurat ten świerk w Vermoncie? Ostatecznie w New Jersey jest mnóstwo ładnych drzew i rosną bliżej miasta.

–Pracowałem kiedyś u ludzi, którzy są właścicielami tego terenu – odburknął Packy. – Jak miałem szesnaście lat, moja droga mama załatwiła przez sąd, żeby mnie tu wysłali na coś w rodzaju eksperymentu dla trudnych dzieci.

–Co wtedy robiłeś? – zaciekawiał się Jo-Jo.

–Ścinałem drzewa, głównie na bożonarodzeniowe choinki. Byłem w tym całkiem dobry. Nauczyłem się nawet obsługiwać dźwig do spuszczenia tych największych, które kupowano do postawienia na ulicach i placach miast w całym kraju. Tak czy owak, bałem się, że audytorzy sądowi mogą nas dopaść, zabrałem więc diamenty ze skrytki depozytowej, włożyłem do metalowej piersiówki i ukryłem tutaj. Nie sądziłem, że wrócę po nie dopiero po trzynastu latach. Właściciele zasadzili to drzewo w dniu swojego ślubu pięćdziesiąt lat temu. Przysięgali, że nigdy go nie zetną.

–To byłoby fatalne – przyznał Benny. – Ale przy dzisiejszej rozbudowie kraju wszystko mogło się zdarzyć. Wiesz, boisko w naszym dawnym sąsiedztwie...

–Nie chcę słuchać o waszym dawnym sąsiedztwie! – wrzasnął Packy. – O, tu jest skręt na polanę. Trzymajcie kciuki. Zaparkuję i dalszą drogę przejdziemy pieszo.

–Trzeba założyć, że jest tam jakiś strażnik.

–Może przez resztę nocy będzie musiał patrzeć, jak ścinamy drzewo. Jo-Jo, daj mi latarkę.

Packy otworzył drzwi i wysiadł. Krew pulsowała mu tak szybko, że nie zauważył różnicy pomiędzy zimnym nocnym powietrzem a ciepłem panującym w vanie. Zaczął się skradać brzegiem ścieżki, gotów uskoczyć w cień, gdyby dojrzał kogoś przy drzewie. Wolno pokonał ostatni zakręt; bliźniacy podążali tuż za nim. Cienka warstwa śniegu zapewniała całkiem niezłą widoczność. Packy włączył latarkę i trzymał ją skierowaną ku ziemi. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Obok drzewa, jego drzewa, stała ciężarówka z platformą. Dźwig był już przygotowany; liny zwisały luźno przy wierzchołku, żeby odpowiednio skierować ciężar po ścięciu. Nie widać było jednak żadnego strażnika.

Jo-Jo i Benny mieli dość rozumu, by się nie odzywać.

Packy ostrożnie zbliżył się do kabiny ciężarówki i zajrzał do środka. Tam też nie znalazł nikogo. Pociągnął za klamkę od strony kierowcy, ale drzwi były zamknięte. Postanowił zajrzeć pod zderzak; dziewięciu na dziesięciu kierowców ciężarówek zostawiało zapasowe kluczyki pod zderzakiem.

Znalazł to, czego szukał, i zaczął się śmiać.

.– To prezent – powiedział do bliźniaków. – Platforma i dźwig na nas czekają. Jesteśmy na dobrej drodze do odzyskania butelki z diamentami wartymi miliony dolarów, ukrytej gdzieś na tym drzewie. Musimy jednak wrócić na farmę po ręczną piłę. Szkoda, że żaden z was, imbecyle, nie wpadł na to, by ją wrzucić do vana.

–Na platformie jest mechaniczna – zauważył Benny. – Nie możemy jej użyć?

–Oszalałeś? Można tym obudzić umarłego. Wy dwaj szybciotko zetniecie drzewo, a ja zajmę się dźwigiem.

–Plecy mnie bolą – zaprotestował Benny.

–Słuchaj! – rozsierdził się Packy. – Twoja część osiemdziesięciu milionów wystarczy na opłacenie całej armii kręgarzy i masażyistów. No już, nie traćmy czasu!

Dużo dalej, w osiemnastowiecznym domostwie usytuowanym w centrum farmy, Lemuel Pickens nie mógł zasnąć. Zazwyczaj on i jego żona Vidya kładli się tuż po wpół do dziesiątej i natychmiast zapadali w sen. Ale tej nocy, z powodu drzewa, wspominali stare dzieje, a potem wyciągnęli album i oglądali zdjęcie, na którym razem sadzili świerk w dniu swego ślubu przed pięćdziesięciu laty.

Nie byliśmy już tacy młodzi, pomyślał Lemuel, chichocząc. Vi-dya miała trzydzieści dwa lata, a ja trzydzieści pięć. Jak na tamte czasy całkiem sporo. Ale ona zawsze mawiała:

–Lemmy, mieliśmy zobowiązania. Ja musiałam się opiekować matką, a ty ojcem. Kiedy się spotykaliśmy w niedzielę w kościele, wiedziałam, że ci się podobam, i cieszyłam się z tego.

A potem matka Viddy zmarła. Dwa tygodnie później jego tata poczuł się gorzej i wkrótce także odszedł na zawsze. Lemuel szturchnął lekko śpiącą Viddy. Ta kobieta potrafi chrapaniem zagłuszyć burzę, pomyślał, kiedy odwróciła się na bok i hałas ustał.

Nigdy nie poszczęściło nam się z potomstwem, ale to drzewo było dla nas prawie jak dziecko. Lemuelowi zwilgotniały oczy. Obserwowaliśmy, jak rośnie, z gałęziami idealnie równymi, w lekko niebieskawym odcieniu widocznym w słońcu. Najpiękniejsze drzewo, jakie widziałem w życiu. Stoi samotnie na polanie; nigdy nie chcieliśmy sadzić niczego w pobliżu. Przez lata okładaliśmy je dokoła torfem. Pielęgowaliśmy jak dziecko. To było przyjemne.

Obrócił się na bok. Kiedy tamci ludzie zapukali do drzwi i spytali, czy pozwolimy im ściąć drzewo na choinkę przed Rockefeller Center, w pierwszej chwili chciałem sięgnąć po broń. Potem jednak usłyszałem, że po mojej odmowie polecili do Wayne'a Covela i zastanawiali się nad jego wielkim świerkiem. Ależ mnie to wkurzyło.

Obgadaliśmy sprawę z Viddy w dwie minuty. Nie zostaniemy tu już długo, żeby opiekować się naszym drzewem. Nawet jeśli napiszemy w testamencie, że nikomu nie wolno go ściąć, po naszej śmierci nie będzie już takie samo. Nie będzie dla nikogo ważne. A jeśli stanie przed Rockefeller Center, da radość setkom tysięcy ludzi. I kie-

dy przybędzie do Nowego Jorku, dzieciaki powitają je, śpiewając piosenki z filmu o Marii von Trapp. Zabawne, że przechodziła tamtędy, akurat kiedy sadziliśmy ten świerk. Wiedziała, że to dzień naszego ślubu, więc zaśpiewała austriacką pieśń weselną i zrobiła nam zdjęcie przy drzewku. A potem my zrobiliśmy jej zdjęcie w tym samym miejscu.

Lemuel westchnął. Viddy nie może się doczekać wyjazdu do Nowego Jorku, żeby zobaczyć nasz świerk w świątecznym oświetleniu. Pokażą go w telewizji w całym kraju i wszyscy będą wiedzieć, że to nasze złote gody. Chcą nawet przeprowadzić z nami wywiad w „To-day Show”. Viddy jest taka przejęta, zamierza zrobić sobie fryzurę w jednym z tych wytwornych salonów w Nowym Jorku. Kiedy usłyszałem, ile to kosztuje, szczęka mi opadła. Ale Viddy od razu mi przypomniała, że zdarzyło jej się to zaledwie dwa razy przez te wszystkie lata.

Ja chciałbym tylko zobaczyć minę Wayne'a Covela, kiedy będziemy występować w telewizji. Skurczył się jak przekłuty balon, bo kiedy pobiegliśmy za tymi ludźmi i powiedzieliśmy im, że jednak pozwolimy wziąć nasze drzewo, natychmiast zapomnieli o jego świerku.

Lemuel znów lekko szturchnął żonę. Robi więcej hałasu niż drzewo padające w lesie, pomyślał.

17

Stojący sześć metrów nad ziemią Wayne Covel nie mógł uwierzyć własnym uszom. Uczepiony drabiny wspartej na cennym świerku Lemuela Pickensa, z maczetą w dłoni, przymierzał się do obcinania gałęzi. Postanowił tak oszpecić drzewo, by ludzie przysłani z Rockefeller Center w te pędy wrócili do niego, Wayne'a, ze swoją ofertą. Jeszcze nie zdecydował, czy łatwo ustąpi, ale w końcu pozwoliłby im wziąć swój dorodny świerk.

Już ja wam urządzę „Today Show”, pomyślał złośliwie.

Nagle usłyszał zbliżające się kroki; przypomniał sobie, że parę minut wcześniej miał wrażenie, że słyszy w oddali słaby odgłos sil-55

nika samochodowego. Nie było czasu na zejście z drabiny i ucieczkę, więc wybrał jedyne możliwe rozwiązanie – zatknął maczetę za pas i znieruchomiał. Liczył, że ktokolwiek to jest, szybko odejdzie. Modlił się, by nie byli to strażnicy, którzy zostaną przy drzewie całą noc.

Co robić, zastanawiał się gorączkowo. Jestem intruzem. Lem Pickens będzie wiedział dokładnie, jaki miałem zamiar. Dostanę za swoje.

Wayne słyszał, jak kilku mężczyzn chodzi wokół świerka, a potem przystaje po drugiej stronie. Rozprawiali o jakichś diamentach ukrytych na drzewie, diamentach wartych miliony dolarów! Omal nie spadł z drabiny, tak mocno się skoncentrował, by nie uronić ani słowa z tego, co mówili.

To brzmiało jak żart! Ale Wayne wiedział, że nie żartują. Gdzieś pośród gałęzi ukryte były diamenty w metalowej butelce, a ci ludzie zamierzali ukraść drzewo, żeby odnaleźć te kamienie.

Zdrętwiał ze strachu. To nie byli mili faceci, z całą pewnością. Czy uda mu się

uciec tak, żeby go nie zauważyli? Jeśli go odkryją, będą wiedzieli, że ich słyszał. I co wtedy? Wolał nie myśleć, co się może zdarzyć.

–Musimy wrócić na farmę po ręczną piłę – powiedział jeden z nich zrzędlwym tonem. – Szkoda, że żaden z was, imbecyle, nie wpadł na to, by ją wrzucić do vana.

Dzięki Ci, Boże, miał ochotę krzyknąć Wayne. Odjeżdżali. Dawali mu czas, żeby mógł zejść z drabiny i wezwać policję. Jeszcze dostanie nagrodę! Będzie bohaterem. Ci faceci nie ukrywaliby diamentów na drzewie, gdyby weszli w ich posiadanie uczciwą drogą, tego był pewien.

Odczekał, aż całkowicie ucichnie warkot samochodu, a potem sięgnął za pas, wyjął latarkę i włączył. Gdzie oni mogli schować tę butelkę? Musiała być jakoś przymocowana do gałęzi albo do pnia. Gałęzie nie były na tyle grube, by zmieścić butelkę w środku. A gdyby ktoś wydrążył dziurę w pniu, soki nie mogłyby swobodnie krążyć i drzewo by uschło.

Wayne nachylił się i chwytając gałęzie przez grube rękawice, unosił je kolejno, przyświecając sobie latarką. Wiedział, że to zakrawa

na żart. Jak szukanie igły w stogu siana. A może będę miał szczęście i trafię na tę butelkę, pomyślał z nadzieją. Pewnie... A może Boston zdobędzie mistrzostwo świata!

Mimo to schodził z drabiny po jednym szczeblu, starannie rozchylając igliwie i omiatając je promieniem latarki. Trzy szczeble niżej zobaczył w smudze światła coś spoczywającego z wierzchu na gałęzi, mniej więcej w połowie odległości między pnem a drabiną.

To nie mogła być... A może...?

Wayne wyszarpnął maczetę z za pasa i pochylił się w stronę pnia. Igły drapały go po twarzy, wczepiały się w sumiaste wąsy, ale prawie tego nie czuł. Nie mógł sięgnąć ostrzem wystarczająco daleko, by ściąć gałąź za tym czymś... A może jednak...?

Stojąc na palcach, wychylił się najbardziej, jak mógł, jednym machnięciem uciął gałąź w połowie, wyszarpnął z gąszczu i dosłownie zbiegł z drabiny. Już u stóp drzewa obejrzał w świetle latarki metalową piersiówkę przymocowaną do gałęzi cienkim drutem, stosowanym zwykle w elektrycznych ogrodzeniach. Aż się trząsnął cały z podniecenia.

Jeszcze raz użył maczety i z gałęzi został jedynie krótki patyk z przytwierdzoną butelką. Wayne zdusił w sobie okrzyk triumfu, jaki zwykle wydawał, gdy Soksi zdobywali prowadzenie nad Jankesami, i pędem zaczął się oddalać od drzewa. W pośpiechu nie zauważył, że maczeta z jego nazwiskiem na trzonku wysliznęła mu się z za pasa i spadła na ziemię.

Wszelka myśl o wzywaniu policji rozwiała się bez śladu.

Różne są ścieżki Pana, myślał Wayne, okrążając biegiem farmę Lema Pickensa. Gdyby wybrano moje drzewo, miałbym swoje piętnaście minut sławy, a potem byłoby po wszystkim. A tak, jeśli ta butelka naprawdę jest pełna diamentów, będę bogaty... a ten wstrętny Lem Pickens straci swoją szansę zostania gwiazdą.

Miał nadzieję, że starczy mu odwagi, by następnego ranka przyjść i zobaczyć minę Lema, kiedy odwiedzając po raz ostatni swoje drzewo, zastanie jedynie pień sterczący z ziemi. Wayne nie posiadał się z radości. Chętnie by też popatrzył na miny tych facetów, kiedy odkryją, że gałąź z butelką zniknęła! Właściwie to życzył im szczęścia. Wyświadcza im przysługę. Jeśli rzeczywiście uda

im się ściąć drzewo Lema, wówczas to jego, Wayne'a, świerk pojedzie do Rockefeller Center.

Wayne przyspieszył. Przyszło mu do głowy, że powinien sprawdzić swój horoskop. Jego planety musiały mieć dziś idealny układ. Z całą pewnością.

Na farmie Milo został wyrwany z drzemki na kanapie i wezwany do kuchni na naradę z Packym.

–Nie chcę w to wchodzić ani kroku dalej – zaprotestował.

–Już tkwisz w tym po uszy – warknął Packy. – Musimy coś wykombinować. Nie zmieścimy dwóch platform w stodole, a nie możemy jednej zostawić na zewnątrz.

–W okolicy jest mnóstwo pustych dróg – wtrącił Benny. – Może zostawimy naszą na jednej z nich? Chociaż szkoda, bo to był dobry zakup. Jak tylko dałeś znać z więzienia, żeby kupić starą platformę, znaleźliśmy ją z Jo-Jo na aukcji. Zapłaciliśmy gotówką. Byliśmy z siebie tacy dumni.

–Benny, przestań! – zniecierpliwził się Packy. – Kiedy wrócimy tu z moim drzewem, wyprowadzisz ze stodoły naszą platformę, pojedziesz na północ jakieś piętnaście kilometrów i gdzieś ją tam zostawisz. Nie. Zaczekaj! Milo, ty poprowadzisz platformę. Znają cię tu w okolicy. Prawo nie zabrania jeżdżenia ciężarówkami z platformą. Benny, pojedziesz za nim vanem i przywieziesz go z powrotem.

To wykracza poza umowę, pomyślał Milo. Chyba nie uda mi się wydać tych pieniędzy. Postanowił jednak nie protestować. Już zaszedł za daleko i jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak fatalnie.

–Świetnie, zatem postanowione – powiedział rażnym tonem

Packy. – Milo, nie rób takiej zmartwionej miny. Wkrótce znikniemy z twojego życia. Spojrzał na bliźniaków. – Chodźcie, wy dwaj. Nie mamy wiele czasu.

Kiedy wrócili na polanę, śnieg przestał padać i zza chmur wyglądało parę gwiazd. Packy ucieszył się na ich widok, bo to oznacza-

ło, że Jo-Jo i Benny'emu wystarczy najslabszy strumień światła z latarki, kiedy będą ścinać drzewo.

Dźwig z Rockefeller Center stał w odpowiednim miejscu; liny były już przymocowane do pnia, tak by padające drzewo nie osunęło się na bok.

Chyba zwariowałem, wierząc, że można ściąć coś tak olbrzymiego i zakładać, że padając, wyląduje na naszej platformie, przyznał w duchu Packy. Zwariowałem, zapominając, że dolne gałęzie tak wielkiego drzewa muszą zostać podwiązane. Nazwijmy rzecz po imieniu – przede wszystkim zwariowałem, ukrywając diamenty na drzewie. Ale chłopcy z Rockefeller Center zadbali o wszystko za mnie. Złote chłopaki.

Jo-Jo i Benny zajęli miejsca po przeciwnych stronach świerka. Każdy trzymał jeden koniec piły.

–W porządku – odezwał się Packy. – To się robi tak: Benny, ty pchasz, a Jo-Jo ciągnie. Potem Jo-Jo pcha, podczas gdy ty ciągniesz.

–Potem ja pcham, a Jo-Jo ciągnie – powiedział Benny. – Jo-Jo ciągnie, ja pcham. Dobrze mówię, Packy?

Packy miał ochotę krzyczeć.

–Dobrze mówisz. Zaczynajcie. No, już! Pośpieszcie się!

Mimo że była to ręczna piła, zgrzytliwy odgłos niósł się po lesie.

Siedząc na dźwigu, Packy skierował promień latarki na podstawę pnia, a potem wolno przesunął w górę. Na moment jasna plama trafiła w miejsce, gdzie według jego kalkulacji powinna się znajdować butelka. Packy dostrzegł drabinę, której wcześniej nie zauważył, a następnie kawałek gałęzi walający się po ziemi. Przebiegł go dreszcz niepokoju. Skierował światło z powrotem na ciągnących i pchających bliźniaków.

Minęło dziesięć minut. Piętnaście.

–Szybciej – ponaglił ich Packy. – Spieszcie się!

–Pchamy i ciągniemy najszybciej jak można – wydyszał Benny.

–Prawie skończyliśmy. Prawie... Uwaga, leci! – zawołał.

Odcięte u podstawy drzewo zachwiało się, a potem, uniesione przez dźwig, na moment zawisło w powietrzu, by w końcu spocząć na platformie. Pot spływał Packy'emu po twarzy. Zastanawiał się, jakim cudem pamiętał, jak się to robi. Odczepił liny, zszedł z dźwigu i usiadł za kierownicą ciężarówki.

vv

–Benny, siadaj tu ze mną. Jo-Jo, ty pojedziesz za nami vanem, jakbyś nas eskortował. Jeśli szczęście nadal będzie nam dopisywać...

Z szarpiącą nerwy powolnością wyprowadził platformę z polany na ziemny trakt. Minął od wschodu farmę Lema Pickensa, wjechał na trasę 108, a następnie na Mountain Road.

Na stoósemce minęło ich kilka samochodów; jadący nimi ludzie na szczęście byli zbyt zmęczeni lub obojętni, żeby się zastanawiać, co się dzieje.

–Czasami transportuje się duże drzewa takie jak to w nocy, że by nie powodować zakłóceń w ruchu drogowym – wyjaśnił Packy, mówiąc bardziej do siebie niż do Benny'ego. – Dlatego te ranne ptaszki tak właśnie myślą, jeżeli w ogóle myślą.

Martwił się nie tylko tym, czy uda im się niepostrzeżenie dotrzeć do stodoły, ale także gałęzią leżącą na ziemi, tuż pod miejscem, gdzie ukrył butelkę. Drzewo leżało odwrócone do góry tą właśnie stroną. Packy nie mógł się doczekać, kiedy zacznie poszukiwania łupu.

Była dokładnie trzecia rano, gdy dotarli do starej farmy. Benny wyskoczył z kabiny, pognął do stodoły i otworzył wrota na oścież. Wyprowadził tyłem ich ciężarówkę; czynił przy tym ogłuszający hałas, rujnując pozostałe końskie boksy. Milo wybiegł z domu i zmienił Benny'ego za kierownicą. Mijając Packy'ego vanem, Benny pomachał, uśmiechnął się i lekko zatrąbił klaksonem. Packy, chrząkając ze złością, wprowadził ukradzioną platformę do stodoły. Kiedy wysiadał z kabiny, Jo-Jo już zamykał wrota.

–Teraz muszę poszukać czerwonej linii, którą wymalowałem na pniu w miejscu, gdzie rosła gałąź z ukrytym łupem, i wyruszamy do Brazylii. Z tego co obliczyłem, obecnie powinna się znajdować na wysokości jakichś dwunastu metrów.

Jo-Jo wyciągnął taśmę mierniczą, którą Packy kazał mu przynieść, i razem zaczęli mierzyć pień od dołu. Packy'emu zaschło w gardle, gdy na wysokości sześciu metrów zobaczył sterczącą resztkę odciętej gałęzi. Zastanawiał się, czy z tego miejsca pochodził kawałek leżący na polanie. Nie zważając na kłujące igły, pociągnął za kikut i krzyknął, kiedy ostra końcówka drutu skaleczyła mu palec.

Lem Pickens co chwila się budził. Miał złe sny. Nie wiedzieć czemu martwił się, że coś pójdzie nie tak, że może jednak popełnił błąd, oddając ich drzewo.

Powtarzał sobie, że to naturalne. Zupełnie naturalne. Wyczytał w jakiejś książce, że każde dramatyczne wydarzenie w naszym życiu wzbudza lęk i niepokój. Najwyraźniej jednak nie robiło żadnego wrażenia na Viddy, pogrążonej w głębokim śnie. Natężenie jej chrapania oscylowało gdzieś pomiędzy hałasem udarowej wiertarki i piły łańcuchowej.

Lem starał się myśleć o czymś przyjemnym, żeby stłumić narastający niepokój. Myśl o chwili, kiedy włączą prąd i nasza choinka rozbłyśnie przed Rockefeller Center trzydziestoma tysiącami kolorowych światełek. Wyobraź sobie ten moment!

Wiedział, dlaczego się martwi. Trudno będzie patrzeć na ścinanie drzewa. Zastanawiał się, czy świerk odczuwa lęk. Nagle podjął decyzję – obudzi Viddy wcześniej, napiją się kawy, pójdą na polanę i usiądą pod drzewem, aby się z nim pożegnać.

Trochę podniesiony na duchu tym postanowieniem Lem zamknął oczy i zapadł w sen. Parę minut później i po jego stronie

łóżka rozległo się chrapanie, które jednak w żaden sposób nie mogło się równać z chrapaniem Viddy. Gdyby istniało jako dyscyplina olimpijska, Viddy byłaby złotą medalistką.

Kiedy tak spali, bliski płaczu Packy Noonan siedział na pniu pozostałym po ścięciu ich ukochanego drzewa. Trzymał w ręce maczetę i oświetlał latarką nazwisko właściciela wyryte na trzonku: „Wayne Covel”.

Wayne Covel zdyszany dopadł tylnych drzwi domu, ściskając i w ręku kawałek gałęzi z przywiązaną drutem butelką. Położył swoją zdobycz na stole w zagraconej kuchni, nalał sobie pełną szklankę whisky dla uspokojenia nerwów i wreszcie sięgnął do pasa z narzędziami po nożyce do cięcia drutu. Drżącą dłonią uwolnił piersiówkę z oplatających ją zwojów.

Butelki zawierają jedynie dobre rzeczy, pomyślał, sącząc whisky. Ta była mocno zamknięta, chyba nawet zalakowana, bo aż się lepiała od jakiejś substancji i nie mógł jej otworzyć. Podszedł do zlewu i odkręcił kran. Rozległo się głuche stęknięcie w rurach, a potem słabe ciurkanie wody, która w końcu zrobiła się gorąca. Potrzymał szyjkę butelki pod strumieniem, dopóki lepki osad nie spłynął. Trzy razy musiał z całej siły napierać na zakrętkę, by wreszcie puściła.

Rozłożył na stole brudną ścierkę, usiadł i zaczął wolno, z namaszczeniem, wytrząsać zawartość piersiówki na koguta zdobiącego go środek ścierki. Oczy niemal wyszły mu na wierzch na widok rozpościerających się przed nim skarbów. Oni nie żartowali – diament wielkości siewiego oka, niektóre o pięknym złotym odcieniu, inne z niebieskawym połyskiem. Jeden z kamieni, Wayne mógłby przy sięć, miał wielkość jaja rudzika. Musiał mocno potrząsać butelką żeby diament przeszedł przez szyjkę. Serce Wayne'a waliło tak mocno, że potrzebował kolejnego porządnego łyka whisky na uspokojenie. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Całe szczęście, że Lorna odeszła w ubiegłym roku, pomyślał. Powiedziała, że osiem lat ze mną jej wystarczy. Cóż, mnie też wystar-

czyło osiem lat z nią. Ple, ple, ple. Byłem dla niej po prostu za dobry. Przeprowadziła się czterdzieści pięć minut drogi stąd, do Burlington. Podobno umawia się na randki przez Internet. Powodzenia, znajdź sobie tego wrażliwego mężczyznę, którego tak szukasz, kochana.

Wziął cenne kamienie do ręki, nadal nie wierząc własnemu szczęściu. Może kiedy już wykombinuję, jak spieniężyć część tych fantów, wybiorę się w podróż pierwszą klasą i wyślę Lornie pocztówkę. Napiszę jej, jak świetnie się bawię... i wcale nie żałuję, że jej ze mną nie ma.

Ucieszony pomysłem, jak dopiec Lornie, Wayne powrócił myślami do najważniejszej sprawy. Gdy Lem odkryje, że jego świerk zniknął, natychmiast zacznie mnie oskarżać. Jestem podrapany na twarzy, więc muszę coś wymyślić, żeby to wytłumaczyć. Zawsze mogę powiedzieć, że przycinałem jedno z moich drzew i straciłem równowagę. Każdy musi przyznać, że dobrze dbam o choinki, których jeszcze nie sprzedałem.

Drugi problem stanowiło miejsce, gdzie mógłby ukryć diamenty. Zaczął je upychać z powrotem w butelce. Będą mnie podejrzewać o ścięcie drzewa, więc muszę być bardzo ostrożny. Nie mogę trzymać kamieni w domu. Jeśli policja zechce dokonać przeszukania, przy moim pechu z pewnością znajdzie tę piersiówkę.

A może bym zrobił to samo, co tamci faceci, których widziałem przy świerku? Może by je ukryć na którymś z moich własnych drzew, aż wszystko się uspokoi i będę mógł się wybrać do miasta?

Wayne owinał butelkę brązową taśmą maskującą, a potem przeszukał jedną po drugiej wszystkie zagracone szuflady w kuchni, aż wreszcie znalazł drut do wieszania obrazów, który Lorna kupiła przy szybko poniechanej próbie upiększenia domu. Pięć minut później wspinał się na stary wiąz na podwórku przed domem; idąc za przykładem tamtych ludzi spod świerka, oddał butelkę z diamentami pod opiekę matce naturze.

Po koszmarnym śnie o Packym Opal prawie nie mogła spać. Budziła się co chwila, spoglądała na zegar o drugiej nad ranem, o wpół do czwartej i godzinę później.

Sen był naprawdę niepokojący, przywołał całą złość i niechęć, jaką czuła do tego drania i jego współników. Próbowwała sobie żartować, ale Packy zachował się wyjątkowo obraźliwie, deklarując, że będzie oddawał dziesięć procent zarobków z restauracji, żeby spłacić swoje ofiary!

Znów robił z nich głupców.

Wciąż miała w pamięci telewizyjną relację ze zwolnienia Noona-na. Jedna ze stacji nadała krótki reportaż o jego oszukańczych praktykach, pokazując Packy'ego z tymi idiotami Benjaminem i Giu-seppem Como, lepiej znanymi jako Benny i Jo-Jo, na ławie oskarżonych. Opal przypomniała sobie, jak siedziała naprzeciw nich przy stole konferencyjnym, a tamci namawiali ją, by zainwestowała więcej pieniędzy w firmę. Benny wstał, żeby dolać sobie kawy. Poruszał się niezdarne, jakby miał pełne spodnie, jak mawiała jej matka.

No właśnie! Opal szybko usiadła na łóżku i zapaliła światło. Nagle sobie uświadomiła, że mężczyzna, którego w sobotę po południu widziała, jak wkładał narty na bagażnik vana przed farmą, przypominał jej Benny'ego.

Grupa narciarzy, a wśród nich Opal, biegła za instruktorem, ale przed nimi na szlaku było tylu maruderów, że w końcu, by ich ominąć, instruktor poprowadził ich na skróty, przez las, obok zaniedbanej farmy.

Zerwało mi się sznurowadło, wspominała Opal, więc usiadłam na kamieniu, między drzewami, ale blisko tamtego domu. Stał przed nim jakiś mężczyzna, wkładał narty na dach vana. Wydawał mi się znajomy. Nagle ktoś go zawołał i tamten w wyraźnym pośpiechu wszedł do domu człapiącym, niezdatnym krokiem.

Był niski i przysadzisty. Mogłabym przysiąc, że to Benny Como!

Ale to przecież niemożliwe, myślała gorączkowo Opal. Skąd by się tu wziął? Prokurator okręgowy, który miał oskarżać braci Como na procesie, twierdził, że bliźniacy Benny i Jo-Jo uciekli z kraju, kiedy wypuszczono ich za kaucją. Co Benny miałby robić w Vermoncie?

Nie było mowy o dalszym śnie. Opal wstała z łóżka, włożyła szlafrok i zeszła na dół. Cały parter stanowiło jedno otwarte pomieszczenie z belkowanym sufitem, murowanym kominkiem i wiel-

kim oknem wychodzącym na góry. Część kuchenna znajdowała się o dwa stopnie wyżej i była oddzielona od reszty barowym blatem. Opal zaparzyła dzbanek kawy, naląła sobie filiżankę i stojąc przy oknie, popijała słynny miejscowy specjał. Jednak prawie nie czuła jego smaku. Patrząc na cudowny krajobraz, zastanawiała się, czy Ben-ny nadal może być na farmie.

Elwira i Willy wstaną nie wcześniej niż za jakieś dwie godziny, pomyślała. Mogłabym pojechać tam na nartach. Jeśli van nadal stoi przed domem, spiszę numery rejestracyjne. Jack Reilly z pewnością będzie mógł je sprawdzić...

Albo zaczekam na Elwirę i Willy'ego, pójdziemy popatrzeć, jak ścinają świerk dla Rockefeller Center, odszukamy syropodajny klon Meehanów i wrócimy do domu. Ale wtedy już zawsze będę się zastanawiać, czy to był Benny i czy zaprzepaściłam okazję, żeby go wysłać za kratki.

Opal uznała, że nie może do tego dopuścić. Poszła na górę i ubrała się szybko, wkładając pod kurtkę gruby sweter, kupiony w sklepie z upominkami na terenie pensjonatu. Już na zewnątrz dostrzegła, że niebo jest zasnuwane chmurami, i poczuła w powietrzu wilgotny chłód. Pomyślała, że znów będzie padał śnieg; wszyscy zapaleni narciarze musieli się bardzo cieszyć z tak wczesnie rozpoczętego sezonu.

Mam dobrze rozwinięte poczucie kierunku, powtarzała sobie, przypinając narty i odtwarzając w pamięci trasę do farmy. Znajdę to miejsce bez problemu.

Odepchnąwszy się kijkami, ruszyła przez pole. Wokół panowały cisza i spokój. Choć Opal niewiele spała, czuła się całkiem rześko. Może to szaleństwo, mówiła sobie w duchu, ale chcę mieć świadomość, że nie przegapiłam szansy złapania tych złodziei i ujrzenia ich w kajdankach.

I z kulami u nóg, dodała w myślach. To byłby niezły widok.

Utrzymywała równe tempo. Była z siebie dumna, że tak dobrze sobie radzi na nartach. Cieszyła się na myśl, że przy śniadaniu opowie Elwirze o swoich porannych dokonaniach. Przyjaciółka będzie zła, że Opal jej nie obudziła.

Po półgodzinie znalazła się w lesie naprzeciwko budynków farmy. Musiała zachować ostrożność. Pamiętała, że na wsi ludzie wsta-65

ją wcześniej... w przeciwieństwie do jej sąsiadów z miasta, którzy rozsuwali zasłony dopiero około południa.

Jednak wokół domu nie widać było żadnego ruchu. Van stał zaparkowany tuż przed wejściem. Jeszcze trochę bliżej i kierowca mógłby wysiąść prosto do salonu. Odczekała dwadzieścia minut. Nikt nie wyszedł, by wydoić krowy czy nakarmić drób. Zastanawiała się, czy w ogóle trzymają tam jakiś inwentarz. Stodoła była tak wielka, że pomieściłaby całą arkę Noego.

Opal przejechała kawałek w lewo, żeby wyraźniej zobaczyć tablicę rejestracyjną vana. Litery wskazywały na Vermont, ale z miejsca, gdzie stała, nie była w stanie odczytać numerów. Choć wiązało się to z ryzykiem, musiała podjechać bliżej.

Wzięła głęboki wdech, wyjechała spomiędzy drzew i zatrzymała się dopiero parę metrów od vana. Musiała szybko się uwinąć i zmykać. Z narastającym zdenerwowaniem odczytała szeptem numery z zielono-białej tablicy.

–BEM 360. BEM 360 – powtórzyła. – Zapiszę je, jak tylko nie będzie można mnie zobaczyć z domu.

W domu na farmie, przy tym samym stole, przy którym zaledwie parę godzin wcześniej trwała biesiada, trzech skacowani, zmęczeni i wściekli przestępcy próbowali znaleźć jakiś pomysł, aby odzyskać butelkę z diamentami – ich przepustkę do słodkiego życia. Na środku blatu leżała maczeta z nazwiskiem Wayne'a Covela na trzonku. Obok miejscowa książka telefoniczna z zakreślonym przez Pa-cky'ego nazwiskiem i numerem telefonu Covela. Adresu Covela w książce nie podano.

Milo przygotował dwa dzbanki kawy i dwie tace naleśników z bekonem i parówkami. Packy i jego kompani błyskawicznie pochłonęli śniadanie, ale zignorowali przyjazną sugestię:

–Może jeszcze jedną porcję naleśników dla rosnących chłopców?

Wszyscy trzej z nieukrywaną wrogością spoglądali na maczetę Covela.

Co mi szkodzi usmażyć jeszcze trochę, pomyślał Milo, kładąc masło na patelnię. Niestety najwyraźniej nie wpłynęło na apetyt całej trójki.

–Milo, daj sobie spokój z tym pichceniem – zarządził Packy.

–Siadaj. Mam dla ciebie zadanie.

Milo usłuchał. Chcąc wyłączyć naleśniki, omyłkowo podkręcił ogień pod brytfanną wypełnioną tłuszczem z bekonu.

–Jesteś pewien, że wiesz, gdzie mieszka ten Covell? – spytał go Packy nieufnie.

–Owszem, wiem – potwierdził Milo z dumą. – Jest napisane na drugiej stronie artykułu o drzewie, który wam pokazywałem. Piszą tam, że to niezwykle, znaleźć dwa drzewa godne Rockefeller Center w jednym stanie, nie mówiąc już o tym, że na sąsiednich plantacjach. Wszyscy wiedzą, gdzie mieszka Lem Pickens, a Covell tuż obok.

Benny zmarszczył nos.

–Coś się pali?

Wszyscy spojrzeli na piec; ze staroświeckiej żeliwnej brytfanny unosiły się płomienie i dym. Obok, na patelni naleśniki przybierały nienaturalnie ciemną barwę.

–Chcesz nas zabić? – wykrzyknął Packy. – Strasznie śmierdzi!

–Poderwał się z miejsca. – Od dymu dostaję astmy! – Podbiegł do drzwi, otworzył je szeroko i wypadł na ganek.

Parę metrów od niego jakaś kobieta na biegówkach wpatrywała się w tablicę rejestracyjną vana.

Odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała Packy'emu w twarz. Choć minęło ponad dwanaście lat, natychmiast wzajemnie się rozpoznali.

Próbując uciekać, Opal odepchnęła się mocno kijkami, ale straciła równowagę i upadła. Packy natychmiast się na nią rzucił; zakrył jej dłonią usta i klękając na plecach kobiety, przygwoździł ją do ziemi. Chwilę później oszołomiona i wystraszona poczuła, jak inne ręce chwytają ją i ciągną do domu.

22

Piętnaście po siódmej Elwira obudziła się w nastroju oczekiwania. – Można odnieść wrażenie, że zaczyna się sezon świąteczny, nie sądzisz, Willy? – zwróciła się do męża. – Mam na myśli to, że zoba-67

czymy choinkę do Rockefeller Center w jej naturalnym otoczeniu, zanim rozświetlona stanie w Nowym Jorku.

Po czterdziestu latach małżeństwa Willy był przyzwyczajony do porannych uwag żony i nauczył się odpowiadać na nie zgodnym chrząknięciem, próbując ocalić resztki snu.

Elwira przyjrzała się mężowi. Leżał z zamkniętymi oczyma, z głową wciśniętą w poduszkę.

–Willy, świat właśnie się skończył, a my oboje jesteśmy martwi – powiedziała.

–Yhm – mruknął. – Świetnie.

Uznała, że nie ma sensu jeszcze go zrywać.

Wzięła prysznic i włożyła ciemnozielone wełniane spodnie oraz

szaro-biały sweter -jeden z zestawów wybranych dla niej przez baronową Min. Przejrzała się w dużym lustrze na drzwiach szafy. Była zadowolona z tego, co zobaczyła. Pomyślała, że dawniej włożyłaby fioletowe spodnie do pomarańczowo-zielonego swetra. Właściwie nadal czuła się, jakby je nosiła. Oboje z Willym w gruncie rzeczy wcale się nie zmienili. Lubili pomagać ludziom. On naprawiał ciekące rury tym, których nie stać było na wezwanie hydraulika. Ona próbowała służyć pomocą w rozwiązywaniu ludzkich problemów.

Podeszła do toaletki po swoją broszkę z wmontowanym mikrofonem i przypięła ją do swetra. Chciała nagrać to, co ludzie będą mówić w czasie ścinania drzewa, by wykorzystać ich opinie do artykułu na swoją kolumnę.

–Kochanie?

Elwira odwróciła się do męża. Willy siedział na łóżku.

–Mówiłaś coś o końcu świata?

–Owszem, i o tym, że oboje umarliśmy. Ale nie martw się. Żyjemy, a koniec świata został odwołany.

Willy uśmiechnął się półprzymkniętymi oczami.

–Kochanie, już się obudziłem.

–Zacznę pakowanie, kiedy będziesz brał prysznic – oznajmiła Elwira. – O wpół do dziewiątej spotykamy się z resztą w jadalni na śniadaniu. U Opal jest zupełnie cicho. Lepiej ją obudzę.

Ona i Willy zajmowali sypialnię na parterze, a Opal spała w dużym pokoju na piętrze. Wchodząc do głównego pomieszczenia domku, Elwira poczuła zapach kawy, a zaraz potem dostrzegła na kuchennym blacie wiadomość od przyjaciółki. Dokąd i po co Opal wyszła tak wcześnie rano, zdziwiła się, przystępując do czytania.

Droży Elwiro i Willy, Wyszłam wcześnie, żeby pobećać na nartach. Muszę coś sprawdzić. Spotkamy się na śniadaniu w pensjonacie o 8.30. Pozdrawiam, Opal

Czując narastający niepokój, Elwira ponownie przeczytała kartkę. Opal dobrze sobie radziła na nartach, ale przecieć nie znała tutejszych szlaków. Mogły prowadzić na zupełne odludzie. Nie powinna samotnie się oddalać. Jakąż to ważną rzecz musiała sprawdzić, wyruszając z domu o świcie?

Elwira nalęła sobie kawy. Miała lekko cierpki smak, jakby stała na podgrzewaczu od paru godzin. Opal musiała wyjechać bardzo wcześnie.

Czekając, aż mąż się ubierze, Elwira patrzyła na pasmo gór. Nad szczytami zbierały się ciężkie chmury. Dzień był szary. Myślała o tym, jak wiele w okolicy jest tras narciarskich i jak łatwo Opal może się zgubić.

Było piętnaście po ósmej. Przyjaciółka obiecała, że wróci o wpół do dziewiętej. Nie było sensu martwić się na zapas. Za parę minut mieli jeść razem śniadanie.

Willy ukazał się w drzwiach sypialni ubrany w austriacki sweter, kupiony w sklepie z upominkami.

–Uważasz, że powinienem nauczyć się jodłować? – spytał, rozglądając się wokół. – A gdzie Opal?

–Spotkamy się w jadalni – odpowiedziała Elwira.

Przynajmniej mam taką nadzieję, dodała w duchu.

Regan, Jack, Nora i Lukę opuścili swój domek o ósmej dwadzieścia, kierując się do jadalni.

–Jest tak cudownie – westchnęła Nora. – Dlaczego zawsze kiedy człowiek zaczyna naprawdę odpoczywać, czas się zbierać do domu?

–Cóż, gdybyś się nie zgodziła uczestniczyć w tak wielu przyjęciach, mogłabyś być wypoczęta jak moi szacowni zmarli klienci – zauważył cierpko Lukę.

–Nie mogę uwierzyć, że powiedziałaś coś takiego – oburzyła się Regan. – Chociaż właściwie mogę.

–Trudno odmówić, skoro mogę zebrać pieniądze na cele dobroczynne – broniła się Nora. – Jutrzejsze spotkanie jest szczególnie obiecujące.

–Oczywiście, kochanie.

Jack z przyjemnością słuchał ich rozmowy. Pomyślał, że Lukę i Nora dobrze się razem czują. On i Regan też tacy będą po wielu latach małżeństwa. Objął narzeczoną, a ona odpowiedziała uśmiechem.

–Zawsze to samo – skomentowała, wznosząc oczy ku niebu.

–Zobaczymy, o czym wy będziecie mówić po trzydziestu latach małżeństwa – mruknął Lukę. – Gwarantuję wam, że to nie będzie nic fascynującego. Małżonkowie mają tendencję do poruszania w kółko paru ulubionych tematów.

–Dołożymy starań, by były ciekawe, Lukę – obiecał Jack z uśmiechem. – Choć uważam, że w was dwojgu nie ma nic nudnego.

–Czasami wołałabym nudę – wyznała Nora, kiedy Lukę otwierał drzwi pensjonatu.

– Zwłaszcza kiedy wiem, że Regan się naraża, pracując nad jakąś sprawą.

–Ja też się o nią martwię – powiedział Jack.

–Dlatego cieszę się, że się pobieracie. Nawet kiedy nie jesteście razem, mam wrażenie, że nad nią/Czuwasz.

–Możesz być tego pewna – odrzekł poważnie Jack.

–Dzięki, kochani – włączyła się do rozmowy Regan. – Miło wiedzieć, że stoi za mną drużyna troskliwych opiekunów.

Przeszli przez hol do jadalni. Śniadanie czekało na bufecie ustawionym wzdłuż jednej ze ścian. Hostessa powitała ich uprzejmie.

–Stolik jest gotowy. Państwa znajomi jeszcze nie przyszli. – Zaprowadziła ich na miejsca, biorąc po drodze karty dań. Kiedy siadali, powiedziała: – Rozumiem, że państwo nas dziś opuszczają.

–Niestety, tak – potwierdziła Nora – ale wcześniej idziemy popatrzeć, jak będą ścinać drzewo dla Rockefeller Center.

–Za późno. – Co?

–Spóźnili się państwo.

–Ściął je wcześniej, niż planowano? – zdziwiła się Nora.

–Na to wygląda. Lem Pickens o szóstej rano poszedł się pożegnać ze swoim drzewem i także się spóźnił. Świerka już nie było. Ktoś ściął go w nocy. Skradziono nawet platformę, która miała zawieźć drzewo do Nowego Jorku. Wszyscy o tym mówią. Jedna z goszczących u nas osób powiedziała, że oglądała Imusa na MSNBC, bardzo przejętego tą historią.

–Wyobrażam sobie, co miał do powiedzenia – rzuciła cierpko Regan.

–Uznał, że musiała to zrobić jakaś banda pijaków – ciągnęła z ożywieniem hostessa, wręczając im karty dań. – Bo według niego nikomu innemu by się nie chciało.

–To wygląda na jakiś szczeniacki dowcip – wyraził swoje zdanie Jack.

–1 co oni teraz robią? – zwróciła się Nora do hostessy.

–Jeśli nie znajdą dziś tego świerka, prawdopodobnie pójdą do farmera, który mieszka tuż obok Pickensa. Jego drzewo też brali pod uwagę.

–To jest motyw – zauważył Jack, nie do końca żartem.

–A żeby pan wiedział – podchwyciła hostessa z ożywieniem.

–Lem Pickens występował już w dzisiejszych porannych wiadomościach i krzyczał, że to sprawka jego sąsiada.

–Za takie coś można być pozwany do sądu – wtrąciła Regan.

–Nie sądzę, żeby się tym przejmował. O, są państwa znajomi.

Meehanowie spostrzegli ich i skierowali się w stronę stolika. Regan natychmiast odniosła wrażenie, że choć Elwira się uśmiecha,

jest zaniepokojona. Wrażenie się pogłębiło po jej szybkim „dzień dobry”.

–Opal jeszcze nie ma? – spytała.

–Nie, Elwiro – odpowiedziała jej Regan. – Nie była z wami?

–Wyszła dziś rano, żeby pobiegać na nartach, i mieliśmy się spotkać na śniadaniu.

–Usiądź. Jestem pewna, że przyjdzie za parę minut – pocieszyła ją Nora. – Nie uwierzysz, co się stało.

–Co się stało? – zainteresowała się Elwira.

Kiedy Meehanowie siadali, Regan zauważyła, że Elwira nadstawia ucha, jakby się spodziewała usłyszeć jakieś pikantne plotki.

–Ktoś w środku nocy ściął drzewo przeznaczone dla Rockefeller Center i dokądś je zabrał.

–Co takiego?

–Ale nikt nie ukradł drzewa mojej żony? – zaniepokoił się Willy.

–Bardzo by się naraził.

Elwira nie zwracała uwagi na męża.

–Czemu ktoś miałby sobie zadawać tyle trudu, żeby po nocy ścinać drzewo? I dokąd mogli je zabrać?

Regan szybko opowiedziała im o tym, że nie tylko skradziono świerk i ciężarówkę z platformą, ale też właściciel drzewa, Lem Pi-ckens, oskarżył o ten czyn swego sąsiada.

–Jak tylko zjemy śniadanie, chcę tam pójść i osobiście sprawdzić, co się dzieje – oświadczyła Elwira. Spojrzała na drzwi jadalni. – Wolałabym, żeby Opal się pośpieszyła i zaraz tu przyszła –dodała.

Jack spróbował kawy podanej przez kelnerkę.

–Nie wiesz przypadkiem, czy Opal słyszała wiadomość o Pa-ckym Noonanie?

–Jaką wiadomość? – spytali jednocześnie Elwira i Willy.

–Wczoraj nie wrócił na noc do ośrodka przejściowego, co oznacza, że złamał warunki zwolnienia.

–Opal zawsze przysięgała, że ten łajdak ukrył gdzieś mnóstwo pieniędzy. Prawdopodobnie w tej chwili opuszcza kraj ze swoim łupem. – Elwira pokręciła głową. – To oburzające. – Sięgnęła po koszyczek z pieczywem i po starannym namyśle wybrała strudel

z jabłkami. – Nie powinnam – mruknęła pod nosem – ale jest taki pyszny.

Położyła torebkę na podłodze przy swoich stopach. Aż podskoczyła, kiedy rozległ się z niej sygnał telefonu komórkowego.

–Zapomniałam wyłączyć przed wejściem do jadalni – powiedziała, schylając się. – Mężczyźni mają o wiele łatwiej, przypinają sobie komórkę do paska i odbierają po pierwszym dzwonku... chyba że coś knują... Halo... O, cześć, Charley.

–To Charley Evans, redaktor z „The New York Globe” – wyjaśnił Willy. – Stawiam dolary przeciwko pączkom, że już wie o zniknięciu drzewa. Ma informacje, jeszcze zanim coś się wydarzy.

–Owszem, słyszeliśmy o drzewie – mówiła Elwira. – Jak tylko skończę śniadanie, natychmiast się tam wybiorę, Charley. Naturalna ludzka ciekawość każe mi porozmawiać z miejscowymi ludźmi. Zrobiła się z tego kryminalna afera, co? – zaśmiała się. – Pewnie, że chciałabym rozwiązać tę zagadkę. Tak, możemy z Willym zostać jeszcze dzień lub dwa, żeby zobaczyć, co się dzieje. Za parę godzin zdam ci sprawozdanie. Och! Tak na marginesie, jakie są najświeższe wiadomości na temat Packy'ego Noonana? Dopiero co słyszałam, że wczoraj wieczorem nie stawiał się w ośrodku przejściowym. Jest tu ze mną przyjaciółka, która straciła pieniądze przez jego matactwa.

Wszyscy widzieli, jak twarz pani Meehan przybiera wyraz niedowierzania.

–Widziano go, jak wsiadał na Madison do vana z rejestracją z Vermontu?

Zebrani przy stoliku wymienili między sobą znaczące spojrzenia.

–Tablice rejestracyjne z Vermontu! – powtórzyła Regan.

–Może to on ściał drzewo? – zasugerował Lukę. – To musiał być albo Packy Noonan, albo Jerzy Waszyngton. – Zniżył głos. – „Ojczy, nie mogę kłamać. Ściałem czereśnię”.

–Znów odzywa się nasz historyk – powiedziała Regan do Jacka. – Różnica między Packym Noonanem a Jerzym Waszyngtonem polega na tym, że Packy by się nie przyznał, nawet gdyby go przyłapano z siekierą w ręku.

–Jerzy Waszyngton nigdy tego nie powiedział – zaprotestowała Nora. – Te głupie historie wymyślono po jego śmierci.

–Cóż, ktokolwiek ściał ten świerk, nigdy nie zostanie prezyden-
tem Stanów Zjednoczonych – oświadczył Willy.

–Nie licz na to – mruknął Lukę.

Elwira zatrzasnęła klapkę komórki.

–Wyłączę dźwięk i nastawię na wibrowanie. Może Opal zadzwoni, kiedy się
zorientuje, że jest późno. – Położywszy aparat na stole, mówiła dalej: – Ksiądz z
katedry Świętego Patryka zauważył va-na z rejestracją z Vermontu stojącego przed
plebanią na Madison. Potem zatelefonowała jakaś matka, twierdząc, że jej synek
widział człowieka biegnącego ulicą i wsiadającego do tego vana. Oczywiście Packy
był na mszy w katedrze. Detektyw, który go śledził, powiedział, że Packy zapalił
nawet świeczkę przed figurą świętego Antoniego.

–Może ten detektyw też powinien zapalić świeczkę, żeby święty Antoni pomógł
mu znaleźć Packy'ego – rzucił Willy. – Moja matka zawsze modliła się do świętego
Antoniego. Wiecznie gubiła okulary, a ojciec nigdy nie mógł znaleźć kluczyków do
samochodu.

–Święty Antoni byłby doskonałym detektywem – skomentowała Regan tym
samym cierpkim tonem, który był znakiem rozpoznawczym Luke'a. – Powinnam mieć
jego podobiznę na biurku.

–Lepiej weźmy się do jedzenia – zaproponowała Nora.

Podczas śniadania Elwira co chwila patrzyła na drzwi, ale Opal
się nie pojawiła. Telefon zawibrował, kiedy opuszczali jadalnię. Znow dzwonił jej
redaktor.

–Elwiro, wygrzebaliśmy trochę danych na temat Packy'ego
Noonana. Kiedy miał szesnaście lat, pracował w Stowe w stanie
Vermont w ramach programu dla trudnej młodzieży. Ścinał drzew
ka bożonarodzeniowe u Lema Pickensa. Może to nie ma nic do rze-
czy, ale jak ci już mówiłem, widziano go opuszczającego Nowy Jork
w vanie z rejestracją z Vermontu. Nie mam pojęcia, po co miałby
ścinać drzewo, ale pamiętaj o tym, rozmawiając z ludźmi.

Serce jej zamarło ze strachu. Opal spóźniła się już godzinę, a Pa-cky Noonan
mógł się kręcić po okolicy. Przyjaciółka pojechała coś sprawdzić. Szósty zmysł, na
którym Elwira zawsze mogła polegać, podpowiadał jej, że między tymi faktami istnieje
związek.

Niedobry związek.

Wcześniej tego ranka, kiedy słońce wznosiło się nad góry, Lem i Viddy, trzymając się za ręce, obuci w śniegowce, przedzierali się na przełaj przez śnieg na swojej działce, by po raz ostatni spojrzeć na ukochane drzewo, zanim wyruszy w świat.

–Wiem, że to niełatwe, Viddy – mówił Lem, wypuszczając z ust obłoczek pary. – Pomyślmy jednak, ile radości czeka nas w Nowym Jorku. Poza tym, nasze drzewo nie przepadnie na zawsze, Viddy. Słyszałem, że potem czasami wysypują korą tych drzew trasy tury styczne w Appalachach.

Drepcząca obok niego żona odpowiedziała, przełykając łyżę:

–To miło, Lem, ale nie wybieram się na wycieczkę w Appala-chy. Tamte czasy dawno minęły.

–Czasem wykorzystują pnie do budowy przeszkód w centrum jeździeckim.

–Nie chcę, żeby jakieś konie skakały przez moje drzewo. A właściwie, gdzie jest to centrum jeździeckie?

–Gdzieś w New Jersey.

–Szkoda gadać. Ta podróż do Nowego Jorku będzie ostatnią okazją do spakowania walizek. Kiedy stamtąd wrócimy, możesz oddać moje torby podróżne dla biednych i odpisać sobie darowiznę od podatku.

Skręcili na polanę i stanęli jak wryci. W miejscu, gdzie przez pięćdziesiąt lat rosnęło ich ukochane drzewo, sterczał jedynie poszarpany pień. Drabina, której robotnicy używali do przygotowania drzewa do podróży do Nowego Jorku, leżała obok na ziemi, a ramię dźwigu ustawione było inaczej niż poprzedniego wieczoru.

–Zakradli się wcześniej i ścięli nasze drzewo! – wyrzucił z siebie Lem. – Niech ja dorwę tych nowojorskich ważniaków! Do dziesiątej rano drzewo należało do nas. Nie mieli prawa go ścinać ani mi nuty wcześniej.

Viddy, z nich dwojga zawsze myśląca szybciej, wskazała na dźwig.

–Lemmy, dlaczego mieliby to robić, skoro wiedzieli, że będą tu

reporterzy i telewizja? Tam, w Nowym Jorku, wszyscy lubią rozgłos. Pamiętasz, jak o tym czytaliśmy? – Otrząsnąwszy się z wcześniejszego sentymentalnego nastroju, oznajmiła trzeźwo: – To nie ma sensu.

Zbliżając się do pnia, usłyszeli warkot nadjeżdżającego samochodu.

–Może wracają po dźwig – wyraził przypuszczenie Lem. Sta-
nęli po obu stronach pnia. – Mam zamiar nagadać im do słuchu.

Trzydziestoparoletni mężczyzna, którego Lem poznał dzień wcześniej, gdy podwiązywano dolne gałęzie świerka, szedł w ich stronę. Lem pamiętał, że tamten ma na imię Phil. Nagle przybysz zmienił się na twarzy.

–Co się stało z drzewem? – wykrzyknął.

–Nie wiesz? – wybuchnął Lem.

–Oczywiście, że nie! Obudziłem się wcześniej i postanowiłem tu przyjechać.

Reszta będzie przed ósmą. Gdzie nasza platforma?

Viddy nie wytrzymała.

–Lem, mówiłam ci, że to nie miałoby sensu, by ludzie z Rocke-
feller Center przed dziesiątą ścinali nasze drzewo. Ale kto inny mógł
to zrobić?

Stojący obok niej mąż wyprostował się na całą wysokość, chociaż z wiekiem zmałał do metra osiemdziesięciu pięciu centymetrów, i wskazując oskarżycielsko na las, ryknął:

–Ten nicpoń Wayne Covel to zrobił!

Prawie cztery godziny później, kiedy Meehanowie z Reillymi dotarli na miejsce przestępstwa, Lem wciąż powtarzał swoje oskarżenia, tak by cały świat go słyszał. Ponieważ rozeszło się już, że ktoś uciekł z trzytonowym drzewem, oczekiwany stuosobowy tłum rozrósł się do trzystu osób i ciągle dochodzili nowi gapie. W lesie roilo się od dziennikarzy, kamer telewizyjnych i reporterów z różnych stacji. Ku uciesze zgromadzonych mediów, to, co zapowiadało się na sielską ciekawostkę, urosło do rangi wydarzenia na pierwszej stronie.

Meehanowie i cała czwórka Reillych podeszli do kapitana policji ulokowanego w zaimprovizowanym posterunku na skraju pola-

ny. Elwira rozglądała się w tłumie z nadzieją, że może spóźniona Opal przyjdzie od razu na polanę.

Jack przedstawił siebie i swoje towarzystwo, a następnie poinformował kapitana, że Elwira pisze relację dla pewnej nowojorskiej gazety.

–Mógłby nam pan podać najświeższe wiadomości, szefie?

–Ktoś sprzątnął to drzewo. Znaleźliśmy ciężarówkę z platformą na drodze numer sto, niedaleko Morristown; według mnie może się to wiązać z przestępstwem. Sprawdzają rejestrację. Ludzie z Rockefeller Center dają dziesięć tysięcy dolarów nagrody za drzewo, jeśli nadal jest w dobrym stanie. Przy tym nagłośnieniu sprawy – wskazał na kamery – będzie wielu chętnych do szukania.

–Sądzi pan, że mogły to zrobić jakieś nastolatki? – spytała Elwira.

–Musiałyby być wyjątkowo sprytne – odrzekł kapitan bez przekonania. – Nie tak łatwo ściąć drzewo tej wielkości. Jeśli podetniesz pod złym kątem, może na ciebie upaść. Ale kto wie? Może się znaleźć na jakimś kampusie, obwieszane błyskotkami. Jednak osobiście w to wątpię.

Lem Pickens powoli się uspokajał. Przez cztery godziny nie opuszczał polany, poza krótką wyprawą w asyście policji, by dwadzieścia po szóstej załomotać do drzwi Wayne'a Coveła. Nawet słuszny gniew nie mógł go dłużej rozgrzewać. Viddy kilka razy chodziła tam i z powrotem do domu, by napić się kawy i trochę ogrzać. Mijając policyjny posterunek, zatrzymali się oboje, zagadując kapitana:

–Panie władzo, czy ktoś rozmawiał jeszcze raz z tym nędznym porywaczem drzew Wayne'em Covelem?

–Lem – zaczął zmęczonym głosem kapitan – wiesz przecież, że na razie nie ma go o co oskarżyć. Zerwaliśmy go rano z łóżka. Twierdzi, że o niczym nie wie. To, że ty uważasz go za winnego, wcale nie świadczy, że naprawdę ma z tym coś wspólnego.

–Któż inny mógłby to zrobić? – złościł się Lem. Pytanie wydawało się retoryczne. Elwira wykorzystała okazję.

–Panie Pickens, jestem reporterką „The New York Globe”. Czy mogłabym spytać o kogoś, kto pracował u pana przed laty?

Lem i Viddy odwrócili się i z zainteresowaniem spojrzeli na Elwirę i towarzyszące jej osoby.

–Jak pani mówi, kim pani jest? – spytał Lem.

–Wszyscy jesteśmy z Nowego Jorku i muszę dodać, że wspólnie rozwiązaliśmy wiele zagadek kryminalnych – odpowiedziała w imieniu całej grupy.

–Czytuję pani książki, Noro! – wykrzyknęła Viddy. – Może zajdziecie do nas do domu na gorącą czekoladę, to porozmawiamy.

Cudownie, ucieszyła się Elwira. Będziemy mogli bez przeszkód wypytać ich o Packy'ego Noonana.

–Tak, chodźmy – mruknął Lem, potwierdzając zaproszenie gestem kościstej ręki.

Pani Meehan zwróciła się do kapitana:

–Moja przyjaciółka wyszła dziś rano pobiegać na nartach i miała się spotkać z nami na śniadaniu. Jestem zaniepokojona.

–Kochanie – przerwał jej Willy. – Jestem pewien, że wszystko z nią w porządku. Zaczekam tu. Z pewnością się pojawi. Przyjdziemy do was albo spotkamy się, jak tu wrócicie.

–Naprawdę będziesz tak miły?

–Oczywiście. Wiele się tu dzieje. Może powinnaś mi pożyczyć swoją broszkę. Żona odpowiedziała uśmiechem.

–Niedoczekanie. – Dołączywszy do reszty, ruszyła na farmę Picpensów.

Trzej nicponie znowu razem, pomyślała z niechęcią. Bóg poskąpił bliźniakom urody. Pamiętałam, że Benny niezgrabnie chodził i proszę, gdzie się przez to znalazłam. Powinnam była powiedzieć Elwirze, dokąd się wybieram i po co. Następną myśl lekko zmroziła jej krew: co oni mi robią?

–Możecie już zamknąć okna – warknął Packy. – Idzie tu zamarznąć. – Podszedł do kanapy i popatrzył na Opal z góry. Zaczął ją klepać po twarzy. – Obudź się, no już. Nic ci nie jest.

Wzdrygając się z obrzydzenia, otworzyła oczy.

–Zabieraj łapy, Packy Noonan! Ty nędzny złodzieju!

–Wygląda na to, że oprzytomniałaś – mruknął. – Jo-Jo, Benny, zabierzcie ją do kuchni i przywiążcie do krzesła. Nie chcę, żeby nam zwiąła.

Narty Opal leżały na podłodze. Bliźniacy zawlekli ją do kuchni, gdzie zdenerwowany Milo przygotowywał kolejny dzbanek kawy, zastanawiając się przy tym, jak długo się siedzi za porwanie. Okna wciąż były otwarte. Odór spalonego tłuszczu i zwęglonych naleśników zmieszany z lodowatym powiewem jeszcze pogarszał nastrój Opal.

–Ty tu jesteś kucharzem? – zwróciła się do Mila. – Jeśli tak, przydałoby ci się parę lekcji z tej dziedziny.

–Jestem poetą – sprostował zgnębiony Milo.

Benny i Jo-Jo owinęli sznur wokół nóg i klatki piersiowej Opal.

–Zostawcie mi wolne ręce – rzuciła ostro. – Może będziecie chcieli, żebym wypisała kolejny czek. Napiałabym się kawy.

–Urodzona komediantka – parsknął Jo-Jo.

–Raczej uwięziona komediantka – poprawił go Benny i zaczął się śmiać.

–Zamknij się, Benny. – Packy wszedł do kuchni. – Nikogo innego nie widać.

Musiła przyjechać sama. – Usiadł za stołem naprzeciw Opal. – Skąd wiedziałaś, że tu jesteśmy?

–Najpierw dajcie mi kawę.

Pierwszą reakcją Opal na to, co się stało, był szok, który zaraz ustąpił miejsca złości. Widząc desperację na twarzy oszusta, domyśliła się, że powinien być w ośrodku przejściowym w Nowym Jorku. Była pewna, że nie dostał weekendowej przepustki do Yermontu.

Czyżby przyjechał tu po pieniądze, które, jak była przekonana, gdzieś ukrył, a potem chciał szybko uciec z kraju? I czyżby pieniądze zostały ukryte gdzieś tutaj? Inaczej po co on i bracia Como przyjeżdżaliby do Vermontu? Z pewnością nie na narty.

–Z mlekiem i cukrem? – spytał uprzejmie Milo. – Mamy dwu-procentowe albo odtłuszczone.

–Odtłuszczone i bez cukru. – Popatrzyła na bliźniaków. – Wy dwaj też powinniście pić z chudym mlekiem i bez cukru. – Zaczynała odczuwać jakąś niedorzeczną satysfakcję z tego, że może obrażać ludzi, którzy tak ją skrzywdzili. Miała świadomość, że powinna się bać. Tymczasem czuła się, jakby to najgorsze już ją spotkało.

–Próbowałem diety – przyznał Benny – ale trudno pościć, kiedy człowiek jest w stresie.

–Ty jesteś w stresie od czterech dni. Spróbuj posiedzieć dwanaście i pół roku w pudle – rzucił ze złością Packy.

Milo postawił przed Opal kubek z kawą.

–Proszę – szepnął łagodnie.

–No, gadaj, Opal – zażądał Packy.

Zastanawiała się, ile powinna im powiedzieć. Jeśli powie, że ktoś przyjdzie jej tu szukać, zostawią ją czy zabiorą ze sobą? Postanowiła w miarę możliwości trzymać się prawdy.

–Kiedy przedwczoraj biegłam tędy na nartach, zobaczyłam przed domem mężczyznę pakującego narty na bagażnik vana. Wydał mi się znajomy. Nie mogłam przestać o tym myśleć, a dziś rano sobie uświadomiłam, że przypominał mi Benny'ego, więc postanowiłam sprawdzić tablice rejestracyjne. To wszystko.

–Benny znów nawalił – mruknął Packy. – Komu o tym powiedziałaś?

–Nikom. Ale znajomi, z którymi mieszkam, będą się zastanawiać, dlaczego nie wróciłam. – Postanowiła nie mówić, że wśród tych ludzi jest dowódca oddziału do zadań specjalnych nowojorskiej policji, licencjonowany prywatny detektyw oraz najlepszy detektyw amator po tej stronie Atlantyku.

Packy nie spuszczał z niej wzroku.

–Włącz telewizor, Benny – rozkazał. Na kuchennym blacie stał dziesięciocalowy odbiornik. – Zobaczmy, czy odkryli już pniak w lesie.

Trafili na odpowiedni moment. Kamera pokazywała wściekłego Lema Pickensa; wskazując na żalostną pozostałość po drzewie, krzyczał, że to sprawka jego sąsiada. Packy wziął do ręki maczetę z nazwiskiem Wayne'a.

–No tak. Mamy go – powiedział spokojnie. – Benny, Jo-Jo, mu szę z wami pogadać na osobności. – Kiwnął głową w stronę Mila.

–Miej ją na oku. Może wyrecytuj jej jakiś wiersz.

–Ktoś ściał drzewo wybrane przez ludzi z Rockefeller Center!

–wykrzyknęła Opal, kiedy trzech wspólnicy naradzali się w odległym kącie, poza zasięgiem jej słuchu.

Milo machnął w stronę pokoju.

–To oni! Wyobraża pani sobie?

–Jo-Jo, masz tabletki nasenne na lot do Brazylii? – spytał rzeczowo Packy.

–Jasne.

–Gdzie?

–W torbie.

–Przynies je natychmiast.

Benny wyraźnie się zmartwił.

–Packy, wiem, że ostatniej nocy nie zmrużyliśmy oka. I wiem, że jesteś zdenerwowany. Ale nie sądzę, abys powinien teraz brać lekarstwo na sen.

–Jesteś idiotą – syknął ten przez zaciśnięte zęby.

Jo-Jo pognął na górę i zaraz wrócił z buteleczką pigułek. Z pytającą miną wręczył je Packy'emu.

–Musimy jakoś dostać się do domu Wayne'a Covela i znaleźć diamenty. Nawet jeśli ją zwiążemy, istnieje ryzyko, że ucieknie. Albo ktoś ją tu znajdzie i ta kobieta zacznie mówić. Musimy się upewnić, że nam nie przeszkodzi, dopóki nie wsiądziemy do samolotu i nie będziemy w drodze. Parę sztuk uciszy ją przynajmniej na osiemnaście godzin.

–Myślałem, że Milo tu zostaje.

–Zostaje. Będzie spał obok niej. – Packy wytrząsnął na dłoń cztery pigułki.

–Jak ich zmusisz, żeby je połknęli? – spytał szeptem Benny.

–Należesz Milowi świeży kubek kawy. Wrzuć dwie pigułki i za-

mieszaj. Wypije. Dziwię się, jak on może spokojnie siedzieć i pisać, pochłaniając tyle kawy. Ja będę miły i poczęstuję następnym kubkiem panią Forsiastą. Jeżeli nie wypije, przejdziemy do planu B.

–Jaki jest plan B?

–Wepchniemy jej pigułki do gardła. W milczeniu wrócili do kuchni, gdzie Opal recytowała Milowi

listę osób, które straciły pieniądze przez Packy'ego.

–Jedna para zainwestowała wszystkie oszczędności na starość

–mówiła. – Musieli sprzedać swój śliczny mały domek na Florydzie.

Teraz, żeby sobie dorobić do emerytury, mają się różnych dziwnych zajęć. Była też pewna kobieta, która...

–Kobieta, która ple, ple, ple... – przerwał jej Packy. – Nie moja wina, że wszyscy byliście tacy głupi. Chciałbym jeszcze kawy.

Milo poderwał się z miejsca.

–Nie fatyguj się, Milo. Ja naleję – zaoferował się Benny.

–O, popatrzcie na to! – Packy, wskazując na telewizor, wziął kubek Opal i podszedł do kuchenki.

Na ekranie widać było komendanta policji i Lema Pickensa walących do drzwi zaniedbanej farmy. Głos reportera informował widzów, że godzinę temu komendant policji uparł się towarzyszyć wściekłemu właścicielowi świerka do domu Wayne'a Coveła.

–Pickens od lat miewał zatargi z Covelem, a drzewo Coveła tak że było brane pod uwagę przez pracowników Rockefeller Center

–wyjaśniał dziennikarz.

–Pamiętam, widziałem tę ruderę, kiedy byłem dzieckiem – po wiedział Packy, stawiając przed Opal świeżo napełniony kubek.

–Teraz wygląda jeszcze gorzej.

Zobaczyli, jak drzwi się otworzyły i w progu stanął rozczochrany mężczyzna w czerwonej nocnej koszuli. Pomiedzy nim i Lemem nastąpił ognisty dialog. Pokazano zbliżenie twarzy Wayne'a Cove-la. Nie był to przyjemny widok.

–Spójrzcie na te zadrapania – odezwał się gniewnie Packy. – Są całkiem świeże. Podrapał się, rozgarniając gałęzie, żeby ukraść naszą butelkę.

–Słyszałam, że ścięliście to drzewo – rzuciła Opal oskarżyciel-skim tonem. – Co na nim ukryliście? Coś, co należało do mnie?

Packy spojrział jej prosto w oczy.

–Diamenty – odparł drwiąco. – Butelkę z diamentami wartymi fortunę. Jeden z nich jest wart trzy miliony zielonych. Nazwałem go twoim imieniem. – Wskazał na ekran. – Podrapaniec je ukradł. Ale my odzyskamy łup. Pomyślę o tobie, kiedy będziemy wydawać twoje pieniądze.

–Nigdy wam się to nie uda – wyrzuciła z siebie Opal.

–Owszem, uda się. – Spojrział na jej do połowy opróżniony kubek i uśmiechnął się złośliwie. Następnie popatrzył na kubek Mila, wciąż w trzech czwartych pełny. Usiadł. – Teraz wszyscy cicho. Chcę obejrzeć wiadomości.

Przeczekali kilka reklam, a potem zaczęła się prognoza pogody.

–Jest szaro i zimno. Wygląda na to, że napłynie dziś do nas więcej burzowych chmur – ostrzegał synoptyk.

Packy i Jo-Jo wymienili spojrzenia. Dzwonili w nocy do swojego pilota i kazali mu czekać na lądowisku tuż za Stowe. Z powodu nadchodzącej burzy ich ucieczka mogła się opóźnić. Packy miał ochotę już jechać, ale wiedział, że musi poczekać, aż pigułki nasenne zaczną działać. Czuł, jak okno wolności, otwarte na Brazylię, gwałtownie się zamyka.

Po prognozie znów była mowa o skradzionym świerku. W końcu pojawił się nowy temat.

–Packy Noonan, wypuszczony na wolność oszust, który złamał warunki zwolnienia, widziany był wczoraj, gdy wsiadał do vana na Manhattanie. Van miał bagażnik z nartami na dachu i tablice rejestracyjne stanu Vermont. – Na ekranie ukazało się policyjne zdjęcie twarzy Packy'ego. – Możliwe więc, że zmierza w nasze strony – dodał prowadzący.

–Miejmy nadzieję, że nie – włączył się drugi dziennikarz siedzący w studiu. – Zdumiewające, że oszukał tak wiele osób. Nie wygląda na szczególnie bystrego.

–Bo nie jest... – odezwała się bełkotliwie Opal.

Nie zwracając na nią uwagi, Packy poderwał się z miejsca, by ściszyć głos.

–Świetnie. Nie możemy korzystać z vana, a moją twarz widzieli wszyscy w mieście.

–A nie zapomina się pięknych twarzy... – zakpiła Opal. Powie ki jej ciążyły.

Benny zaczął ziewać. Spojrzał na kubek kawy, który trzymał w ręce, i nagle na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Odwróciwszy się, dostrzegł, że Packy i Jo-Jo patrzą na niego nie mniej przerażeni. Nawet Benny miał dość rozumu, by w tej sytuacji nic nie mówić.

Mamrocząc pod nosem niepochlebne epitety pod adresem brata, Jo-Jo pognął na górę po dwie dodatkowe pigułki. Wróciwszy, napełnił kawą kubek Mila.

Dwadzieścia minut później w kuchni na farmie trzy osoby spały z głowami opartymi o blat starego drewnianego stołu.

–Przykro mi, że mój brat Benny zagapił się przez te wiadomości w telewizji – przeproszał Jo-Jo. – Czasami trudno mu się skupić na więcej niż jednej rzeczy naraz.

–Wiem, co się stało – warknął Packy. – Zaciągniemy poetę i tę paplę na górę i przywiążemy oboje do łóżek. Benny'ego upchniemy w bagażniku samochodu Mila. Jak tylko odzyskamy diamenty, wynosimy się stąd piorunem.

–Może powinniśmy zostawić Benny'emu wiadomość i wrócić po niego – zasugerował Jo-Jo.

–Nie świadczę grzecznościowych usług szoferskich! W bagażniku będzie mu dobrze. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli go wnosić do samolotu. No, w drogę!

26

Czworo Reillych i Elwira siedzieli w salonie domu Lema i yid-dy. Na kominku stały dwa zdjęcia w identycznych ramkach: na jednym Lem i Viddy sadzili w dniu ślubu świerk, który obecnie zaginął, drugie przedstawiało uśmiechniętą Marię von Trapp obok drzewka.

Lem wniósł tacę zastawioną filiżankami z parującą czekoladą. Za nim podążała Viddy z paterą domowych ciasteczek w kształcie choinek.

–Właśnie się nauczyłam je robić. Zamierzałam dzisiaj poczę-84 stować nimi zebranych ludzi podczas ścinania drzewa, a gdyby miały wzięcie, chciałam upiec więcej i *zabrać* do Nowego Jorku. – Spo-chmurniała. – Teraz mogę już wyrzucić przepis.

–Wstrzymaj się, Viddy – napomniął ją Lem. – Odzyskamy to drzewo, choćbym miał odstrzeliwać Wayne'owi Covelowi palce u nóg, jeden po drugim, dopóki nie powie, gdzie ukrył nasz świerk.

O kurczę, pomyślała Regan. Facet się nie patyczkuje.

Lem rozdał gościom filiżanki z czekoladą, po czym usiadł w bujaku naprzeciw kanapy; Regan miała wrażenie, że jest dosłownie zrośnięty ze starym fotelem na biegunach. Poczęstowała się ciastkiem Viddy. Lem najwyraźniej gotów był przystąpić do rzeczy.

–Elwiro... tak pani ma na imię?

–Owszem.

–Gdzie nadają takie imiona?

–W tym samym miejscu, gdzie nadają takie jak Lemuel.

–No dobrze. O kogo chciała mnie pani zapytać? – Napił się czekolady i wydał z siebie przeciągłe sapnięcie. Rozejrzał się po gościach. – Lepiej podmuchajcie, zanim spróbujecie. Bo sobie sparzycie język.

Elwira parsknęła śmiechem.

–Moja matka miała przyjaciółkę, która przelewała gorącą herbatę na spodeczek. Mąż pytał ją wówczas: „Czemu nie wystudzisz jej, wachlując kapeluszem?”.

–Muszę przyznać, że mnie by to wkurzało.

Elwira znów się zaśmiała.

–Chyba się przyzwyczaił. Byli małżeństwem przez sześćdziesiąt dwa lata.

Chciałabym spytać – przeszła do właściwego tematu – czy pamięta pan człowieka o nazwisku Packy Noonan, który pracował tu przed laty, późną jesienią, w ramach programu dla trudnej młodzieży.

–Packy Noonan! – wykrzyknęła Viddy. – Tylko on z całej grupy później nas odwiedził. Cała reszta to banda niewdzięczników. Choć, szczerze mówiąc, przez lata się zastanawiałam, czy to nie ten chłopak zwędził broszkę z kameą z mojej toaletki.

–Nigdy nie mieliśmy własnych dzieci – wyjaśnił Lem – dlatego braliśmy udział w tym programie, podczas sezonu, kiedy ludzie

przyjeżdżali tu i wybierali sobie choinki. To pomagało niektórym z tych trudnych nastolatków. Podnosiło im poczucie własnej wartości. Pomagało wyjść na prostą.

–Packy'emu Noonanowi nie pomogło – oznajmiła rzeczowo Elwira.

–Co pani ma na myśli?

–Właśnie wyszedł z więzienia po odsiedzeniu ponad dwunastu lat za wyłudzenie od ludzi wielkich pieniędzy. Złamał warunki zwolnienia, wczoraj w Nowym Jorku, i widziano go, jak wsiada do va-na z rejestracją z Vermontu. Byłam ciekawa, czy mieliście z nim jakiś kontakt przez te lata.

–Poszedł do więzienia dwanaście lat temu? – wykrzyknął Lem.

–Nie mogę uwierzyć! – zawtórowała mu Viddy. – Może jednak zabrał moją broszkę! Ale wydawał się taki miły, kiedy nas odwiedził. Myślałam wówczas, że bardzo się zmienił na korzyść. Wcześniej wyglądał jak włóczęga, a tamtego dnia był wystrojony, jakby miał milion dolarów.

–Cudzy milion dolarów – mruknął pod nosem Lukę.

–Viddy, kiedy to było? – próbował sobie przypomnieć Lem.

Przymknęła oczy.

–Niech pomyślę. Moja pamięć nie jest już taka jak dawniej, ale wciąż nie najgorsza.

Wszyscy czekali.

Nie otwierając oczu, Viddy sięgnęła po filiżankę, podmuchała na czekoladę i wypila spory łyk.

–Pamiętam, że była wiosna, piekłam placek na kiermasz kościelny. Zbieraliśmy fundusze na centrum seniorów, po tym jak woda zalała suterrenę. Przepadły wszystkie karty do bingo. Tak, to było dokładnie trzynaście i pół roku temu, tuż po wielkiej burzy w Dzień Matki. Wszyscy przemokli do nitki, wychodząc z kościoła, deszcz zniszczył bukiety. W każdym razie, Packy zjawił się w tamtym tygodniu. Zaprosiłam go do domu. Był czarujący. Zjadł kawałek placka i napił się mleka. Mówił, że przypomina mu to wizyty u matki i że bardzo za nią tęskni. Miał nawet łzy w oczach. Pytałam go, co robi, a on odpowiedział, że zajmuje się finansami.

–Bez wątpienia zajmował się finansami – skomentowała Elwira.

–Widział się pan z nim wtedy, Lem?

–Lem był w lesie, przycinał drzewa – odpowiedziała Viddy.

–Ściągnęłam go gwizdkiem, który trzymam przy tylnym wyjściu, i Lem przyszedł, bo wiedział, że gwizdżę tylko w ważnej sprawie.

–Zszedłem z drabiny i wróciłem do domu. Ależ byłem zaskoczony na widok

Packy'ego!

–Jak tłumaczył swoją obecność?

–Powiedział nam, że przejeżdżał tędy w interesach i wstąpił, żeby nam podziękować za wszystko, co dla niego zrobiliśmy. Potem zobaczył zdjęcie drzewa na kominku i spytał, czy nadal jest dla nas jak własne dziecko. Powiedziałem: „Jasne. Chodź ze mną i sam zobacz”. I poszliśmy. Pochwalił, że pięknie rośnie. Pomógł mi zanieść drabinę z powrotem do szopy. Zaprosiłem go, żeby został na kolacji. Odpowiedział, że musi jechać, ale będzie w kontakcie. Nigdy więcej się nie odezwał. Teraz wiem dlaczego. Z więzienia można dzwonić tylko na koszt rozmówcy.

–Mam nadzieję, że już się u nas nie pojawi. Następnym razem zatrzasnę mu drzwi przed nosem – zapowiedziała Viddy.

Regan z Elwirą wymieniły spojrzenia.

–To było trzynaście i pół roku temu? – spytała pani Meehan.

–Tak – potwierdziła Viddy, tym razem z szeroko otwartymi oczyma.

–Nie rozumiem, po co Packy Noonan tu wrócił – zastanawiał się głośno Lem. – Co się stało z tymi pieniędzmi, które ukradł?

–Nikt nie wie – włączyła się Regan. – Ale wszyscy uważają, że gdziekolwiek teraz jest, próbuje się dostać do fortuny, którą zdołał ukryć.

–Nie próbował was wtedy namawiać, żebyście zainwestowali w jego firmę spedycyjną? – spytała Elwira. – W tym właśnie czasie jego oszukańczy proceder szedł pełną parą.

–Nie chciał od nas ani centa – zapewnił Lem. – Dobrze wiedział, że nie należy zadzierać z Lemuelem Pickensem!

Żona Willy'ego pokręciła głową w zadumie.

–Naciągnął wielu rozsądnych ludzi. Mam przyjaciółkę, która przez jego matactwa straciła mnóstwo pieniędzy. Do samego dnia

aresztowania starał się ją przekonać, by namawiała swoich znajomych na inwestowanie w jego lewą firmę. Zdumiewające, że nie próbował was nakłonić do wypisania czeku. Musiał tu przyjechać z jakiegoś innego powodu. Przyjaciółka, o której wspomniałam, miała się z nami spotkać dziś na śniadaniu, ale się nie pojawiła. Na samą myśl, że Pa-cky może być w Vermoncie, i to w naszej okolicy, cierpnie mi skóra.

–Jedyny przestępca, którego należy się obawiać, mieszka tuż obok nas! – ryknął Lem. – To Wayne Covel. Ściął moje drzewo i zapłaci za to!

–Lem, uspokój się – skarciła go Viddy – Oni martwią się o przyjaciółkę.

–Czy ten Wayne Covel mógł znać Packy'ego z czasów, gdy ten był tu przed laty? – spytała Elwira.

Lem wzruszył ramionami.

–Możliwe. Są mniej więcej w jednym wieku.

–Może zechce ze mną porozmawiać.

–Ze mną się nie nagada! – krzyknął Lem.

Viddy poczuła, że musi zmienić temat. Kiedy Lem się porządnie zdenerwował, trudno go było uspokoić.

–Noro – powiedziała szybko – uwielbiam czytać. Próbowалам nawet pisać wiersze. Jest tu pewien człowiek z Nowego Jorku, który zaprosił parę osób na wspólne czytanie poezji na starej farmie, gdzie zamieszkał. Ale był okropny, toteż więcej tam nie poszłam. Przeczytał jeden ze swoich starych wierszy o brzoskwini, która zakochała się w muszce owocówce. Wyobraża sobie pani?

–To ten Milo, dziwak z długimi włosami i krótką brodą, tak, Viddy? – upewnił się Lem.

–Kochanie, nie jest takim znowu dziwakiem.

–Jest, jest. Przyjeżdża do Vermontu i nie jeździ na nartach. Ani na łyżwach. Siedzi całymi dniami na tej zapuszczonej farmie i pisze wiersze. Jest w tym coś dziwnego. Nie sądzi pani?

–Cóż... – zaczęła Nora – czasami pisarz musi wyjechać na odludzie, żeby móc popracować w ciszy i spokoju.

–Pracować? Pisanie o brzoskwiniach i muszkach owocówkach to nie żadna praca! Nie wiem, ile tak można. Z czego on płaci rachunki?

Elwira poczuła się nieswojo; miała ochotę wyjść i rozejrzeć się za Opal.

–Jak wicie, pracuję nad opowiadaniem o waszym świerku dla mojej gazety. Mogę zadzwonić później? Może do tego czasu policja znajdzie jakiś trop. Nie mogę uwierzyć, że dwudziestopięciometrowe drzewo rozplynęło się w powietrzu.

–Ja też nie – przyznał Lem. – 1 mam zamiar zorganizować obławę, żeby je odnaleźć!

–Ktoś życzy sobie jeszcze czekolady? – weszła mu w słowo Viddy.

Wayne Covell próbował się trochę przespać po tym, jak ukrył butelkę z diamentami na wiąz, rosnącym na podwórku przed domem.

Bezskutecznie. Uświadomił sobie, że chowanie drogocennych kamieni na drzewie to głupi pomysł. Jeśli ludzie z Rockefeller Center przyjdą do niego błagać, by dał im swój świerk, kto wie, co może się zdarzyć? Drzewo, na którym ukrył butelkę, rosnęło niedaleko. Przypuśćmy, że jakiś fotoreporter zechce się wspinać na wiąz, żeby mieć dobre ujęcie, kiedy będą ścinać świerk?

Pozbycie się diamentów z zasięgu wzroku przyprawiło Wayne'a o dreszcze.

Tuż przed świtem otworzył drzwi, wyszedł na podwórko, wspinał się na wiąz i zabrał butelkę. Wziął ją ze sobą do łóżka, otworzył, zerknął na diamenty i zasnął, tuląc do siebie swój skarb jak niemowlę.

Kiedy Lem Pickens załomotał do drzwi w asyście komendanta policji, Wayne zerwał się, wypuszczając butelkę z rąk. Uderzyła ze stukotem w nierówną drewnianą podłogę, zakrętka odskoczyła, a diamenty rozsypały się bezładnie po niechlujnym pokoju, znikając pośród brudnych ubrań porzucanych na podłodze.

Wayne w czerwonej nocnej koszuli otworzył drzwi i ze zgrozą ujrzał czekające na niego telewizyjne kamery. Natychmiast przyszła mu do głowy przerażająca myśl, że policjant ma nakaz rewi-89

zji, którego tak się obawiał. Gdy się zorientował, że wstąpili tylko po to, by Lem mógł na niego nawrzeszczeć, Wayne także się rozdarł i zamknął im drzwi przed nosem. Mój dom jest moją twierdzą, powiedział sobie, nie muszę znosić niczyich wymysłów. Zamknął drzwi na zasuwę i wrócił do pokoju, żeby pozbierać diamenty. Kiedy już przeszukał brudne łachy i z zadowoleniem upchnął kamienie z powrotem w butelkę, poczuł nietypową dla siebie chęć zrobienia prania. Szkoda, że nie policzyłem tych kamyków wczoraj wieczorem, pomyślał, ale piersiówka sprawiała wrażenie pełnej.

Chwytną pierwszą z brzegu stertę brudów, ruszył do kuchennych drzwi prowadzących do piwnicy, otworzył je, zapalił światło i zszedł po skrzypiących schodach, starannie omijając ostatni, złamany stopień. Nic dziwnego, że rzadko tu schodzę, rozmyślał, wdychając kwaśny odór wilgotnego pomieszczenia. Trzeba by posprzątać... ale teraz mogę kogoś znaleźć, żeby to za mnie zrobił. Przede wszystkim powinienem się pozbyć tej komórki na węgiel. Tata przerobił ogrzewanie na olejowe po drugiej wojnie światowej, ale jakoś jej nie zlikwidował. Jedynie odgrodził, wstawił drzwi i urządził tam mały warsztat, którego nigdy nie używał.

Ja też nigdy z niego nie korzystałem. Chyba łatwiej byłoby spalić ten dom i odbudować od podstaw, niż wysprzątać. Rzucił ubrania na podłogę przed pralką, sięgnął na półkę, zdjął prawie puste pudełko proszku i wsypał te resztki do odpowiedniej przegródki. Upchnął w środku połowę sterty, zamknął pokrywę, włączył programator i wrócił na górę.

Telewizor stał na kuchennym blacie obok laptopa. Wayne nastawił kawę, włączył telewizor i przeniósł laptop na stół. Przez cały ranek nerwowo skakał po kanałach informacyjnych; prawie wszystkie nadawały wiadomości o zaginionym świerku.

Wciąż od nowa słuchał, że Packy Noonan, oszust wypuszczony ostatnio na zwolnienie warunkowe, był widziany, jak wsiadał do vana z rejestracją stanu Vermont, a wcześniej pracował w Stowe w ramach programu dla trudnej młodzieży.

Packy Noonan. Packy Noonan. Brzmiało mu to znajomo. Skądś pamiętał to nazwisko.

Jednocześnie Wayne starał się podszkolić w dziedzinie szlachetnych kamieni, odwiedzając różne strony w sieci. Uznał, że musi się dowiedzieć, gdzie mógłby sprzedać diamenty. Znalazł kilka ogłoszeń o wycenie. „Kupujemy po najwyższej cenie, sprzedajemy po najniższej” – reklamowała się większość handlarzy. Tak, jasne. Tak, diamenty są wieczne. I są najlepszymi przyjaciółmi każdej dziewczyny. Pokazują, że ci na niej zależy. Akurat! Uśmiechnął się pod nosem. Lorna aż by się śliniła, gdyby tu była i widziała te błyskotki.

Jakby miał szósty zmysł, a raczej jakby to ona była obdarzona szóstym zmysłem, usłyszał sygnał informujący, że w jego skrzynce pojawił się nowy e-mail. Spodziewając się jakiegoś reklamowego śmiecia, ze zdumieniem zobaczył, że wiadomość pochodzi od jego byłej dziewczyny.

Wayne,

Widzę, że nie pozbyłeś się jeszcze tej czerwonej koszuli i nadal kłócisz się z Lemem Pickensem. I słyszę, że jeśli nie znajdą jego drzewa, mogą ściąć twoje do Rockefeller Center. Wiem, że nigdy byś mu nie ukradł tego swierka – to by wymagało zbyt wiele zachodu! Może wzięłbyś maczetę, którą Ci podarowałam na Gwiazdkę, i odciął kilka gałęzi, ale tylko tyle. Jeśli wybiorą Twoje drzewo i chciałbyś towarzystwa podczas podróży do Nowego Jorku, zadzwoń do mnie.

Całuski i uściski

Lorna

PS

Skąd masz te zadrapania na twarzy? Wygląda na to, że znalazłeś sobie nową dziewczynę z wyjątkowym temperamentem... albo jednak majstrowałeś przy tym drzewie!

Wayne wpatrywał się w ekran laptopa z niesmakiem. „Całuski i uściski” – po prostu zachciało się jej darmowej wycieczki do Nowego Jorku. Ma zamiar wziąć udział w zabawie. Gdyby wiedziała, co naprawdę ważnego wydarzyło się w domu Covela, przyleciałaby na miotle.

Rozśmieszyło go, że wypomina mu maczetę podarowaną na Gwiazdkę. Kiedy otworzył prezent, Lorna chwaliła się, że kazała wygrawerować jego nazwisko na trzonku. Myślałby kto, że dała mu sztabę złota... Powoli w jego głowie zaczęła świtać niepokojąca myśl.

Maczeta.

Pas z narzędziami wydawał się dziwnie lekki, gdy Wayne zakładał go tego ranka, by zdjąć z wiązu butelkę. Potem rzucił go na jedno z kuchennych krzesel. Zaczął gorączkowe poszukiwania, łudząc się resztkami nadziei. W końcu odnalazł pas.

Maczety przy nim nie było!

Upuściłem ją wczoraj wieczorem przy drzewie Lema? Byłem ogłupiały, kiedy znalazłem tę piersiówkę, więc mogłem nie zauważyć, że coś zgubiłem. Po co kazała ją podpisywać moim nazwiskiem?

Lem nie znalazł maczety, bo rano machałby mi nią przed nosem.

Ci zbóje, co ścięli drzewo... może oni ją mają. Może już tu idą. Może mnie zabiją za zabranie łupu.

Nie chcę tu być całkiem sam. Z drugiej strony, jeśli zniknę, wszyscy pomyślą, że to ja ściąłem drzewo Pickensa.

Zadzwoił telefon. Spragniony ludzkiego głosu, Wayne rzucił się do słuchawki.

–Halo. Ktokolwiek był na drugim końcu linii, nie odezwał się.

–Halo – powtórzył Wayne nerwowo. – Jest tam kto? Odpowiedział mu sygnał przerwane połączenia.

Robiło się późno, była dziesiąta rano. Packy i Jo-Jo siedzieli w rozklekotanym brązowym sedanie, którego właściciel farmy trzymał dla swojego parobka, a potem chętnie sprzedał Milowi. Piętnastoletni grat, z dziurami we wszystkich błotnikach, tylnym zderzakiem przywiązany sznurkiem i częściami zamiennymi rodem ze złomowiska był wyrazistym przykładem pojazdu, który mogła kupić jedynie osoba tak absolutnie niepraktyczna jak poeta.

Packy z Jo-Jo zataaszczyli Mila i Opal na piętro i przywiązali oboje do łóżek. Próbowali ocucić Benny'ego, wielokrotnie zanurzając mu głowę w zlewie z zimną wodą. W końcu się poddali, wywlekli go na zewnątrz i upchnęli w bagażniku auta. W przyływie braterskiej miłości Jo-Jo biegiem wrócił do domu po poduszkę, którą umieścił pod głową śpiącego, i kołdrę, którą go otulił. Następnie zacisnął palce brata na uchwycie latarki, przypięwszy mu do kurtki wiadomość, na wypadek gdyby się obudził i przestraszył.

–Napisałem, że ma się nie ruszać i być cicho, dopóki nie wrócimy – wyjaśnił Jo-Jo.

–Może byś mu jeszcze poczytał do snu? – zakpił Packy.

Wiedział, że nie mogą wziąć vana, mimo że Milo narzekał do Jo-Jo na zawodność swego auta.

–Może nie słyszałeś, co mówili w telewizji – nie krył złości Pa-cky. – Wszyscy gadają o tym, że wsiadłem do vana z bagażnikiem na narty i rejestracją z Vermontu. Mówią też, że pracowałem kiedyś w Stowe jako chłopak. Każdy gliniarz w Vermoncie,

szczególnie w tej okolicy, przygląda się uważnie każdemu vanowi z uchwytami na narty. Biorąc go teraz, równie dobrze moglibyśmy się zgłosić na posterunek i zgarnąć nagrodę za wydanie mnie policji.

–Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się dotrzeć tym gratem do stodoły – odparł Jo-Jo.

–Może powinniśmy jechać ciężarówką z drzewem na platformie.

Popatrzyli na siebie ze złością.

–Jo-Jo, musimy odzyskać nasze diamenty – odezwał się w końcu ugodowo Packy. – Ten Covel na pewno je ma. W takim rzęchu nikt nas nie będzie szukał. Jedziemy.

Packy usiadł za kierownicą. Włożył ciemne okulary.

–Daj mi jedną z narciarskich czapek – zażądał.

–Chcesz niebieską z pomarańczowym paskiem czy zieloną...

–Po prostu daj mi czapkę!

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik prychnął i zgasł. Packy kilka razy wcisnął pedał gazu.

–No, dawaj, dawaj!

–Może powinienem włożyć czapkę Benny'emu? – zastanawiał się głośno Jo-Jo. – Bagażnik nie jest ogrzewany. A Benny ma mokre włosy.

–Co z tobą?! – rozdarł się Packy. – Ledwie twój brat zasnął, zachowujesz się głupiej niż on w swoich najgłupszych momentach.

Jo-Jo otworzył drzwi.

–Włożę mu jednak czapkę – oświadczył z uporem. – Jest wrażliwy na zimno po tak długim pobycie w Brazylii.

W rozpaczliwym akcie obrony przed szaleństwem Packy zaczął rozważać swoje problemy i różne wyjścia z sytuacji. Uznał, że nikt nie zwróci uwagi na ten samochód. Poeta Milo pokazywał się w nim wystarczająco długo. Muszą zaryzykować, że sedan nie zepsuje się po drodze. Przynajmniej wiedzą, gdzie mieszka Covel. Muszą dostać się do jego rudery i zmusić faceta do oddania butelki. Do lądowiska jest zaledwie szesnaście kilometrów, a tam czeka na nich pilot.

Jo-Jo wrócił do samochodu.

–Pośpiesz się – rzucił szorstko Packy. – Musimy się stąd wynosić, zanim ktoś się zjawi, szukając tego Sherlocka Holmesa.

–Jakiego Sherlocka Holmesa? – zainteresował się Jo-Jo.

–Opal Fogarty, idioto! Naszej wierzycielki!

–Aha, jej. Ma kobieta temperament. Nie chciałbym być w pobliżu, kiedy się obudzi i odkryje, że jest związana.

Packy nie zaszczycił tej uwagi żadnym komentarzem. Wcisnął gaz i auto ruszyło z rykiem, uwożąc trzech pasażerów; dwaj z nich byli gotowi na wszystko, by odzyskać diamenty, a trzeci, gdyby się obudził, z pewnością podzielałby ich determinację.

W zamkniętym domu na farmie palnik pod dzbankiem z kawą, który Jo-Jo w swym przekonaniu wyłączył, migotał słabym płomyczkiem. Nim sedan opuścił podwórze, płomyk zgasł. Chwilę po-94

tern nad kuchenką zaczął się unosić nieprzyjemny zapach ulatniającego się gazu.

Gdy Elwira ujrzała męża stojącego samotnie obok pnia pozostałego po drzewie Lema i Viddy, serce jej zamarło. Przecisnęła się do niego przez tłum gapiów.

–Nie ma Opal?

Widząc, jak bardzo jest zaniepokojona, Willy próbował załagodzić sytuację.

–Tu jej nie ma, kochanie, ale założę się, że wróciła już do domku i pewnie się pakuje, zakłopotana, że nie przyszła na śniadanie.

–Zadzwońaby do mnie na komórkę. Zostawiłam jej wiadomość. Willy, oboje wiemy, że coś jej się stało.

Podeszła do nich Reilly. Z miny przyjaciółki Regan wywnioskowała, że Opal nadal się nie pojawiła.

–Może już pojedziemy? – zaproponowała. – Opal mogła się zgu bić, biegając na nartach, i właśnie wraca.

Elwira pokiwała głową bez przekonania.

–Och, bardzo bym chciała. Trzymajmy za nią kciuki.

Szybko opuścili polanę, wciąż wypełnioną kamerami telewizyjnymi i tłumem dziennikarzy. Nim dotarli do miejsca, gdzie zaparkowali samochody, zadzwoniła komórka Elwiry. Wszyscy wstrzymali oddech.

To był Charley Evans, redaktor gazety.

–Elwiro, ta historia rozrasta się z każdą minutą. Jest na wszystkich stacjach kablowych. Ludzie z całego kraju przysyłają e-maile, oburzeni na niegodziwość tego, kto ukradł drzewo. Widzowie uważają, że ten świerk symbolizuje najlepsze amerykańskie tradycje, i koniecznie chcą go odzyskać.

–To dobrze – odpowiedziała dość obojętnie Elwira. Była w stanie myśleć wyłącznie o Opal. Jednakże następne zdanie Charleya przyprawiło ją o dreszcz.

–A co do Packy'ego Noonana, to dopiero bomba! Jeden z jego

współmieszkańców z ośrodka przejściowego oglądał wiadomości o zniknięciu drzewa w Stowe i o tym, że widziano Packy'ego wsiadającego do vana z numerami z Vermontu. Zadzwoił na policję i powiedział, że Packy poprzedniej nocy mówił przez sen. Z początku mamrotał: „Muszę znaleźć tę piersiówkę”.

–„Muszę znaleźć tę piersiówkę” – powtórzyła Elwira. – Cóż, pewnie nie pił alkoholu przez trzynaście lat. Prawdopodobnie przez cały ten czas marzył o paru głębszych.

–Ale mamrotał też coś innego i to jest dopiero ciekawe – mówił dalej Charley.

–Co takiego?

–Powtarzał: „Stowe”. Ten człowiek z ośrodka nie pomyślał, że chodzi o miasto, dopóki dziś rano nie skojarzył tej nazwy z rejestracją stanu Vermont.

–O mój Boże! – jęknęła Elwira. – Ta przyjaciółka, o której ci wspominałam, ta, co straciła pieniądze przez jego szwindle, zaginęła.

–Zaginęła!?

Mogłaby przysiąc, że Charlie nadstawił uszu, wietrząc świetną historię do swojej gazety.

–Nie wróciła dziś rano z przejażdżki na nartach. Miała się z nami spotkać kilka godzin temu.

–Gdyby wpadła na Packy'ego Noonana, byłaby w stanie go rozpoznać? – dopytywał się Charley.

–Jak własną twarz.

–Rozumiem, że się martwisz, Elwiro. Mam nadzieję, że zguba wkrótce się znajdzie – odrzekł pocieszającym tonem. – Ale informuj mnie na bieżąco – dodał pośpiesznie.

Elwira opowiedziała reszcie o nocnym mamrotaniu Packy'ego.

–„Muszę znaleźć tę piersiówkę”? – zdziwiła się Regan. – Jeśli chciał się napić, nie potrzebował piersiówki. To znaczy coś innego.

–Wiele osób używa piersiówki, żeby ukryć alkohol – podsunęła Nora. – Żeby móc szybko sobie łyknąć, kiedy nikt nie patrzy.

–Pamiętasz, twój wujek Terry tak robił, Noro – przypomniał jej Lukę. – Nikt nie potrafił lepiej niż on chlapanąć sobie po kryjomu.

–Tato, mógłbyś poczekać, aż wyjdę za mąż, i dopiero wtedy opowiadać te wzruszające rodzinne historie? – poprosiła Regan.

–Poczekaj, aż poznasz resztę moich krewnych – wtrącił z uśmiechem Jack. – Ciekawe, dlaczego Packy Noonan śnił o flaszcze – dodał już poważnym tonem.

–Bardzo bym chciała wiedzieć, co znaczyła ta piersiówka dla Packy'ego – powiedziała szybko Elwira – ale na razie ważniejsze wydaje mi się to, że przez sen mówił o Stowe.

Nie zastali Opal w domku; nie była tam również wcześniej, by się spakować. Nic się nie zmieniło od chwili, gdy Elwira z Willym wyszli na śniadanie. Wiadomość napisana przez nią dla Opal wciąż leżała na kuchennym blacie.

Udali się do recepcji.

–Nasza znajoma, Opal Fogarty, gdzieś przepadła – zaczęła Elwira. – Może były jakieś doniesienia, że ktoś został ranny na szlaku narciarskim?

Dziewczyna za kontuarem sprawiała wrażenie zatroskanej. Pokręciła głową przecząco.

–Nie, ale mogę państwa zapewnić, że przez cały czas patrolujemy trasy. Zawiadomię ludzi z ośrodka sportowego, żeby zaczęli szukać pani Fogarty. Od jak dawna jej nie ma?

–Wyszła z domku wcześniej rano i miała spotkać się z nami na śniadaniu o wpół do dziewiątej. To było prawie trzy godziny temu – odrzekła Elwira, nie kryjąc niepokoju.

–Zaraz instruktorzy wsiądą na skutery śnieżne. Jeśli pani Fogarty wkrótce się nie znajdzie, zawiadomimy centrum ratownicze w Stowe.

Centrum ratownicze w Stowe. Już sama nazwa brzmiała dla Elwiry złowieszczo.

–Opal biegała na nartach od paru dni – poinformowała recepcjonistkę. – Orientuje się pani, czy instruktorzy, z którymi miała zajęcia w sobotę i niedzielę po południu, są gdzieś w pobliżu? My jeździliśmy z nią tylko rano.

–Zaraz się dowiem. – Sięgnęła po telefon, wybrała numer ośrodka sportowego i zaczęła pytać. Po chwili odłożyła słuchawkę. – Instruktor, z którym pani Fogarty biegała wczoraj, mówi, że nic szcze-

gólnego się nie wydarzyło. Instruktorka z soboty ma dziś wolne, ale po powrocie ze szlaku nie zgłaszała żadnych problemów.

–Dziękuję. – Elwira podała numer swojej komórki i poprosiła o natychmiastowy telefon, gdyby nadeszła jakaś wiadomość na temat Opal. Odwróciła się do reszty, czekającej z poważnymi minami.

–Oczywiście w tej sytuacji nie mam zamiaru oglądać mojego syropodajnego klonu, wiem też, że wszyscy musicie wracać. Jedźcie. Za dzwonię do was, gdy tylko czegoś się dowiemy.

Regan spojrzała na Jacka.

–Ja nie muszę wracać. Zostanę i pomogę Elwirze i Willy'emu szukać Opal.

–Ja też zostaję – oznajmił stanowczo Jack.

Nora sprawiała wrażenie zakłopotanej.

–Żałuję, że nie możemy zostać, ale zaraz z rana muszę złapać samolot. –

Pokręciła głową. – Nie mogę opuścić tego lunchu.

–Noro, nie przejmuj się – powiedziała Elwira. – Regan, ty z Jackiem też nie musicie zostawać.

–Zostajemy – ucięła dyskusję Regan.

–Nie rób takiej zmartwionej miny, kochanie – zwrócił się Willy do żony. –

Wszystko będzie dobrze.

–Ależ Willy – zachnęła się Elwira. – Istnieje możliwość, że Pa-cky Noonan kręci się po okolicy. Złamał warunki zwolnienia, a Opal zniknęła. Jeśli ich drogi się skrzyżują, nie wiadomo, co mógłby jej zrobić. Wie, że Opal go nienawidzi i byłaby szczęśliwa, widząc go z powrotem w więzieniu. A skoro Packy złamał warunki zwolnienia, to niechybnie powinien tam trafić.

–Elwiro, masz przy sobie fotografię Opal? – spytała nagle Regan.

–Nie mam nawet zdjęcia Willy'ego.

–A czyje zdjęcie było w gazecie, kiedy wygrała na loterii? – nie ustępowała Regan.

–Owszem. Stąd ten idiota Packy Noonan wiedział, że miała pieniądze, i postanowił ją oskubać.

–W takim razie możemy wyciągnąć jej zdjęcie z komputera, zrobić odbitki i pokazywać ludziom, pytając, czy przypadkiem jej nie widzieli – oznajmiła Regan.

–Ja i Regan się tym zajmiemy – obiecał Jack. – Lukę i Noro, wiem, że musicie się pakować i wyjeżdżać. Elwiro i Willy, może byśmy się spotkali w waszym domku za pół godziny? A potem zaczniemy pokazywać zdjęcie Opal.

–Czuję się okropnie – wyznała Elwira. – Wyrzucam sobie, że ją tu zaprosiłam. Od samego początku miałam przeczucie, że zdarzy się coś złego.

Jakby wyczuwała zapach gazu, rozchodzący się po całym domu na farmie, gdzie Opal i Milo leżeli pogrążeni w narkotycznym śnie.

Po wyjściu gości Viddy zaczęła zbierać puste filiżanki po czekoladzie. Lem pomógł jej zanieść naczynia do kuchni i dopiero tam Viddy w pełni zdała sobie sprawę z tego, co się stało. Wprawdzie odkrycie, że ich drzewo zniknęło, było szokiem, ale wcześniej jej uwagę ściągali kręcący się wokół dziennikarze i policja. No i ciekawie było wystąpić wraz z Lemem w telewizji, a potem poznać tych miłych ludzi, Meehanów i Reillych, zwłaszcza że Nora Regan Reilly była jej ulubioną autorką powieści kryminalnych.

Teraz jednak mogła myśleć tylko o swoim drzewie; o tym, jak sadzili je z Lemem w dniu ślubu, a Maria von Trapp akurat przechodziła tamtędy, zatrzymała się, żeby im pogratulować, i pozwoliła sobie zrobić zdjęcie. Zebrałam się wówczas na odwagę i poprosiłam ją, aby zaśpiewała tę śliczną austriacką pieśń weselną, którą czasem śpiewała w swoim domu. Była taka miła, a piosenka brzmiała wręcz magicznie. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że nie będziemy sadzić nic innego w pobliżu, żeby nasze dzieci miały dość miejsca na zabawę wokół naszego ślubnego drzewa.

Łzy napłynęły Viddy do oczu, kiedy wstawiała naczynia do zlewu. Nie poszczęściło nam się z dziećmi i może to głupie, ale przelaliśmy całą troskę na ten świerk. Co roku mierzyliśmy, ile urósł; przez ostatnich dziesięć lat musiał to robić za nas ktoś inny, bo nie pozwoliłabym Lemowi wchodzić tak wysoko na drabinę.

Kiedy grupa niespodziewanych gości zawitała do jej domu, Vid-dy wyjęła z kredensu filiżanki i spodeczki ze swojego ulubionego serwisu z cennej chińskiej porcelany. Używała go tylko na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie i serce podchodziło jej do gardła z obawy, że coś może się stłuc. Żona bratanka Lema, Sandy, była zącną kobietą, ale kiedy pomagała sprzątać ze stołu, składała naczynia jedno na drugim, byle jak. Mimo to przez wszystkie lata Viddy jakimś cudem zdołała utrzymać swój serwis w nienaruszonym stanie. Kilka sztuk zostało wprawdzie lekko wyszczerbionych, ale obyło się bez poważniejszych uszkodzeń.

Wiedząc, jak Viddy lubi swoją porcelanę, Lem ostrożnie umieścił brudne naczynia na ociekaczu. Viddy sama je zebrała i włożyła do zlewu, lecz nagle oczy zaszyły jej łzami. Unosząc odruchowo rękę, by otrzeć policzki, upuściła jedną z filiżanek. Ale nim ta wpadła do zlewu, gdzie niechybnie uderzyłaby w inną, Lem wyciągnął swą dużą dłoń i zdążył uratować kruche cacko.

–Złapałem! – wykrzyknął triumfalnie. – Nadal masz w całości swój piękny serwis.

W odpowiedzi Viddy uciekła z kuchni do sypialni. Zaraz potem wróciła do salonu, niosąc album ze zdjęciami.

–Już mi nie zależy nawet na mojej chińskiej porcelanie – powie działa. – Wiem doskonale, że gdy tylko zamknę oczy na zawsze, trafi do Sandy, która będzie jej używać, podając dzieciom kanapki na podwieczorek.

Drżącymi rękami Viddy otworzyła album i wskazała ostatnie zdjęcie świerka.

–Nasze drzewo! Och, Lem, tak chciałam zobaczyć twarze ludzi, kiedy będą patrzeć na nie w Nowym Jorku, całe obwieszone światełkami. Chciałam, żeby stało tam jak dzieło sztuki, było podziwiane i budziło zachwyty. Pragnęłam mieć piękne duże zdjęcie, żeby je postawić między tymi tutaj. – Wskazała gestem dwie fotografie na półce nad kominkiem. – Chciałam mieć nagrany występ tych dzieci, jak będą wiatać nasz świerk przed Rockefeller Center. Lem, jesteście już starzy. Co roku, kiedy nadchodzi wiosna, zastanawiam się, czy zobaczę następną. Wiem, że my już nie zaznamy chwały, ale nasze drzewo w pewien sposób mogło jej zaznać w naszym imieniu. Miało nas wyróżnić.

–Już dobrze, dobrze – wymruczał zakłopotany Lem. – Uspokój się.

Nie zwracając uwagi na męża, Viddy wyjęła chusteczkę z kieszeni podomki, wydmuchała nos i mówiła dalej:

–W archiwum Rockefeller Center mają dane wszystkich swoich choinek... jakie były wysokie, jakie szerokie, ile miały lat, kto je po darował i co w nich było szczególnego. Parę lat temu jakiś klasztor dał choinkę i zamieścili zdjęcie zakonnicy, która ją posadziła, i drugie, tej samej zakonnicy po pięćdziesięciu latach, w dniu kiedy drzewo zostało ścięte. To jest historia, Lem. Nasza historia też miała tam być, żeby ludzie mogli ją przeczytać. Tymczasem nasz świerk prawdopodobnie został porzucony gdzieś w lesie i będzie tam próchniał. Nie mogę tego znieść!

Viddy ze szlochaniem odrzuciła album, padła na kanapę i ukryła twarz w dłoniach.

Lem patrzył na żonę bezradnie. Przez pięćdziesiąt lat nigdy nie widział, by spokojna, rozsądna Viddy tyle mówiła czy okazywała tak wielkie emocje. Nie zdawałem sobie sprawy, jaka jest wrażliwa, pomyślał. I nie powiem, żeby mi się to podobało.

Mniejsza o schwytanie winnego.

Pochylił się i dotknął twarzy żony.

–Zostaw mnie, Lem. Po prostu daj mi spokój.

–Dam ci spokój, Viddy, ale najpierw coś ci powiem. Posłuchaj mnie uważnie.

Słuchasz?

Odpowiedziała skinieniem. Spojrzał jej głęboko w oczy.

–Natychmiast przestań płakać, ponieważ składam ci obietnicę.

Uratowałem twoją filiżankę, prawda?

Przytaknęła, żałośnie pociągając nosem.

–Dobrze. Według mnie to Covel ściął nasze drzewo. Ale sama słyszałaś, jak ludzie z Rockefeller Center mówili, że ktokolwiek je zabrał, musiał użyć dźwigu do załadowania go na płat formę. To oznacza, że powinno być w dobrym stanie. Łobuzowi udało się zabrać świerk, ale nie mógł z nim daleko odjechać. Miał na sobie nocną koszulę, kiedy dziś rano dobijałem się do jego drzwi. Można ukryć drzewo, porzucając je w lesie, ale nie da się

–Widzisz te wszystkie samochody? – odezwał się posępnie Jo-Jo. – Można by pomyśleć, że rozdają tu diamenty.

–Skąd ty zawsze wiesz, co powiedzieć? – warknął Packy. – Wszyscy się gapią na pień, który pozostawiliśmy w ziemi.

Droga prowadząca do farmy Lema Pickensa zatłoczona była pojazdami, zmierzającymi w obie strony. Ludzie przyjeżdżali, parkowali na poboczu i pokonywali pieszo dalszą drogę do lasu. Przypominało to pierwszy dzień sezonu piłkarskiego.

–Dziwię się, że nie organizują pikników – zadrwił Packy. – Swoją drogą tyle zamieszania z powodu jakiegoś drzewa? Gdyby wiedzieli, co się naprawdę za tym kryje...

–Gdyby wiedzieli, zamieszanie byłoby znacznie większe – odparł rzeczowo Jo-Jo. Szosa skręcała miękkim łukiem. Kiedy dotarli do zjazdu na ziemny trakt, zrobiło się gęsto od zaparkowanych samochodów.

–To może być nasza trasa ucieczki – mruknął Packy, kiedy mi jali miejsce, gdzie zatrzymali się poprzedniej nocy.

Droga wiała się przez następne trzysta metrów, aż do drucianego ogrodzenia, wyznaczającego granicę pomiędzy działką Lema Picken-sa i farmą Wayne'a Covela. Wóz transmisyjny stał przed zaniedbanym domem, który widzieli w telewizji, kiedy staruszek łomotał do drzwi Wayne'a Covela i obrzucał go wyzwiskami. Grupa dziennikarzy stała przed wielkim świerkiem rosnącym na podwórzu od frontu.

–To musi być zdobywca drugiego miejsca w tym choinkowym konkursie piękności – domyślił się Packy. – Gdybym miał czas, też bym je ściał.

–Szkoda, że nie wygrało – westchnął Jo-Jo. – Wówczas Covel by nie węszył pod naszym drzewem. Patrz, jest.

Drzwi domu się otworzyły i w progu stanął Wayne Covel, uśmiechając się szeroko do wycelowanych w niego kamer.

–Sytuacja nam sprzyja – rzucił szybko Packy. – Wszyscy zebrali się od frontu, a my zajedziemy od tyłu.

Minął zakręt, za którym również stało kilka aut. Powoli wjechał pomiędzy dwa z nich i zaparkował równolegle; w ten sposób grat Mila był mniej widoczny, niż gdyby stał osobno.

Naciągnąwszy czapkę narciarską na twarz, najgłębiej jak się dało, Packy otworzył drzwi i wysiadł. Następnie pochylił się i wyjął z auta papierową torbę z maczetą Wayne'a Covela. Pomyślał z wdzięcznością o grawerze; gdyby nie on, mogliby sobie szukać w ciemno drania, który zwiął z ich łupem. Swoją drogą, po jakie licho facet kazał grawerować swoje nazwisko na maczecie? Co za głupek...

Zerkając nerwowo na bagażnik, Jo-Jo wygramolił się z samochodu i ruszył za Packym, który zmierzał w stronę lasu. Po chwili znaleźli się na tyłach gospodarstwa Wayne'a. Wyglądając spod osłony drzew, dostrzegli niewielką stodołę. Drzwi były otwarte, w środku stała zaparkowana furgonetka.

–Co teraz, Packy? – spytał szeptem Jo-Jo. – Myślisz, że możemy wejść do piwnicy? – Wskazał na zardzewiałe metalowe drzwi wystające z ziemi i najwyraźniej prowadzące do podziemnej części budynku.

–Najpierw unieruchomię mu samochód, na wypadek gdyby postanowił zwać, zanim odzyskamy diamenty. Zamierzam wyrwać parę kabli.

–Świetny pomysł, Packy – pochwalił Jo-Jo z zachwytem. – Tak samo zrobiły te zakonnice w „Dźwiękach muzyki”. Pamiętasz, jak powiedziały matce przełożonej, że zgrzeszyły?

–Zamknij się, Jo-Jo. Zaczekaj tu. Dam ci znak, jak skończę, i wtedy wejdziemy do piwnicy.

Packy przebiegł parę metrów otwartej przestrzeni do stodoły, cały czas modląc się do zmarłej matki, żeby nikt go nie zobaczył. Wystarczyły mu dwie minuty na otwarcie maski i przecięcie maczetą kilku kabli. Opuszczając maskę, cieszył się, że maczeta Covela pracuje dla niego. Satysfakcję zmąciła mu jednak następna myśl – że poprzednio ostrze posłużyło do uwolnienia jego łupu z gałęzi, na której leżał ukryty przez ostatnie trzynaście lat. Postąpił chwilę w progu stodoły, wyczekując odpowiedniego momentu; uznawszy, że droga wolna, przemknął na ukos przez odsłonięty teren do piwnicznych drzwi. Kłódka, która sprawiała wrażenie, jakby wisiała tam od wielu lat, ustąpiła łatwo po uderzeniu maczety. Wstrzymując oddech, Packy schylił się i otworzył jedno skrzydło drzwi. Zawiasy zaskrzypiały tak głośno, że ze strachu ścierpła mu skóra. Uchylił wrota na tyle, by wśliznąć się na schody, a potem dał sygnał kompanowi, by poszedł w jego ślady.

Przyglądał się ze zgrozą, jak Jo-Jo człapie przez podwórze. W końcu wszedł przez drzwi przytrzymywane przez Packy'ego i zaczął schodzić po stopniach.

–Nie powinienem zabrać kłódki? – spytał, zdawało mu się że szeptem, zatrzymując się nagle. – Jak ktoś będzie chodził dookoła domu i ją zobaczy, może sobie pomyśleć: „Hej! A to co takiego?”.

–Weź tę kłódkę! Packy zamknął drzwi i przez chwilę nic nie widzieli.

–Śmierdzi tu – powiedział Jo-Jo.

–Nie gorzej niż w siłowni, której najwyraźniej dawno nie oglądałeś od środka.

–Wolę plażę.

Kiedy oczy przyzwyczyły im się do ciemności, dostrzegli zarośnięte brudem okno, dające jedyne, mizerne światło. Packy zapalił latarkę i rozglądając się ostrożnie, przeszedł po zaśmieconej betonowej posadzce. Słysząc było klekot pralki.

–Kto robi pranie o takiej porze? – zdziwił się Jo-Jo. – Może pierze ubranie, które miał na sobie, kiedy ścinał gałąź. No wiesz, Packy, niszczy dowody. W filmach zawsze tak robią.

–Nie wiedziałem, że jesteś takim kinomanem – warknął Packy. Pralka stała obok kąta odgradzonego prowizoryczną ścianą z drzwiami. Packy otworzył je i zajrzał do środka.

–Tu się ukryjemy, dopóki nie będziemy pewni, że Covel jest sam.

–W niewielkim pomieszczeniu zobaczyli warsztatowy stół i trochę porozrzucanych narzędzi.

Nagle otworzyły się drzwi u szczytu wewnętrznych schodów prowadzących do domu i zapłonęła żarówka na drucie. Packy i Jo-Jo rzucili się do warsztatu, a ze schodów zleciało naręcze brudnych ubrań. Światło zgasło, trzasnęły zamykane drzwi.

Jo-Jo wyjrzał ostrożnie i popatrzył z niesmakiem na brudy zaścielające całą piwnicę.

–Ten facet to niechluj. I nie musiał nas tak straszyć. Packy'emu serce omal nie wyskoczyło z piersi.

–To nie będzie łatwe. Musimy się jakoś przekonać, czy jest sam. Wyszli z warsztatu; Packy poświecił latarką na ubrania leżące u podnóża schodów. Pralka zaczęła wirować z mocą tornada.

–Hałasuje, jakby miała zaraz wystartować – zauważył Jo-Jo ze zdumieniem.

Drzwi na górze znów się otworzyły, co całkowicie ich zaskoczyło. Tym razem, umykając pośpiesznie do warsztatu, Jo-Jo zaplątał się w podartą flanelową koszulę Wayne'a Covela. Wyciągnął przed siebie ręce, próbując zamortyzować upadek na zimną betonową podłogę. Jego prawa dłoń trafiła na coś, co przypominało ostry kamyk. Tłumiąc okrzyk, poderwał rękę i spojrzał w dół. Kamyk błyszczał. Jo-Jo podniósł go i na czworakach wpełzł do warsztatu.

Sytuacja się powtórzyła: kolejna partia brudnych ubrań sfrunęła ze schodów, trzasnęły drzwi.

–Skaleczyłem się w rękę – poskarżył się zdyszany Jo-Jo. – Ale coś mi się zdaje, że było warto. Popatrz.

Packy pochylił się, kierując światło latarki na serdelkowaną dłoń kompana.

Ujął w palce i ucałował nieszlifowany diament, którego nie oglądał od trzynastu lat.

–Witaj – wymamrotał wzruszony.

–Jesteś pewien, że to jeden z tych twoich? – spytał Jo-Jo. – To znaczy z naszych.

–Tak, jestem pewien! To jeden z tych żółtych. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale patrzysz na dwa miliony dolców. Ale co ten świr zrobił z resztą?

–Może powinniśmy przeszukać te brudy? – zasugerował Jo-Jo. – Chociaż to obrzydliwe, może się opłacić.

–Dobry pomysł. Zaczynaj – rozkazał Packy. Wziął do ręki maczetę. – Ja się zakradnę na schody i będę nasłuchiwał. Jeśli jest sam, dobierzemy się do niego od razu.

32

Regan z Jackiem wrócili do domku Elwiry i Willy'ego wyposażeni w kserokopie zdjęcia, na którym promienna Opal odbierała swoją wygraną na loterii. Pod fotografią wydrukowali informację, że pani Fogarty zaginęła, i prośbę, by każdy, kto ją widział lub wie cokolwiek na jej temat, zadzwonił pod numer Elwiry lub miejscowej policji.

–Rozlepiliśmy kilka w pensjonacie – powiedziała Regan.

–Sprawdziliśmy z Jackiem, którędy biegła wczoraj jej grupa. Ma my zamiar przejść te trasy i porozwieszać na drzewach jej zdjęcie, a jeśli w pobliżu będą jakieś domy, to do nich zapukamy.

–Będziemy też szukać białego vana z bagażnikiem na narty

–dodał Jack. – Dzwoniłem do mojego biura i poprosiłem, żeby informowano mnie na bieżąco o Packym Noonanie i wszelkich nowych danych w tej sprawie. Nie mogli uwierzyć, że byłem tu na miejscu, kiedy ukradziono choinkę przeznaczoną do Rockefeller Center. Kazałem jednemu z moich ludzi mieć oko na tę sprawę i przysyłać mi wszystko, co nadejdzie.

Siedzieli w głównym pomieszczeniu na parterze, które nagle jakoś straciło przytulność. Przeczucie Elwiry, że Opal znajduje się w niebezpieczeństwie, nabierało mocy z każdą chwilą.

–Ona może być wszędzie – powiedziała z wyraźnym napięciem w głosie. – Ktoś mógł ją zmusić, by wsiadła do samochodu. Wyszła tak wcześnie, że na zewnątrz było raczej pusto. Pójdziemy z Willym do miasta, rozwiesimy trochę zdjęć, rozpytamy wśród ludzi. Musimy wyruszyć, zanim będzie za późno. Wiem, że już to mówiłam, ale mam przeczucie, że Opal jest w prawdziwym niebezpieczeństwie i liczy się każda minuta.

–Skontaktujmy się za godzinę – zaproponowała Regan. – Oboje z Jackiem mamy przy sobie komórki, podobnie jak ty.

Razem opuścili domek. Meehanowie wsiadli do samochodu, Jack i Regan wyruszyli na szlak prowadzący do lasu, którym Opal biegła na nartach z niedzielą grupą. Tego dnia nie było tam żywej duszy.

–Jack, wydaje ci się możliwe, że Opal wpadła na Packy'ego Noonana? – spytała Regan w czasie marszu.

–Dziś rano wyjechała, żeby coś sprawdzić, i nie wróciła. Jeśli zobaczyła coś podejrzanego, a Packy Noonan kręci się po okolicy... – Uniósł ręce. – Kto wie, Regan?

Śnieg skrzypiał im pod stopami, kiedy szli ramię w ramię, rozglądając się uważnie dokoła.

–Może ma w tej okolicy jakiegoś znajomego, u którego się ukrywa – podsunęła Regan. – Tylko po co? Spędził ponad dwanaście lat w więzieniu. Spłacił dług wobec społeczeństwa. Odpokutował za swoje oszustwo. Sam wczoraj mówiłeś, że wiele ryzykuje, łamiąc warunki zwolnienia. Wiesz, Jack, to naprawdę dziwne, że Packy Noonan pracował u Lema Pickensa, a drzewo Lema ścięto przed upływem dwudziestu czterech godzin od chwili, gdy Packy złamał warunki zwolnienia i widziano go, jak wsiadał do vana z rejestracją

Yermontu. Nie mam pojęcia, po co miałby ścinać świerk, ale tych zbiegów okoliczności jest trochę za dużo, nie sądzisz?

Jack przytaknął skinieniem. Pograżeni w myślach posuwali się naprzód, mniej więcej co trzysta metrów przypinając do drzewa podobiznę Opal. Po drodze pukali do drzwi napotkanych domów, ale nikt nie rozpoznał zaginionej ani też nie zauważył niczego niezwykłego. Wszyscy mieli włączone telewizory i śledzili wiadomości na temat zniknięcia świerka Lema Pickensa.

–Ci dwaj nigdy się nie zgadzali – powiedziała cierpko pewna kobieta. – Ale moim zdaniem Wayne Covel nie miałby dość siły, żeby ściąć to drzewo i wywieźć je z polany. Mowy nie ma! Wynajęłam go kiedyś do paru prostych robót i guzdrał się w nieskończoność.

–Zaprosiła ich na kawę, ale Regan i Jack odmówili.

Kiedy wracali ścieżką od jej domu do głównego szlaku, Regan oznajmiła:

–Minęła godzina. Zadzwoń do Elwiry. – Jednak ze zniechęconego tonu przyjaciółki od razu wywnioskowała, że i Meehanom nie udało się znaleźć nikogo, kto mógłby pomóc w poszukiwaniach.

Ledwie Regan się rozłączyła, zadzwoniła komórka Jacka. Dzwonili z jego biura.

Regan patrzyła, jak w miarę słuchania Jack zmienia się na twarzy. Skończywszy rozmowę, spojrzął na Regan.

–Sprawdzili numery porzuconej platformy. Człowiek, na którego była zarejestrowana, nie ma pojęcia o drzewie, ale okazało się, że jego kuzyni Benny i Jo-Jo Como brali udział w oszustwach Pa-cky'ego Noonana. I tu coś mamy – zdjęli odciski palców Benny'ego z kierownicy.

–O mój Boże! – szepnęła Regan. – Może Opal miała z nim do czynienia?

–Wszyscy byli przekonani, że bracia Como uciekli z kraju – ciągnął Jack. – Może nie uciekli.

–Może to Benny zabrał Packy'ego vanem? – zastanawiała się głośno Regan. – Ale platforma? Czyżby Packy Noonan rzeczywiście był zamieszany w kradzież drzewa? Dlaczego?

–Złożył wizytę Pickensom na niecały rok przed aresztowaniem. Może szukał odpowiedniego miejsca do ukrycia łupu? Jak oboje wiemy, wielu przestępców nie ufa bankom czy skrytkom depozytowym ani nawet kontom bankowym w takich miejscach, jak Kajmany.

–Zgarnął dziesiątki milionów dolarów – przypomniała Regan.

–To wszystko nie mogło być w gotówce. Ciężko byłoby ją ukryć.

–Złodzieje lokują pieniądze w inne rzeczy, takie jak biżuteria czy kamienie szlachetne – powiedział Jack. – Trudniejsze do wyśledzenia.

–Ale jeśli ukrył biżuterię na drzewie Lema Pickensa, to czemu zadawałby sobie trud, ścinając świerk, by ją odzyskać? – dziwiła się

Regan. – To nie ma sensu. Lepiej zatelefonujmy do Elwiry. Jestem pewna, że za parę minut będą o tym trąbić na wszystkich kanałach. Może wydawca już do niej dzwonił. – Regan wybrała numer przyjaciółki.

Elwira знаła już nowinę od Charleya.

–Regan, wracamy do pensjonatu. Mam wrażenie, że marnujemy czas w mieście. Chcę jeszcze raz porozmawiać z recepcjonistką i dowiedzieć się dokładnie, kto był w grupie Opal. Mam nadzieję, że ci ludzie jeszcze nie wyjechali. I chcę jeszcze raz spróbować dotrzeć do tego instruktora, który dziś nie pracuje.

–Spotkamy się na miejscu. Dochodzimy już prawie do końca szlaku.

Do ślepego końca, pomyślała Regan, przerywając połączenie.

33

Lem wskoczył do furgonetki i pognął przed siebie. Jedyną pociechą była dla niego świadomość, że za jego drzewo wyznaczono nagrodę, co oznaczało, że szuka go wiele osób. Nie dbał o to, czy ktoś znajdzie świerk wcześniej i dostanie od Rockefeller Center dziesięć tysięcy dolarów. On pragnął jedynie, by drzewo należące do niego i Viddy, piękne jak z obrazka, pojechało zaznać chwały do Nowego Jorku. Mógłby wówczas zobaczyć minę żony, kiedy podczas wielkiej gali włączą światło i gałęzie zapłoną tysiącami lampek.

Wyjechawszy z podwórza, Lem mocno nacisnął na gaz. Planował najpierw przejechać koło domu Wayne'a Covela i sprawdzić, co się tam dzieje. Stamtąd miał jeździć od farmy do farmy oraz zajrzeć w kilka ślepych ulic na obrzeżach miasta, gdzie narciarze pobudowali sobie domki. Wielu z nich pojawiała się dopiero po Święcie Dziękczynienia. Covel mógł zaprowadzić platformę Rockefeller Center na którąś z tych dróg i po prostu tam zostawić. Nikt by jej nie znalazł, chyba żeby jej szukano.

Lem włączył radio. Lokalna stacja nadawała wiadomości o drzewie.

–Na miejscu Wayne'a Covela, gdybym nie miał nic wspólnego ze zniknięciem świerka, zaskarżyłbym Lema Pickensa i oskubał ze wszystkiego, co posiada – z każdego drzewa, jakie jeszcze pozostało na jego plantacji, każdego kurczaka w kurniku, każdej złotej koronki na zębach – gorączkował się prowadzący. – W tym kraju nie wolno publicznie oczerniać ludzi i liczyć na bezkarność. Mamy tu naszego eksperta od prawa...

Lekko zaniepokojony, Lem wyłączył radio.

–Wy tam nic nie wiecie o sprawiedliwości – wycedził przez zęby.

–Czasami człowiek po prostu musi wziąć sprawy w swoje ręce. Vid-dy czeka na nasze drzewo. Nie mogę stać z założonymi rękami, aż gliny je znajdą. Na pewno potrzebują jakiegoś głupiego nakazu, że by zerknąć do cudzej stodoły.

Przejechał wolno obok domu Wayne'a Covela. Na widok wielkiego świerka na jego podwórku krew w nim zawrzała. Jeśli to drzewo stanie przed Rockefeller Center zamiast naszego, Viddy tego nie przeżyje. Na podjeździe Covela biwakowali dziennikarze. Lem zauważył, że wielu ludzi, których znał z miasta, kręciło się w pobliżu, podziwiając drzewo Covela. Wiedział, że niektórzy z nich nie znoszą Wayne'a, ale po prostu chcieli zobaczyć swoje twarze w telewizji. Lem uważał takie zachowanie za haniebne.

Za zakrętem dostrzegł auto poety. Trudno było przegapić tego grata ze zderzakiem przywiązany sznurkiem. Miał ochotę wypuścić mu powietrze z kół. Jak ten wierszokleta śmiał marnować Vid-dy wieczór, zanudzając ją na śmierć swoimi okropnymi wypocinami? Miał nawet czelność rozdawać kopie tego wiersza o muszce owocowej. Viddy opowiadała, że wciskał go, komu tylko się dało.

Lem nie zatrzymał się. Postanowił najpierw pojechać na obrzeża miasta. Nawet Covel nie byłby taki głupi, żeby ukryć drzewo zbyt blisko swojego domu.

Przez następne półtorej godziny wędrował po całym Stowe, łamiąc zakaz wstępu na prywatny teren. Zaglądał do stodoł, otwierał drzwi, wspinał się do okien i zaglądał do środka, jeżeli był to jedyny sposób, by sprawdzić budynek wystarczająco duży na ukrycie ciężarówka z platformą. Ścigało go gdakanie drobiu, rzenie koni, a raz nawet podwórzowy pies chciał mu się dobrać do łydek.

Zdążył zgłodnieć, ale nie mógł wrócić do domu. Nie zamierzał stawiać czoła Viddy, dopóki nie znajdzie drzewa. Wrócił do furgonetki i włączył radio, chcąc się przekonać, czy są jakieś nowe wiadomości. Wtedy usłyszał o odciskach palców Benny'ego Como znalezionych na platformie. Uderzył dłonią w kierownicę.

–Packy Noonan to zrobił! – zawołał. – Czułem w kościach, że coś knuje, kiedy tu zajrzałem przed trzynastu laty. Ale chciałem wierzyć, że się poprawił. Ha! Viddy uważała, że to on sprzątnął jej broszkę z kameą. Mam nadzieję, że Packy był w zмовie z Wayne'em Covelem, bo jeśli Covel jest niewinny, to kiepsko ze mną. Nie dość, że Viddy będzie się musiała obejść bez drzewa, to jeszcze straci dach nad głową. – Postanowił na razie o tym nie myśleć.

Zrezygnował z planu zatrzymania się na szybki lunch w barze. Muszę znaleźć moje drzewo, powtarzał sobie w duchu.

Najpierw to, co najważniejsze.

34

Packy przykucnął u szczytu schodów, w pełni świadomy, że w każdej chwili Wayne Covel może mieć kolejny, już trzeci, przyływ schludności i następne naręcze brudnych ubrań sfrunie do piwnicy. Co oznacza, że wylądują mi na twarzy, pomyślał z obrzydzeniem. Uznał jednak, że nie mogą sobie pozwolić na dalsze czekanie.

Bolały go kolana i plecy. Spędził na czatach już czterdzieści minut.

Najpierw Dennis Dolan, reporter z jakiegoś miasta w Vermon-cie, zadzwonił do drzwi i został zaproszony przez Wayne'a do środka na kawę lub piwo. Dolan wyjaśnił, że chce przybliżyć ludziom osobę Wayne'a, na wypadek gdyby to jego drzewo stało przed Rockefeller Center.

Packy musiał przetrzymać historię życia Wayne'a, aż po informację, że jego była sympatia, Lorna, tego ranka przysłała mu mejl.

Kiedy Dolan zadał wreszcie ostatnie ze swych durnych pytań i się wyniósł, Wayne wrócił do kuchni i podkręcił głoś w telewizjo-111

rze. Z maczetą w dłoni, mając Jo-Jo za plecami, uzbrojony w taśmę klejącą i sznur, Packy już chciał otworzyć drzwi i rzucić się na Co-vela, lecz gwałtowne pukanie do frontowych drzwi zniweczyło jego plan. Tamten wyszedł z kuchni, żeby otworzyć, i powitał kogoś wylewnie. Z rozmowy wynikało, że przyszedł jego kumpel od kieliszka, Jake, aby mu zaoferować moralne wsparcie w związku z oskarżeniami Lema Pickensa. Packy przez uchylone drzwi z piwnicy do kuchni przysłuchiwał się wymianie zdań między nimi.

–Wiesz, stary, powiedziałem tym dziennikarzom, że Lem świ-
ruje. Że cię po prostu nie lubi i nigdy nie lubił. Nie mógł się docze-
kać, żeby ci zrobić na złość, nie? Coś mi się zdaje, że jak jego drze-
wo się nie znajdzie, to będą błagać o twoje. Dam ci małą radę. Na
wypadek gdyby ci z telewizji chcieli, żebyś dał się sfilmować przy
swoim drzewie, jak je będą ścinać, powinieneś się ostrzec. Ja właśnie
jadę do fryzjera. Może byś się ze mną zabrał?

Słyszając to Packy o mało się nie załamał. Na szczęście jednak Wayne odmówił

koledze.

**–Może obejdzie się bez strzyżenia, ale na twoim miejscu przy
ciałbym trochę wąsy i dał się porządnie ogolić, chociaż przy tych
zadrapaniach może być z tym mały kłopot – ciągnął Jake. – Tak czy
inaczej, ja jadę.**

**Na wzmiankę o zadrapaniach na twarzy Wayne'a Packy mocniej zacisnął palce na
trzonku maczety. Podrapał się, kradnąc moją butelkę, pomyślał ze złością...**

**Wayne otworzył drzwi, dziękując koledze za odwiedzinę. Zaraz potem, ku swej
rozpaczy, Packy usłyszał następny głos.**

**–Panie Covel, czy mogę się przedstawić? Jestem Trooper Keddle,
adwokat specjalizujący się w sporach. Mogę wejść?**

Nie, jęknął Packy. Nie!

Poczuł szarpnięcie za stopę. Jo-Jo wyszeptał:

**–Nie możemy tu wiecznie podierać ściany, czekając, aż ktoś nas zaprosi do
tańca, Packy. Ty nie możesz wiele zobaczyć przez to okno, ale ja widzę, że zaczyna
się mocno chmurzyć.**

**–Nie potrzebuję prognozy pogody – odwarknął Packy. – Zamknij się.
Adwokat wszedł za Wayne'em do kuchni.**

–Proszę usiąść – zachęcił go Covel. – Proszę wyjąć notes i zapisać. Jeśli pan sądzi, że Lem Pickens może pana przysłać, żeby mnie przestraszyć, to jest pan szalony, i on także. Nie ściałem jego drzewa i nie będzie mnie ciągał po sądach. Zapisał pan, Troopy?

–Nie, nie, panie Covel! – uspokajał go Keddle. – Mówimy o tym, że to pan go pociągnie do sądu. Rzucił na pana oszczercze oskarżenia. Rozumie pan, nie użył słowa „domniemany”. W świecie prawa może pan oskarżyć kogoś o dowolne przestępstwo, pod warunkiem że pan domniemywa, iż ten ktoś coś zrobił. W sposób niebudzący wątpliwości, w ogólnokrajowej telewizji, pan Pickens oskarżył pana o popełnienie przestępstwa. Och, drogi panie Covel, ambicją naszej kancelarii jest dopilnować, by otrzymał pan pełne zadośćuczynienie za naruszenie pańskich dóbr osobistych. Zasługuje pan na to, panie Covel. Pańska rodzina na to zasługuje.

–Nie jestem żonaty i nie lubię moich kuzynów – odparł Wayne. – Czy pan sugeruje, że jest tak, jak słyszałem w radiu? Uważa pan, że mogę pozwać Lema za zniesławienie? – Rozparł się na krześle i wybuchnął śmiechem.

–Może pan go pozwać za zrujnowanie pańskiej reputacji, za sprawienie panu dotkliwego bólu i spowodowanie urazu emocjonalnego, który niechybnie utrudnił panu normalnie wykonywane zajęcia, oraz za strzyknięcie w krzyżu, kiedy zrywał się pan z łóżka, żeby odpowiedzieć na jego walenie w drzwi i...

–Rozumiem – przerwał mu Wayne. – Brzmi zachęcająco.

–Nie musi pan wyklądać ani centa. Mojej kancelarii zależy przede wszystkim na sprawiedliwości. „Sprawiedliwość dla ofiar”, wszyscy nasi adwokaci mają to hasło wypisane na biurkach.

–Ilu adwokatów liczy wasza kancelaria, Troopy?

–Dwóch. Moją matkę i mnie.

Nigdy nie nosiłem broni, pomyślał Packy. Nigdy nie odczuwałem takiej potrzeby. Działalem zawsze w białych rękawiczkach. Ale w tej chwili oddałbym wszystko za pistolet. Na szczęście Jo-Jo ma krzepę. Może przytrzymać Covela. Ja będę wymachiwał maczetą, jakbym chciał jej użyć, i w dwie sekundy odzyskamy nasze diamenty. Covel nie będzie ryzykował, zakładając, że tylko straszę. Ale z tą prawniczą hieną już sobie nie poradzimy. Z tego, co widzę, nie jest

ułomkiem, a na podwórku przed domem mogą być jeszcze jacyś inni ludzie. Jeśli ktoś usłyszy krzyki, będziemy ugotowani. Jo-Jo znów pociągnął go za nogawkę.

–Mówisz, że diament, który znaleźliśmy, jest wart dwa miliony? – szepnął. – Może powinniśmy się nim zadowolić.

Packy zaprzeczył tak gwałtownym ruchem głowy, że aż uderzył we framugę.

–Drzwi do piwnicy okropnie skrzypią – wyjaśnił Wayne Trooprowi Keddle'owi, chowając do kieszeni jego wizytówkę. – Może za pieniądze Lema sprawię sobie nowe. – Zarechotał, rozbawiony tą uwagą, a Keddle dołożył starań, by mu odpowiednio zawtórować.

Wreszcie adwokat sobie poszedł, jeszcze w proggu zapewniając z wylewnością namolnego komiwojażera o swych chęciach i zdolnościach do naprawienia zła, którego doznał Wayne.

Wystarczy, pomyślał Packy. Najwyższy czas przystąpić do rzeczy. Skinął na Jo-Jo. Zaraz potem, gdy Wayne, idąc do stołu, mijał zejście do piwnicy, drzwi się otworzyły i nim się zorientował, leżał jak długi na podłodze. Packy zakleił mu usta taśmą, a Jo-Jo związał najpierw ręce, potem nogi, a na koniec połączył sznurem pęta z tyłu.

–Zasłoń okna w pokoju od frontu, Jo-Jo – rozkazał Packy.

–I zamknij na klucz drzwi wejściowe. Jeśli tam na zewnątrz jeszcze ktoś jest, niech myśli, że facet ma dość towarzystwa. – Położył maczetę na ziemi tuż obok twarzy Wayne'a. – Poznajesz? – spytał.

–Założę się, że poznajesz. Może pomoże ci przypomnieć sobie, co zrobiłeś z moimi diamentami.

Poklepał swego więźnia po głowie.

–Nawet nie próbuj hałasować, bo zmuszę cię, żebyś wygryzł własne nazwisko z trzonka. Rozumiesz?

Wayne zaczął kiwać głową potakująco. Kiwał i kiwał, jakby nie mógł przestać.

Packy podniósł się i szybko podszedł do kuchennego okna. Stojąc z boku, pociągnął za uchwyt rolety, ale ta zamiast zasłonić okno, spadła mu na ramię. Okazało się, że była prowizorycznie przywiązana sznurkiem do ramy okiennej. Nie kryjąc pogardy dla Wayne'a

jako gospodarza, chwycił taśmę klejącą, przyciągnął do okna krzesło, stanął na nim i jedną ręką zakładając roletę na framugę, drugą umocował ją taśmą.

Jo-Jo miał więcej szczęścia z roletami w sypialni i salonie, lecz kiedy zmierzał do wyjścia, żeby przekręcić klucz, drzwi nagle się otworzyły.

–Wayneeeee, skarbie... – zaszczębiotała Lorna, wchodząc do środka. –
Niespodzianka! Niespodzianka!

35

Opal czuła się tak samo, jak wtedy, gdy uspiono ją podczas operacji wyrostka. Pamiętała, że wówczas ktoś mówił:

–Budzi się, daj jej więcej. Na co ktoś inny odpowiedział:

–Dostała tyle, że zwałoby z nóg słonia. Tak się czuła wtedy i teraz... jakby była we mgle albo pod wodą

i próbowała wypłynąć na powierzchnię. Wtedy, podczas operacji, usiłowała im powiedzieć: „Jestem twarda. Nie tak łatwo mnie zwalić z nóg”.

Teraz myślała to samo. U dentysty potrzebowała dosłownie całego zbiornika podtlenku azotu, żeby mogli jej usunąć ząb mądrości. Cały czas powtarzała doktorowi Ajongowi, żeby zwiększył dawkę, bo wciąż jest zupełnie przytomna.

Skąd mi się wzięła tak wysoka tolerancja, zadawała sobie pytanie, dziwiąc się, że z jakiegoś powodu nie może poruszać rękami. Pewnie człowieka związują do operacji, pomyślała leniwie, zapadając z powrotem w sen.

Jakiś czas później znów próbowała wypłynąć na powierzchnię. Co się ze mną dzieje? Można by pomyśleć, że się upiłam. Czemu tak dziwnie się czuję? Miała wrażenie, że jest na weselu swojej kuzynki Ruby. Podawali tak podłe wino, że po dwóch kieliszkach miała kaca.

Moja kuzynka Ruby... Ja, Opal... Córka Ruby nazywa się Jadę... Rubin, opal, jadeit... Nazwy szlachetnych kamieni, myślała pół-115

przytomnie. Wcale się nie czuję jak szlachetny kamień. W tej chwili czuję się jak zwykły kamyk. Kiedy powiedziałam tacie, że Opal to głupie imię, odesłał mnie do matki. „Z nią o tym porozmawiaj, to był jej pomysł”. Mama powiedziała, że to dziadek nazywał nas swoimi klejnotami i wybrał imiona. Klejnoty. Opal znów zasnęła.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, próbowała poruszyć rękami i od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Gdzie ja jestem? Dlaczego nie mogę się poruszyć? Już wiem, Packy Noonan! Widział, jak oglądałam tablice rejestracyjne. Tamci dwaj również. Związali mnie. Siedziałam przy kuchennym stole. Kupili diamenty za pieniądze, które mi ukradli. I ukradli choinkę. Ale nie mają tych diamentów, jeszcze ich nie mają. Ten człowiek w telewizji, ten z podrapaną twarzą, to on je ma. Jak się nazywa? Wayne... Siedziałam przy stole w kuchni. Co się stało? Kawa miała dziwny smak. Nie dopiłam jej. Zasnęła.

Tuż przed następnym przebudzeniem miała sen, w którym zapomniała zakręcić kurka przy kuchence. We śnie czuła gaz. Obudziwszy się, powiedziała na głos:

–To nie sen. Naprawdę czuję gaz.

Elwira z Willym dotarli do pensjonatu przed Regan i Jackiem.

–Strażnicy przynajmniej raz przejechali wszystkie szlaki – poinformowała ich recepcjonistka. – Nie trafili na żaden ślad, ale wszyscy są w stanie gotowości.

W widocznym miejscu na ladzie wyłożone było zdjęcie Opal.

–Dużo ludzi się wymeldowuje? – spytała Elwira.

–O, tak – przyznała recepcjonistka. – Sami państwo rozumieją, mamy dużo weekendowych gości. Każdemu pokazywaliśmy zdjęcie, ale dotąd, niestety, nikt nic nie wiedział. Parę osób mówiło, że pamiętają panią Fogarty z jadalni, to wszystko. Regan i Jack weszli do holu.

116

–Och, Regan – powitała ich Elwira. – Ja po prostu wiem, że to Packy Noonan i bracia Como maczali palce w zniknięciu Opal. Dzwoniłam na policję, żeby spytać, czy ktoś coś zgłaszał, ale oczywiście żadnych wieści. Z pewnością zaraz by mnie powiadomili. Willy wyraził głośno myśl, która prześladowała ich wszystkich:

–Co dalej?

Elwira zwróciła się do recepcjonistki:

–Wiem, że zostawiła pani wiadomość instruktorce, która pracowała w sobotę po południu. Mogłaby pani jeszcze raz spróbować się z nią skontaktować?

–Oczywiście. Zostawiliśmy kilka wiadomości, na jej domowej sekretarce i w poczcie głosowej komórki, ale mogę jeszcze raz spróbować. Wiem, że w dni wolne od pracy lubi dłużej pospać. Albo jest na nartach. Nie sądzę, żeby cały czas nosiła przy sobie telefon komórkowy.

–Dłużej pospać? – wykrzyknęła Elwira. – Minęło południe!

–Ma dopiero dwadzieścia lat – powiedziała recepcjonistka z lekkim uśmiechem i zaczęła wybierać numer.

Słyszając, że znów nagrywa wiadomość w poczcie głosowej, zniechęcona Elwira rzuciła:

–Chyba nie mamy szczęścia.

–Wspominała pani, że próbowała rozmawiać z narciarzami, z którymi Opal jeździła w jednej grupie w sobotę – włączył się Jack. – Zapewne spis ich nazwisk jest w komputerze.

–Owszem. Mogę je wydrukować – zaproponowała recepcjonistka. – Proszę dać mi minutę. – Okrążyła ladę i skierowała się do biura.

Czekali w milczeniu; po chwili kobieta wróciła z listą sześciu nazwisk.

–Pamiętam, że ktoś z nich wymeldował się rano, ale sprawdzę w komputerze, czy reszta jeszcze tu jest.

Drzwi holu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł rudy chłopiec w wieku około dziesięciu lat. Uwagi, które kierował do idących tuż za nim, dziwnie zmęczonych rodziców, musiały być dobrze słyszane aż na piętrze.

–Nie mogę uwierzyć, że ktoś ściął drzewo! Jak oni to zrobili?

Mamo, możemy jeszcze dziś wywołać zdjęcia, żebym mógł je jutro pokazać kolegom w szkole? Ale się zdziwią, jak zobaczą pień! Chcę jechać do Nowego Jorku i zobaczyć choinkę z tymi wszystkimi światełkami. Możemy się tam wybrać podczas ferii świątecznych? Chcę zrobić zdjęcie i postawić je obok zdjęcia pnia.

Umilkł na chwilę, ujrawszy fotografię Opal na ladzie recepcji.

–Ta pani była w mojej grupie, jak biegaliśmy na nartach w sobotę! – Cały czas podskakiwał, rozpierany energią.

–Znasz tę panią? – podchwyciła Elwira. – Jeździłeś z nią na nartach?

–Tak. Była fajna. Powiedziała, że na imię jej Opal i pierwszy raz miała na nogach narty. Dobrze sobie radziła... o wiele lepiej od innej staruszki, której ciągle się krzyżowały.

Elwira postanowiła zignorować „staruszkę”.

–Bobby, mówiłem ci – wtrącił ojciec chłopca – że nie mówi się „staruszka”, tylko „starsza pani”.

–A dlaczego nie staruszka? – obruszył się Bobby. – Ten piosenkarz Screwy Louie nazywa tak swoją żonę.

–Kiedy jeździłeś z Opal na nartach? – weszła mu w słowo Elwira.

–W sobotę po południu.

–Państwo też byli w tej grupie? – zwróciła się do rodziców.

Oboje sprawiali wrażenie zakłopotanych.

–Nie – odezwała się w końcu matka. – Jestem Janice Granger. Mój mąż Bill i ja jeździliśmy z Bobbym cały ranek. Po lunchu znów chciał iść na narty. Instruktorka dobrze go zna i sama go pilnowała.

–Pilnowała mnie? To ja pilnowałem Opal! – Wskazał na zdjęcie.

–Co to znaczy, że jej pilnowałeś? – zainteresowała się Elwira.

–Instruktorka zabrała nas na inny szlak, bo przed nami była cała banda guzdrałów i wszyscy się wkurzali. Opal musiała się zatrzymać i usiąść, bo zerwała jej się sznurówka. Czekałem na nią. Musiałem ją poganiać, bo gapiła się na jakąś farmę.

–Gapiła się na farmę?

–Jakiś facet pakował narty na bagażnik vana. Obserwowała go. Pytałem ją, czy go zna. Odpowiedziała, że nie, ale wydaje jej się znajomy.

–Jakiego koloru był ten van? – spytała szybko Elwira.

Chłopiec popatrzył w górę, zagryzł wargę, rozejrzał się, po czym oznajmił stanowczo:

–Jestem pewien, że biały.

Regan, Jack, Willy i Elwira, teraz już całkowicie pewni, że mężczyzną, którego widziała Opal, musiał być albo Packy Noonan, albo jeden z braci Como, obawiali się najgorszego.

–Gdzie się znajduje ta farma? – wtrącił się Jack.

–Czy ktoś tu ma mapę? – spytał z powagą Bobby.

–Mam tu, pod ladą – odezwała się spiesznie recepcjonistka.

–Przyjeżdżamy do Stowe, od kiedy Bobby się urodził – wyjaśnił ojciec chłopca. – Zna tu każdy kąt, lepiej niż ktokolwiek.

Recepcjonistka rozpostarła mapę na ladzie. Bobby przyjrzał się z namysłem, po czym wskazał jeden ze szlaków.

–To bardzo fajne miejsce do biegania na nartach – powiedział.

–Farma – ponagliła Elwira. – Bobby, gdzie jest ta farma?

Chłopiec położył palec na mapie.

–Tu szli ci maruderzy. Okrążyliśmy ich od tej strony. A do kładnie tu ta starsza pani Opal zatrzymała się, żeby zawiązać sznu rówkę.

–1 farma była właśnie w tym miejscu? – upewniła się Regan.

–No. A z boku stała wielka stodoła.

–Chyba wiem, gdzie to jest – odezwał się Bill Granger.

–Może pan nam pokazać drogę? – poprosił Jack. – Nie możemy tracić czasu.

Chodzi o nagły wypadek.

–Oczywiście.

–Ja też idę – zapalił się Bobby. Oczy mu błyszczały z podniecenia.

–Nie, ty nie idziesz – zaprotestowała Janice Granger.

–No nie! Tylko ja wiem na pewno, jak wyglądała ta farma – upierał się chłopiec.

–On ma rację – powiedziała stanowczo Elwira.

–Nie chcę, żeby Bobby się narażał – nie dawała się przekonać matka.

–A może państwo razem, wszyscy troje, pokazalibyście nam drogę? – zasugerował Jack. – Proszę. Sprawa jest bardzo pilna.

Rodzice Bobby'ego wymienili spojrzenia.

–Nasz samochód stoi na zewnątrz – powiedział Bill Granger.

–Hurraaa! – zawołał Bobby, wyprzedzając ich w drodze do drzwi.

Wybiegli na parking. Jack usiadł za kierownicą samochodu Mee-hanów. Ruszyli za Grangerami długą krętą drogą z pensjonatu Trap-pów do wypełnionego gazem domu na farmie, gdzie oszołomiona Opal walczyła o odzyskanie świadomości.

37

Postanović – to jedno. Wypełnić postanowienie – to co innego. Lem miotał się i krążył, ale niczego nie osiągnął. Obietnica złożona Viddy, że odzyska ich drzewo, wydawała się równie niemożliwa do spełnienia jak skok na księżyc.

Jechał główną ulicą. Widząc szyld swojego ulubionego baru, zawahał się, a potem zatrzymał samochód. W brzuchu mu burczało tak głośno, że nie był w stanie myśleć. Mężczyzna nie może myśleć, kiedy jest głodny, powiedział w duchu. Szukając w myślach usprawiedliwienia dla przerwy w poszukiwaniach, przypomniał sobie, że nawet nie zjadł śniadania. Wrócił do domu dopiero z gośćmi, a gorąca czekolada Viddy, choć dobra, nie zapewni człowiekowi zapasu energii na tak długo.

Kiedy wysiadał z furgonetki, jego uwagę przykuło zdjęcie jakiejś kobiety przymocowane na latarni. Lem przyjrzał się uważnie kobiecie trzymającej w dłoni zwycięski kupon loteryjny. Przypomniał sobie, jak sam mógł wygrać na stanowej loterii w Vermoncie, ale zapomniał kupić los. Padły wówczas numery, które zawsze z Viddy obstawiali.

Pamiętał, że żona przez jakiś czas mocno się na niego boczyła. Na szczęście nie chodziło o główną wygraną. Tłumaczył Vid-dy, że od takich pieniędzy są ściągane rujnujące podatki, a do tego osaczają człowieka jacyś szemrani handlarze i próbują wciskać różne zupełnie niepotrzebne rzeczy, na przykład działki na Florydzie, które tak naprawdę są bagnami pełnymi aligatorów.

Viddy słuchała go z zaciętym wyrazem twarzy. Nie przekonał jej-Lem zmrużył oczy. Pod zdjęciem podano numery, do Elwiry Meehan i na policję, pod które należało dzwonić w wypadku posiadania jakichś informacji na temat tej Opal.

Elwira była u nich w domu. Coś podobnego. Oboje szukamy tego, co jest dla nas bardzo ważne.

Lem wszedł do baru i usiadł tam, gdzie zwykle. Danny pracował na dzienną zmianę.

-Lem, przykro mi z powodu twojego świerka.

-Dzięki. Muszę się śpieszyć. Znajdę to drzewo, choćbym miał paść trupem.

-Co ci podać?

-Szynkę, bekon, dwa jajka sadzone, smażone ziemniaki, sok pomarańczowy i dwa tosty z białego pieczywa. Bez masła. Trzymam się z daleka od masła.

Danny nalał mu kubek kawy. Nad jego głową, po prawej stronie znajdował się telewizor; był włączony, ale bardzo cicho.

Pickens spojrział na ekran, na którym reporter pokazywał właśnie platformę. Słuch zaczynał Lema trochę zawodzić; kiedy rano Viddy pytała go, czy chce więcej soku, zdarzało mu się odpowiedzieć pytaniem: „Co z boku?”.

-Podkręć głos, Danny – poprosił.

Danny sięgnął po pilota i wcisnął odpowiedni guzik.

-...w kabinie porzuconej platformy, gdzie znaleziono odciski Ben-ny'ego Como, panował straszny bałagan. Jednak nasze źródła donoszą, że między torebkami od chipsów, papierkami po gumie do żucia i opakowaniami po jedzeniu na wynos prowadzący śledztwo znaleźli coś niezwykłego, zważywszy na to, kto prowadził ciężarówkę.

Lem wychylił się w stronę telewizora.

-Za osłoną przeciwsłoneczną nad przednią szybą znaleziono tekst wiersza pod tytułem „Oda do muszki owocowej”. Autor nie znany. Nie sposób odcyfrować podpisu.

Lem podskoczył niczym rażony prądem.

-To wiersz Mila! – zawołał. – Śmierdząca sprawa! A ja jestem tu manem! – Wybiegłszy z baru, pędem dopadł furgonetki.

Włączył silnik i wyjechał z parkingu, czując, jak wzbiera w nim coraz większa złość na siebie. Jestem skończonym tumanem! Wszystko było jasne jak słońce, a ja tego nie widziałem. Człowiek, od którego Milo wynajmuje farmę, przed laty rozbudował stodołę. Myślał, że te muły, które nazywał końmi wyścigowymi, wygrają Kentucky Derby. Ale stodoła! Jest na tyle duża, by pomieścić moje drzewo!

–Gdzie moja butelka? – zapytał spokojnie Packy. – Gdzie moje diamenty?

Odpowiedź nie mogła paść, jako że Wayne miał usta szczelnie zaklejone taśmą. Wayne i Lorna siedzieli na kuchennych krzesłach; podobnie jak Wayne, Lorna miała związane ręce i nogi. Ostrzegłszy ją, że jeśli piśnie, będzie to jej ostatni pisk, Packy nie zadawał sobie trudu zaklejeniem jej ust. Uznał, zresztą słusznie, że jest zbyt przestraszona, by krzyczeć. Doszedł też do wniosku, że gdyby Wayne próbował jakichś sztuczek, ta kobieta może wiedzieć, gdzie diamenty zostały ukryte.

–Wayne – powiedział Packy – zabrałeś piersiówkę z drzewa Picensa. Nieładnie z twojej strony. To była moja piersiówka, nie twoja. Zdejmę ci tę taśmę z ust, ale nie będę zadowolony, jeśli zaczniesz krzyczeć. Rozumiesz?

Wayne skwapliwie pokiwał głową.

–On rozumie – odezwała się drżącym głosem Lorna. – Naprawdę. Może nie wygląda na zbyt bystrego, ale nie jest głupi. Zawsze mówiłam, że mógłby wiele osiągnąć, gdyby nie był taki leniwy.

–Słyszałem już historię jego życia – przerwał jej Packy. – Opowiadał ją dziennikarzom. Wspomniał nawet o tobie.

Lorna gwałtownie odwróciła głowę.

–Co im mówiłeś? – zwróciła się do Wayne'a.

–Packy, musimy się śpieszyć – przypomniał Jo-Jo.

Noonan zgromił kompana spojrzeniem. Dostrzegł, że z oczu Covela zaczyna znikać strach. Dziewczyna miała rację, Wayne nie był głupi. W tym momencie jego mózg pracował na pełnych obrotach; kombinował, jak zachować diamenty. Packy szybkim ruchem zerwał mu taśmę z ust, a wraz z nią co dłuższe włosy z wąsów.

–Auuu... -jęknął Wayne.

–Nie bądź taki delikatny. Miliony kobiet płacą co miesiąc ciężkie pieniądze za taki zabieg. Nazywa się to depilacja woskiem.

–Pochylił się nad stołem. – Butelka. Diamenty. Natychmiast.

–On nie ma żadnych diamentów – zaprotestowała Lorna.

–Prawdę mówiąc, nie ma ani centa. Jeśli mi nie wierzycie, zajrzyjcie do pudełka po cygarach obok zlewu. Pełno tam rachunków.

Większość z nich zaległa.

–Paniusiu – ostrzegł Packy – zamknij się! Covel, chcemy dostać te diamenty.

–Nie mam...

–Owszem, masz! – ryknął Packy. Wyjął z kieszeni żółty kamień znaleziony na podłodze piwnicy. Pomachał nim Covelowi przed nosem, a następnie położył na kuchennym stole.

–To się zaplątało w brudne łachy, które zrzuciłeś ze schodów.

–Ktoś musiał go podrzucić. Kręciło się tu dzisiaj wiele osób.

–Głos Wayne'a przybrał wysokie tony.

–Cudny ten diament! – pisnęła Lorna.

Jest przestraszony, choć nie na tyle, by oszczędzić nam czasu, pomyślał Packy. Pochylił się jeszcze bardziej, tak że jego twarz znalazła się tuż przy twarzy Wayne'a.

–Mógłbym pozwolić Jo-Jo, żeby się tobą ostro zajął. Wtedy za czniesz mówić. Ale jestem miłym facetem. Jestem uczciwy. – Podniósł diament i wrzucił do kieszonki koszuli Wayne'a. – Ten kamyczek na twojej piersi jest wart dwa miliony dolarów. Należy do ciebie, jeśli natychmiast oddasz nam butelkę z całą resztą.

–Mówię wam, że nic nie wiem o żadnych diamentach.

Gra na czas, pomyślał Packy. Może wie, że ktoś tu przyjdzie.

Wziął do ręki maczetę i przyjrzał jej się z namysłem.

–Chyba tracimy cierpliwość, co, Jo-Jo?

–Tracimy cierpliwość – potwierdził tamten poważnie.

Packy uniósł maczetę nad głową i uderzył w stół. Ostrze z głuchym stukotem zagłębiło się w drewnianym blacie. Packy natychmiast wyswobodził je szarpnięciem.

–To ta ładna maczeta, którą ci podarowałam na Gwiazdkę, Wayne! – zawołała oskarżycielsko Lorna.

–Przez nią jesteśmy w kłopotach – odwarknął Covel. Następnie dodał, zwracając się do Packy'ego: – Już dobrze, dobrze, powiem. Ale tylko jeśli dasz mi jeszcze jeden diament... ten, który wygląda jak jajo rudzika. I tak mnóstwo ci zostanie.

–Skoro masz ich tak dużo, to ja też chcę jeden – włączyła się Lorna. – Może być malutki.

–Nie ma malutkich – odparł ostro Packy. – Covel, ty chcesz jajo rudzika, twoja kobieta chce mały kamyk. Powinniście się trzymać razem. Dobrana z was para. Gdzie jest butelka?

–Umowa stoi? – upewnił się Wayne. – Dwa diamenty dla mnie. Nią się nie przejmuj.

–Butelka?

–Ale jeszcze nie obiecałeś.

–Obiecuję! Z ręką na sercu!

Wayne zawahał się, przymknął oczy, a potem wolno je otworzył.

–Postanowiłem ci zaufać. Butelka jest w dolnej szufladzie ku chenki, w dużym garnku z urwaną rączką.

Jo-Jo w okamgnieniu padł na kolana przy kuchence i wysunąwszy szufladę, zaczął z niej wyrzucać garnki, patelnie i zardzewiałe foremki do ciasta. Duży garnek zaklinował się w rogu; Jo-Jo szarpnął za uchwyt tak mocno, że cała szuflada wypadła z łoskotem na podłogę. Nie wypuszczając garnka z ręki, zdjął pokrywę, zajrzał, a potem sięgnął do środka.

–No i mamy, Packy. – Pokazał butelkę w uniesionej ręce.

Noonan wyrwał mu ją, zdjął zakrętkę, wysypał na dłoń kilka kamieni i wzdychając z ulgą, zacisnął palce na diamentach.

–W porządku, wygląda na to, że jest pełna. Brakowało chyba tylko tego jednego, który znaleźliśmy.

–Jajo rudzika – przypomniał mu Wayne.

–A tak, prawda. – Packy ostrożnie wytrząsnął z piersiówki więcej diamentów. – Taki duży, że ledwie przeszedł przez szyjkę. Ale to nie ma znaczenia. – Wsywał diamenty z powrotem do butelki. Potem odwrócił się z wyciągniętą ręką. Kiedy wyjmował żółty kamień z kieszeni Wayne'a, ten ugryzł go w palec.

–Au! – krzyknął Packy. – Żebym tylko nie dostał wścieklizny.

–Wiedziałaś, że nie powinieneś mu ufać! – rozdarła się Lorna. – Ty zawsze wszystko schrzaniśz.

Zaraz potem Jo-Jo zakleił im obojgu usta. Packy zakołysał butelką przed oczyma Covela.

–Wydawało ci się, że jesteś cwany – powiedział. – Twoja kobieta też myśli, że jest cwana. Szkoda, że nie mam czasu, żeby wam sprzedać most Brooklyński. Każdy, kto wierzy, że oszust dotrzyma słowa, nie powinien zajmować miejsca na tym świecie.

Wraz z Jo-Jo skierował się do tylnego wyjścia z domu.

Grangerowie skręcili w ziemny trakt oznaczony jako ślepa uliczka i jechali powoli, zmuszeni do ostrożności przez ukryte pod śniegiem korzenie i wyrwy. Za nimi Elwira, Willy, Regan i Jack zwolnili niechętnie. Nagle Grangerowie zatrzymali auto przed jakąś farmą, a tylne drzwi się otworzyły.

–To tutaj! – zawołał Bobby.

–Wracaj do samochodu! – rozkazała mu matka.

Jack wjechał autem Meehanów na pole przed domem i zaparkował.

–To miejsce wygląda na opuszczone – powiedział Willy, przez nosząc wzrok z domu na wielką stodołę.

Szybko podeszli bliżej.

–Popatrzcie – odezwał się Jack, wskazując na podwórze za stodołą. – Biały van z bagażnikiem na narty!

Elwira i Regan wbiegły na ganek i zaczęły zaglądać przez okna. Elwira ścisnęła Regan za ramię.

–Na podłodze leżą narty do biegania.

125

–Przecież mogą należeć do kogokolwiek – powiedziała Regan.

–Nie należą do kogokolwiek – upierała się Elwira. – Obok na podłodze jest czapka Opal! Musimy tam wejść!

–Masz rację, kochanie – poparł ją Willy. Spróbował otworzyć frontowe drzwi, ale były zamknięte na klucz. Wziął stojące na ganku krzesło i rzucił nim w okno. Na widok ich zaskoczenia rzekł:

–Jeśli się mylimy, zapłacę za szybę, ale ufam instynktowi mojej żony.

Owionął ich mocny zapach gazu.

–O mój Boże... -jęknęła Elwira. – Jeśli Opal gdzieś tam jest...

Jack kopnięciami usunął resztki szkła, wskoczył do domu i otworzył drzwi od środka. Oczy natychmiast zaczęły mu łzawić od gazu.

–Opal! – zawołała Elwira.

Przebiegli parter, ale nikogo nie znaleźli. W kuchni Willy dopadł do kuchenki i zakręcił kurki.

–Stąd ulatnia się gaz!

Regan z Jackiem pognali na górę, Elwira tuż za nimi. Na piętrze znajdowały się trzy sypialnie. Drzwi do wszystkich były zamknięte.

–Tu nie czuć gazu tak mocno – zauważyła Regan, kaszląc.

Pierwsza sypialnia okazała się pusta. W drugiej znaleźli mężczyznę przywiązanego do łóżka. Elwira wdarła się do trzeciej sypialni i zmarła. Opal leżała nieruchomo, również związana.

–O, nie! – szepnęła Elwira. Podbiegła do łóżka, uklękła i dostrzegła, że usta przyjaciółki się poruszają, powieki drżą. – Ona żyje!

Jack natychmiast znalazł się obok niej, szybko rozciął więzy scyzorykiem. Regan podłożyła ramię pod plecy Opal i spróbowała ją unieść.

–Gdyby drzwi sypialni nie były zamknięte, tych dwoje już by nie żyło – stwierdził. – Poradzicie sobie z Opal?

–Jasne – zapewniła go Elwira.

Jack pośpieszył do sąsiedniego pokoju, a ona z Regan wzięły Opal pod rękę i sprowadziły ją na dół.

Tuż za nimi Jack i Willy znosili całkowicie nieprzytomnego długowłosego mężczyznę.

Wystarczyło im parę sekund, by znaleźć się w bezpiecznej odległości od domu.

–Gdybyśmy zadzwonili do drzwi, dom mógł wylecieć w powie-

trze – powiedział Jack. – Cały parter był tak wypełniony gazem, że iskra elektryczna mogła spowodować eksplozję.

Przechodząc przez pole, usłyszeli nadjeżdżający pojazd; na posesję wtoczyła się odkryta furgonetka. Nim zdążyła im zaświtać w głowach myśl, że to mogą być porywacze Opal, ujrzeli za kierownicą Lema Pickensa. Nic nie wskazywało na to, by ich zauważył; przejechawszy obok, wyhamował z piskiem opon przed stodołą. Patrzyli, jak biegnie do drzwi, otwiera je i zaczyna podskakiwać z radości.

–Nasze drzewo! – krzyczał. – Nasze drzewo! Znalazłem nasze drzewo! – Wpadł do stodoły, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

–Ich świerk jest tutaj! – zawołała Regan. Opal wciąż zwisała na ramionach jej i Elwiry.

–Packy – wymamrotała. – Diamenty. Moje pieniądze.

–Wiesz, gdzie jest Packy? – spytała ją przyjaciółka. Lem wybiegł ze stodoły i pospieszył w ich stronę.

–Nasze drzewo nie ucierpiało. Ma tylko złamaną jedną gałąź!

–W końcu do niego dotarło, co się dzieje. – Co jest tym dwojgu?

–spytał.

–Zostali czymś nafaszerowani – odpowiedziała Elwira. – 1 stoi za tym Packy Noonan.

–A to jest ten, pozał się Boże, poeta – domyślił się Pickens, wskazując na nieprzytomnego Mila, wciąż podtrzymywanego przez Willy'ego i Jacka.

–Wayne... ma... diamenty... Packy tam poszedł... – mamrotała Opal.

–Gdzie? – dopytywała się Elwira.

–Do domu Wayne'a...

–Wiedziałem, że ten łobuz siedzi w tym po uszy! – wykrzyknął triumfalnie staruszek.

–Lem, pan zna drogę do domu Wayne'a Covela – zwróciła się do niego Regan. – Proszę nas tam zawieźć. Proszę! Nie możemy tracić ani minuty!

Jack rozmawiał już przez telefon komórkowy, alarmując miejscową policję. Lem obejrzał się na stodołę.

–Nie ma mowy! – zawołał. – Nie mogę spuścić z oka naszego drzewa!

Bobby Granger wymknął się rodzicom i podbiegł do niego w podskokach.

–Ja popilnuję drzewa, proszę pana – zaproponował. – Nikomu nie pozwolę go dotknąć!

–Policja już jedzie tutaj i do domu Covela. Pańskiemu drzewu nic nie grozi – oświadczył stanowczo Jack. – Panie Pickens, naprawdę potrzebujemy pańskiej pomocy. Zna pan dobrze okolicę.

Grangerowie dołączyli do syna.

–My popilnujemy drzewa – zapewnił Lema Bill.

–No dobrze – ustąpił wreszcie Lem. – Powiedzcie policjantom, że kluczyki od platformy mam w kieszeni. To ja zawiozę nasze drzewo Viddy. I nie wsiądę do auta razem z tym wierszokletą.

–Jego też przypilnujemy – powiedział Bill Granger.

Elwira zajęła miejsce na tylnym siedzeniu mercedesa Meeha-nów, Jack ulokował przy niej Opal, a Willy usiadł obok, by ją podtrzymywać od drugiej strony. Regan, Jack i Lem wcisnęli się na przednie siedzenie. Jack włączył silnik i ruszył z kopyta wyboistą drogą.

–Proszę tu skręcić w lewo – polecił Pickens. – Myślę, że Wayne Covel, Packy Noonan i ten niewydarzony poeta są ulepieni z jednej gliny. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby skradziony łup znalazł się w domu Wayne'a Covela. Teraz w prawo.

Z naprzeciwka nadjeżdżał grat Mila.

–To sedan poety! – zawołał Lem. – A przecież wiemy, że on nie prowadzi!

Kiedy się mijali, Elwira zawołała:

–Packy Noonan siedzi za kierownicą!

Jack zawrócił i znalazł się za jakąś dostawczą ciężarówką. Szosa była zbyt wąska i kręta na wyprzedzanie.

–Szybciej! – gorączkował się. – No szybciej!

Gdy dotarli do skrzyżowania, nigdzie nie było już widać samo chodu Mila.

–Pojechali tędy! – Lem wskazał na lewo.

–Skąd pan wie? – spytał Jack.

–Proszę spojrzeć! Tam na środku drogi leży zderzak. W końcu odpadł od tego rzęcha.

Regan wybrała numer miejscowej policji. Przekazała im zwięźle, że widzieli Packy'ego Noonana, opisała jego pojazd i podała kierunek ucieczki.

–Złapcie go... – mamrotała Opal. – Proszę... Wszystkie moje pieniądze...

–Złapiemy go, Opal – obiecała Regan. – Szkoda, że sama tego nie zobaczysz.

Za zakrętem zrównali się z sedanem, który prychając silnikiem, posuwał się naprzód. Jack z szerokim uśmiechem jechał za Packym, w miarę potrzeby przyspieszając, by żaden inny pojazd nie znalazł się pomiędzy nimi. W oddali zobaczyli policyjny radiowóz, zmierzający w ich stronę, z migoczącym kogutem na dachu. Jack zatrzymał się, robiąc policjantom miejsce na zawrócenie. Zaraz potem rozległ się głos, słyszalny nawet przez zasunięte szyby.

–Zjedź na pobocze, Packy. Masz już dość kłopotów, nie pakuj się w dalsze.

Drugi radiowóz wyminął Jacka, a dwa kolejne nadjechały z przeciwnej strony. W sedanie Packy wyjął piersiówkę z kieszeni i wręczył Jo-Jo.

–Pozbądź się tego! – rozkazał.

Jo-Jo otworzył okno, opuścił rękę i wyrzucił butelkę z diamentami, która stoczyła się z nasypu przyjezdni.

–Tyle zachodu, żeby naciągnąć tych głupków, i wszystko na marne! – lamentował Packy, patrząc, jak jego łup znika. Zatrzymał samochód i wyłączył silnik.

–Wychodź z rękami do góry – padła komenda przez megafon. Z radiowozów zaczęli wysiadać policjanci.

Jack również się zatrzymał; wszyscy wyskoczyli z auta, poza Opal, która osunęła się bezwładnie na siedzenie. Regan wybiegła na pobocze i cofnęła się jakieś trzydzieści metrów, po czym ślizgając się i potykając, zeszła z nasypu. Na śniegu, pod wielkim iglastym drzewem leżała metalowa piersiówka. Regan podniosła butelkę, potrząsnęła nią i usłyszała ciche grzechotanie. Uśmiechając się, zdjęła zakrętkę.

–Mój Boże – mruknęła, ujrawszy błyszczącą zawartość. Wy sypała na dłoń kilka kamieni. – Muszą być warte fortunę – powie działa do siebie. – Niech no tylko Opal je zobaczy!

Z największą ostrożnością wyspała diamenty z powrotem do butelki i wdrapała się na drogę. Podbiegła do Packy'ego Noonana, który miał już założone kajdanki.

–Czy to ta pierśiówka ci się śniła, Packy? – spytała drwiąco.

–Ludzie, którzy stracili cały majątek przez twoje matactwa, bardzo się ucieszą na jej widok.

Wszystkich zaskoczył nagły łomot, wydobywający się z samochodu Mila. Z bronią gotową do strzału, stojąc w bezpiecznej odległości, policjanci obserwowali, jak podnosi się pokrywa bagażnika. Benny usiadł i rozejrzał się dookoła; do kurtki wciąż miał przypiętą kartkę od Jo-Jo.

–Wiedziałem, że nie powinniśmy być zachłanni – odezwał się z szerokim ziewnięciem. – Obudźcie mnie, kiedy dojedziemy na posterunek. – Po czym znów się położył i zamknął oczy.

–Zanim będziemy musiały to oddać, pokażmy je Opal – powiedziała Regan do Elwiry.

Wróciły do samochodu, uniosły przyjaciółkę do pozycji siedzącej i wcisnęły jej butelkę do ręki.

–Opal, skarbie, spójrz – zachęcała ją Elwira. – Oprzytomniej na tyle, by popatrzeć.

Regan zdjęła zakrętkę.

–Co? – spytała wciąż oszołomiona Opal.

–Te diamenty oznaczają twoje pieniądze wygrane na loterii. Teraz odzyskasz przynajmniej część z nich – wyjaśniła Elwira.

Jej słowa musiały jakoś przedrzeć się do uspiętego mózgu Opal, bo zaczęła płakać.

Mniej więcej godzinę później Lem Pickens przejeżdżał platformą przez miasto, nie zdejmując ręki z klaksonu. Obok niego Bobby Granger machał z kabiny do wiwatującego tłumu, który zdążył się zgromadzić wzdłuż głównej ulicy. W końcu wjechali na stromą drogę pod górę, prowadzącą do farmy Pickensów.

Elwira, Willy, Regan, Jack, Grangerowie i już trochę przy-tomniejsza Opal stali wraz z Viddy na ganku. Wiadomość o odzyskaniu świerka rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Przedstawiciele mediów szybko zainstalowali się przed domem od frontu, by uchwycić moment, gdy Lem Pickens, wciąż trąbiący bez opamiętania, triumfalnie wprowadzi platformę Rockefeller Center na swoje podwórze. Wyraz twarzy Viddy, kiedy ujrzała ukochane drzewo, przypomniał Elwirze radość, jaką widziała wcześniej w oczach Opal. I podobnie jak Opal, Viddy zaczęła płakać.

Epilog

Nim nadszedł dzień zapalania lampek na choince, Picken-sowie stali się prawdziwymi nowojorczykami. Dwa dni po odzyskaniu drzewa przez Lema byli przed Rockefeller Center, żeby podziwiać uroczyste powitanie świerka i słuchać dziecięcego chóru, który śpiewał podczas ustawiania choinki na placu. Vid-dy szczególnie zachwyciły piosenki z „Dźwięków muzyki”.

Moja szarotka, pomyślała. Nasz świerk jest moją szarotką.

Zostali zaproszeni na przyjęcie, wydane na cześć Opal przez osoby, które podobnie jak ona zainwestowały w oszukańczą firmę Patricka Noonana. Diamenty wyceniono na ponad siedemdziesiąt milionów, więc inwestorzy mieli odzyskać co najmniej dwie trzecie swoich pieniędzy.

Packy Noonan, Jo-Jo i Benny siedzieli w areszcie, czekając na rozprawę; zanosilo się na to, że upłynie dużo, dużo czasu, nim postawią stopę na brazylijskiej plaży lub gdziekolwiek indziej. Milowi udało się wywinąć od kary dzięki współpracy w gromadzeniu dowodów przestępstwa oraz zeznaniu Opal, która stanowczo oświadczyła, że dał się wciągnąć w pajęczynę oszustw wbrew swojej woli. Milo wrócił do Greenwich Village i pisał wiersze o zdradzie. Pięćdziesiąt tysięcy, które miało być jego premią, znalezione przez policję na farmie, okazało się fałszywe. Jednakże zdobył nagrodę za wiersz o ciężarówce z platformą.

Kiedy policja znalazła Wayne'a i Lornę związanych, Covel próbował udawać, że nie wie, dlaczego Packy Noonan im to zrobił.

Jego zeznanie nie utrzymało się w konfrontacji z relacjami Opal, Mila, Packy'ego, Jo-Jo i Benny'ego. Na koniec jednak Wayne nie odmówił sobie komentarza: „Gdyby nie ja, Packy Noonan byłby teraz w Brazylii z pieniędzmi inwestorów”. Przyznał się do winy, jeśli chodzi o zniszczenie gałęzi, lecz co do diamentów, uparcie twierdził, że zastanawiał się, jak je zwrócić bez ujawniania, w jaki sposób wszedł w ich posiadanie. Po jego słowach uniosła się niejedna brew, lecz w wyniku ugody między prokuratorem i obrońcą został skazany jedynie na dwanaście godzin prac społecznych. Akurat zmuszą go do pracy społecznej, pomyślała z ironią Viddy. Jego była sympatia wróciła do Burlington i nadal poprzez komputerowe randki szukała miłego, wrażliwego mężczyzny. Viddy życzyła jej dużo szczęścia.

Najtrudniejszą do przełknięcia pigułką okazała się dla Packy'ego wiadomość, że świerki rosną od góry. Nie było potrzeby ścinania drzewa. Jego piersiówka znajdowała się w takiej samej odległości od ziemi jak wówczas, kiedy ją tam umieszczał. Gdyby to wiedział, wystarczyło wraz z bliźniakami obejść dookoła drzewo, znaleźć Wayne'a stojącego na drabinie, zmusić go do zejścia, odciąć gałąź i zgarnąć łup.

Lem i Viddy znajdowali się w specjalnie wydzielonym sektorze, oczekując na zapalenie światełek. Elwira, Willy, Regan, Jack, Nora, Lukę, Opal, jej przyjaciel Herman Hicks, który niedawno wygrał znaczną sumę na loterii, oraz cała trójka Grangerów również tam byli. Po uroczystości wszyscy wybierali się do mieszkania Hermana. Był piękny, chłodny wieczór. Tłum wypełniał plac przed Rockefeller Center, wszystkie okoliczne ulice wyłączono z ruchu.

–Viddy, ty i Lem świetnie wypadliście dziś rano w telewizji – pochwaliła ich Regan.
– Oboje jesteście stworzeni do występowania przed kamerami.

–Tak uważasz, Regan? A moja fryzura dobrze się prezentowała?

–Przynajmniej powinna, bo kosztowała fortunę! – wtrącił Lem.

–Podobało mi się, jak robili mi makijaż – wyznała Viddy. – Powiedziałam Lemowi, że znów każę się umalować, jak przyjedziemy na wasz ślub.

–Boże, dopomóż! – westchnął jej mąż.

Opal i Bobby siedzieli obok siebie.

–Naprawdę się cieszę, że byłem z panią w jednej grupie na nartach – oznajmił chłopiec.

–Ja też się cieszę – zapewniła go Opal.

–Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Opal się roześmiała.

–Mnie nie byłoby ani tutaj, ani nigdzie indziej! Herman wziął ją za rękę.

–Proszę cię, nie mów tak, Opal.

–Jak pięknie! – westchnęła Elwira zachwycona widokiem placu. Willy przytaknął z uśmiechem.

–Coś mi mówi, że przez najbliższy miesiąc będziemy tu wstępować codziennie.

–Elwiro, nie widzieliśmy twojego syropodajnego klonu – przypomniała jej Nora.

–Kochanie, straciliśmy mnóstwo atrakcji – odezwał się żartobliwie Lukę.

–Nie potrzebuję więcej tego rodzaju atrakcji – oświadczyła stanowczo Opal. – Możecie mi wierzyć, od tej pory moje pieniądze pozostaną w skarbonce. Żadnych więcej Packych Noonanów w moim życiu... Podły drań.

Śpiewano kolędy. Do najważniejszego momentu pozostała już tylko minuta.

Czysta magia, zachwycała się Regan. Jack objął ją ramieniem. To też magia, pomyślała z uśmiechem.

Tłum zaczął odliczanie.

–Dziesięć, dziewięć, osiem...

Lem i Viddy wstrzymali oddechy i wzięli się za ręce. Patrzyli, jak drzewo, które kochali i hołubili przez pięćdziesiąt lat, rozbłyska nagle tysiącami kolorowych lampek i tłum zaczyna wiwatować.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/